



<https://rcin.org.pl>

NIEDOBRA MIŁOŚĆ

<https://rcin.org.pl>

Nab. _____

ZOFJA NAŁKOWSKA

NIEDOBRA MIŁOŚĆ

ROMANS PROWINCJONALNY

WYDANIE DRUGIE

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
ul. Nowy Świat 77
Warszawa
Tel. 26-64-63



NAKŁAD
GEBETHNERA i WOLFFA
WARSZAWA

<https://rcin.org.pl>



I-3571

*Drukarnia i Litografia
„JAN COTTY”
w Warszawie, Kapucyńska 7.*

1930

CZĘŚĆ PIERWSZA.

1

Pan Zaniemski, który był niewątpliwie jednym z najmiłszych ludzi w tem miasteczku, mówił właśnie z powodu niej, że człowiek przynosi ze sobą na świat swój los, że go sobą określa i warunkuje. Tak się wyrażał. Ale było to w czasie, gdy Agnieszka zaledwie tam przyjechała, gdy zaledwie wtargnęła w nasze życie, jak pachnący wicher z dalekiej ziemi.

Dla mnie to było wtargnięcie. Pan Zaniemski zaś mówił: „wpłynęła w nasze życie szeroką, jasną falą, jak rzeka”.

Agnieszka Blizbor!

Tak, istotnie była jeszcze wtedy podobna do siebie, podobna do swego przeznaczenia. Była zgodna ze swoim typem.

Dziwnie w tem wszystkim było jedynie jej znalezienie się pośród nas, jej przyjazd tam. Słusznie też wydawało się dziwnem jej małżeństwo z Blizborem — właśnie pani Słuczańskiej.

Jaki zbieg okoliczności! Bo pani Słuczańska dzi-

wiła się najbardziej. Zresztą dlatego może, że jej najłatwiej to przychodziło. Miała bowiem duże, okrągłe oczy brązowe, z natury już zdziwione. A gdy jeszcze podniosła dogóry swoje cieniutkie brwi, to na jej twarzy malowało się odrazu nawet zdumienie.

Zwykle zresztą miała te brwi cokolwiek wgórę uniesione, ale właśnie te ich końce, które są bliżej nosa — czyli odwrotnie, niż Mefistofeles. Więc wówczas, gdy się niczemu nie dziwiła, to przynajmniej zawsze była czemś zatroskana.

Muszę przyznać, że zarówno do troski, jak do zdziwienia, nie brakło jej wcale powodów.

Pani Słuczańska miała na imię Renata. I już to samo musiało ją czasami trochę dziwić.

Tak tedy pan Zaniemski mówił wówczas o Agnieszce, że przyniosła ze sobą na świat swój los. Ale ja uważałam, że nie miał słuszności — i to wcale nie dlatego, bym już wtedy przewidywała zmiany, jakie w losie Agnieszki później zaszły. Nie, tego doprawdy przewidzieć nie mogłam.

Mnie się wydaje, że człowiek rodzi się każdy możliwy. Właśnie tak muszę to powiedzieć: *każdy możliwy*. Wszystko z nim może być — najbardziej odmienne, najbardziej mu zaprzeczające, najdalsze.

Charakteru niema właściwie, póki rozważamy go w oderwaniu, charakter nie istnieje sam przez się. Przedłużenie każdej z cech wrodzonych sięga w nieobjętą głąb możliwości, prowadzi aż do gwiazd.

Dopiero obcy świat, następujący zewsząd i zbliższy, zamyka te otwarte drogi, każdej z możliwości wyzna-

cza ostateczną granicę. Dopiero ludzie decydują wreszcie jakoś całą tę sprawę.

Przecież w stosunku do każdego człowieka stajemy się, *jesteśmy* kimś innym. Nie pokolei, w biegu życia, ale o jednej i tej samej godzinie. Cudzy charakter jest naszego charakteru jedyną miarą.

Jakość cudzej duszy człowieczej, jej zakres zmiennej, niewiadomy, płynny, wyznacza nam wciąż nową rolę, za każdym razem inaczej nas definiuje.

W ciągłej, niewiedzianej pracy manifestowania siebie charaktery nawzajem się korygują, nadają sobie wciąż nowe stopnie hierarchji, opatrują się wciąż nowym znakiem algebraicznym i tak wzajemnie nasycają się wartością.

Między człowiekiem i człowiekiem jest przestrzeń ziemi, wody i powietrza. Stoją między nimi mury domów i szpitali, kościołów i więzień.

Ale między charakterami ludzi niema nic. W miejscu, gdzie kończy się nasza dusza, zaraz zaczyna się inna. Nasza złość przylega ściśle do cudzej dobroci, kurczy się od jej wielkości albo ją sobą pomniejsza i ogranicza. Nasza pycha mierzy się cudzem poniżeniem i jest przez nie ciasno zewsząd opasana. Pożądanie władzy i szczęścia rozrasta się wcale nie w próżni, ale każdym swem nasyceniem sięga w głąb cudzej krzywdy.

W dziedzinie wartości niema pustego miejsca — i zawsze nasz kształt moralny wykreśla granice cudzych duchowych światów i przez nie jest nieustannie normowany.

Każde poruszenie wewnętrzne — ku doskonałości czy w stronę upadku — powoduje przesunięcie się rozkładu wartości w tym kompleksie. Dziedzina relacji psychicznych, tych najściślejszych zależności i powiązań, jest doskonale zorganizowana, podlega prawom równie ścisłym, a bardziej zadziwiającym, niż układ ciążenia w systematach słonecznych świata.

Nic nie może się wyłamać z pod działania tych zależności. Nic nie jest samo.

Więc jakże można było mówić, że Agnieszka stworzona jest do wspaniałego, bujnego życia. Że jej młodość i uroda musi zniewalać serca, olśniewać ludzi i czarować. Że przeznaczeniem jej jest budzić podziw i ście szczęście, że jej udziałem jest triumf i zwycięstwo.

Jakże można było tak mówić — nawet gdyby Agnieszka żądała od ludzi i świata takich rzeczy. Chociaż mogło się tak wydawać. I chociaż wydawało się tak panu Zaniemskiemu i pani Renacie.

Bo ja myślę, że nawet tego nie żądała. Że chciała daleko mniej. Że — taka, jaka była — pragnęła może do końca tylko cichego szczęścia we dwoje — nic więcej.

Już co do pani Śluczańskiej, tej zdziwionej zawsze Renaty, to rzeczywiście mogłam być nią mniemać, że znam ją dobrze.

Szukałyśmy siebie często nawzajem, obie przybyłe zdaleka, obie tam nowe i obce. Łączyły nas różne samotne wieczory, różne długie, intymne popołudnia, dalekie jazdy wspólne po wiosennych drogach.

Byłyśmy tam nowe i obce, to prawda. Ale ci, co przyjechali później, byli bardziej nowi, a my dla nich byłyśmy właśnie dawne, właśnie tutejsze.

I powoli stałyśmy się takie naprawdę — nawet we własnych oczach.

Pani Renata, której może nie byłabym zauważyła gdzie indziej, w tłumie światowych kobiet, tam była mi swoja i bliska.

I mogłabym myśleć do końca, że jest taka, mogłabym nie dowiedzieć się nigdy, co z nią jest możliwe — więc: co już wtedy jako możliwe tkwiło w niej.

Bo to prawda, że dopiero w zestawieniu z innymi ludźmi, czasami nawet w zestawieniu z jednym innym

człowiekiem ujawnia się wreszcie to coś, co inaczej nie doszłoby nigdy do głosu.

Ale przecie wówczas Renata wydawała się taka w zestawieniu wogóle ze wszystkimi. Cicha, śliczna, wzorowa, aż niezrozumiała w tej swojej malutkiej, nieposzlakowanej doskonałości.

Żyła w obecnem towarzystwie swego męża, w sferze skromnych urzędników starostwa, ludzi zapracowanych i ubogich. Wymieniała wizyty z ich żonami. Te odwiedziny dawały jej niewątpliwie dosyć materiału do zdziwienia, niektóre rzeczy poprostu ją tam raziły — ją, wychowaną kiedyś starannie, noszącą w całym sposobie bycia piętno tak zwanego dobrego domu. Jednakże Renata nadewszystko dbała, by nikogo nie urazić, nikomu nie zrobić przykrości. Była tylko zadowolona, gdy zauważyła coś złego, i medytowała, jak temu zaradzić.

Na jakichś przyjęciach, na publicznych miejscowych balach nie pamiętała jakby o tem, że jest młoda i ładna, nie pragnęła wcale się podobać. Zupełnie co innego miała w głowie. Była tą, która przedstawiała znajomych młodych ludzi nietańczącym kobietom, przysiadła się do starszych pań, zapomnianych i samotnych, by mówić im miłe słowa o ich córkach. Baczyla, czy mniej wyrobione, świeże w towarzystwie osóbkę nie popełniają jakich niewłaściwości. Nie robiła uwag, tylko z serdeczną troską, z niezaspokojoną czułością macierzyńską wyrastała gdzieś na ich drodze i podsuwała delikatnie, co trzeba zrobić.

Możnaby powiedzieć, że była to gorliwość towa-

rzyska nadmierna i niemodna już dzisiaj, pospolita, parafjańska cnota. Ale w zetknięciu ze sprawą ważną, z zagadnieniem życia lub honoru cechy te urastały nagle do rozmiaru niezwykłych zalet charakteru, stawały się ważne i wielkie, stawały się bezcenne. Taki zawsze gotowy zapas zamagazynowanej dobroci i czystości dodawał otuchy, uspokajał, zapewniał jakgdyby jakieś najwyższe bezpieczeństwo.

Miarą charakteru Renaty był jej stosunek do męża.

Renata na parę zaledwie lat przed owym czasem wyszła za wdowca, znacznie od niej starszego. Oczywiście, nie znałam dokładnie ich wieku, tych rzeczy nie wie się nigdy tak na pewno. Ale różnica była już na pierwszy rzut oka uderzająca.

Pan Śluczański miał włosy zupełnie siwe, był suchy, zwiędły, przygarbiony. Jego żółta, koścista twarz o prostych rysach i długim owalu dawała jeszcze niekiedy — w pewnych skrótach i oświetleniach — sugestię urody męskiej dość szlachetnej. Ale nikt nie miał chęci doszukiwać się w nim tych przeminionych wartości. Był cały jakby zgnieciony, starty przez życie, odrzucony nabok i zaledwie widoczny. Był nade wszystko zmęczony. Wczesnym rankiem biegł do owego starostwa i tam pracował ciężko, jak inni. Powracał zdyszany do domu na obiad, przyrządzony jak najstarszemu przez panią Renatę. To prawda, że był jakby niewidoczny. Trudno go było, kiedykolwiek zastać, trudno go było zobaczyć. Jeżeli nawet był w domu, to leżał w swoim pokoju, wypoczywający lub poprostu chory. Cierpiał na migreny, na złe jakieś stany ner-

wowe. Ale najczęściej jednak go nie było. Lubił wychodzić sam za miasto, spacerował często aż do zmierzchu. W niedzielę — jedyne dni, gdy nie miał pracy — wyjeżdżał zwykle na polowanie, a latem łowił ryby.

Gdy jednak jakoś znalazł się między ludźmi, gdy przyszedł tam, gdzie już koniecznie wypadało mu być, usiłował narazie coś robić, śmiał się i żartował. Jakże to wypadało ubogo i żałośnie! Jakim okupione było wysiłkiem woli! Siwe jego oczy, siwe, jak włosy, błyszczały krótko sztucznym blaskiem. I zaraz gasły. Gasł cały w oczach, nikł i szarzał — blady, chory z przymusu.

Jeżeli mam szczerze mówić, nic w nim nie było ciekawego. Wyglądał, jakby gniotła go jakaś zmora. Albo poprostu był zmęczony.

Dla kobiety tego typu, co Renata, być żoną starego męża — to nie było łatwe zadanie. Ambicja kobieca, surowa godność wewnętrzna nakazywała jej ustawiczną czujność, obronę ciągłą tej ryzykownej placówki.

Starala się nigdzie nie bywać bez męża, wszystkie prawie godziny dnia spędzała w domu. Niezawsze to jednak było możliwe.

Każdy najmniejszy dowód zainteresowania ze strony mężczyzny wydawał jej się obelgą. Tak to czuła. Drżała z oburzenia na samą myśl o tem i była wtedy aż dziecinna. Jakiś porucznik, który w najlepszej wierze parę razy zrzędu zaprosił ją na balu do tańca, przyprowadził ją o gorączkę. Nie mogła tego znieść

i wreszcie zażądała od zdumionego chłopca, by tego więcej nie robił. Gdy dyrektor miejscowego banku, pan Niewolewski, człowiek zamożny, jeszcze nie stary i przystojny, dwa razy ucałował jej rękę na pożegnanie, przybiegła do mnie w rozterce, radząc się, co ma robić. Nie chciała rzucić rozpoczętej pracy, ale wytrzymać nie mogła jego wzroku, szukającego jej oczów — i wbrew mym radom wystąpiła z towarzystwa, gdzie pan Niewolewski był prezesem.

Jakimże kłopotem musiała być dla mężczyzn ta kobieta o ciele różowem i płomiennych oczach, powlekających się łzami przy każdym uśmiechu i rumieńcu. Wilgotny ogień jej spojrzenia wprowadzał w błąd tak łatwo.

Skwapliwa i uprzedzająca wobec niższych, Renata stawiała się trudna, harda, niedostępna, gdy szło o ludzi, przewyższających ją położeniem towarzyskiem. Najdalsza myśl o upokorzeniu była dla niej nie do zniesienia.

Niewątpliwa naiwność tych Renaty zalet i cnót dodawała im tylko uroku, a zarazem także — gwarancji.

Bo jednak Renata była do gruntu skromna w mniemaniu o sobie, pragnąca tylko innych podziwiać. Tak, musiała koniecznie kogoś uwielbiać, musiała otwierać okrągło śliczne swoje oczy i podnosić wysoko brwi wąziutkie, by temu podziwowi dać wyraz.

Przyjazd państwa Blizborów do naszego miasteczka zakołysał układem tej równowagi.

Pewnego zimowego popołudnia wybrałam się do pani Renaty bez wyraźnego powodu.

Było to na tydzień może przed świętami Bożego Narodzenia. Po paru dniach odwilży brał lekki mróz. Na szkliste błoto ulic sypał się śnieg rzadki, drobny, powiewny i cichy. Pomimo wczesnej godziny, było już ciemno.

Państwo Słuczańscy mieszkali prawie za miastem, w dzielnicy ubogiej, na krańcu przedmieścia. Konie stanęły przed ledwie widoczną w parkanie bramą, w miejscu, oznaczonem przez mostek nad głębokim ściekiem. Z za ogrodzenia wystawały czarne gałęzie sadu.

Drewniany, pospolity dom o małych oknach i ubogim ganku stał w tych gałęziach. Za furtką nawiany do zagłębień śnieg zebrał się już w dwie smugi, wyznaczające ścieżkę, i w czarnej trawie sadu leżał tu i owdzie wśród drzew białymi, rzadkimi płatami. Splątane gałęzie wina wchodziły kręto dogóry po słupach ganku.

Ten ganek na zimę był zamknięty. Więc trzeba było obejść dom z lewej strony, by przez wąską, nieogrzewaną sień koło kuchni wejść do wnętrza. Ubranie i boty zdejmowało się dopiero w jadalni.

To wszystko nie było naturalnie zachęcające. Ale gdy się już weszło do mieszkania, odrazu wydawało się tam ładnie i dobrze. Wszystko miało swoje właściwsze, jedyne miejsce i radowało oczy cichą, skromną urodą. Sztywna białość firanek i duże na niej, ciemno-zielone liście roślin hodowanych oddzielały to wnętrze od świata.

Ciepło pokoju już ode drzwi buchało na człowieka i miało, jak na wsi, wiadomy zapach rozpalonych cegieł i nagrzaných sprzętów. I, jak na wsi, skądś, z głębi, grubo szczekał pies.

W tej jadalni — jedynem naprawdę mieszkalnem miejscu domu — pani Renata siedziała zwykle sama, coś szyjąc lub haftując w żółtem świetle dużej, opuszczonej na stół lampy. Niekiedy zaś nieśmiało grając na mieszczącym się tutaj też pod ścianą fortepianie.

Była często nietylko sama w tym pokoju, ale sama w całym domu — oprócz małej służącej i owego psa, którego trochę się bała. I siedziała tak — zawsze świeża, gładko uczesana, ubrana czysto i starannie — jakby w tej właśnie chwili czekała jakichś miłych odwiedzin. A przecież tak rzadko odwiedzał ktokolwiek ten ich daleki domek.

Jechałam tam więc w tej myśli, że znajdę panią Renatę samą. I bez wiedzy o tem tak ją sobie widocznie od początku w żółtem świetle lampy pochyloną przy sto-

le nad jakimś szyciem wyobrażałam. Bo zdziwiło mię, gdy zastałam pokój pełen ludzi.

Skądże mogłam wiedzieć, że o tej przedświątecznej porze zjechali do domu obaj dorośli synowie pana Słuczańskiego, pani Renaty pasierby. Była tam też znajoma moja, młoda, poważna dziewczyna. Mania Siesławska, córka nauczyciela, której jednak dotąd nigdy u Słuczańskich nie widziałam. Od stołu podniósł się wreszcie tym razem i sam nieobecny zawsze pan Słuczański.

Wśród zebranych jedynym nieznanym był dla mnie starszy z przyjezdnych, Justyn. Młodszego, Julka, znałam oddawna, jeszcze jako wyrostka, gdy zaledwie skończył szkołę. Później przyjeżdżał już w czapce studenta. Każde parę miesięcy nieobecności przeobrażało go w sposób zadziwiający. Zawsze zjawiał się, jak ktoś nowy.

Najdawniej był ponury i skryty, małomówny, nadasany i wogóle nieprzyjemny. Pamiętam, że jednak raz płakał. Już wtedy zauważyłam cichą, równą, trochę roztargnioną dobroć, którą humory jego łagodziła pani Renata. Sposób, w jaki całowała jego czoło na powitanie, był całym poematem. Brała głęboko i poważnie swą rolę, to biło w oczy, w najlepszej wierze i według swej najlepszej wiedzy pragnęła „zastąpić mu matkę”.

Następny już przyjazd owego Julka to było coś niesłychanego.

Stał się nagle nienaturalnie śmiały, głośny, zabierający wiele miejsca, wyrażający „bezwzględnie” swoje gusta i swoją wolę. Straszliwa, powiedziałabym,

wprost nieubłagana wiedza sportowa, mnóstwo egzotycznych nazwisk i brzmień, a także stopień najwyższy wtajemniczenia w istotę radja, dawały mu nad całem otoczeniem niezaprzeczoną przewagę, o której nie dał zapomnieć.

Pewne rzeczy uważał za niewłaściwe i mówił o nich : naciskiem: „to jest nie do pomyślenia”. Inne wydawały mu się poprostu „zoologiczne”. Umieszczał to przy każdej sposobności, szczególnie doprawdy podobał mu się ten wyraz. Ale pod koniec wakacyj zamiast „zoologiczne” mówił już „fantastyczne”. I to było lepiej, obejmowało bowiem łatwo większą jeszcze ilość negatywnych zjawisk.

Był wtedy brzydki, puciołowaty i czerwony. Później wyładniał. Ale pewna lekka wada wymowy, skandowanie sylab i zbytnie napieranie językiem na zęby, została mu już na zawsze. Otóż w interpretacji tej wymowy samo brzmienie: „fantastyczny” nabierało zupełnie szczególnej barwy, stawało się mocne, patetyczne, zupełnie bezapelacyjne.

I w tym okresie na dobro pani Renaty muszę zapisać, że częściej jakieś opinie lub żądania pana Słuczańskiego wydawały się Julkowi fantastyczne, niż jej, Renaty.

Później to wszystko się uspokoiło i weszło w jakieś łożysko. Pan Julian przyjechał w nowej odmianie — szczuplejszy, jednak cichszy, rzeczywiście dorosły. I bardzo elegancki. Już samo przyleganie włosów do czaszki, już sam uważny sposób, w jaki —

uniósłszy brwi — oglądał swoje paznokcie — wszystko tu było znamienne.

Dało się to poprostu wyjaśnić okolicznością, że dostał korepetycje w zamożnym domu. Ale było też zapewne wyrazem istotnie nowej fazy rozwoju — może pierwszej miłości (która u młodszych od nas wydaje nam się zawsze przedwczesna i trochę niewłaściwa). Bo i jego stosunek do pani Renaty stał się inny — nie serdeczniejszy pewno, ale delikatniejszy, bardziej wyszukany. Ojca traktował teraz z niejaką pobłażliwością, dość dobrotliwie. Lubił go za to, że nie potrzebował już korzystać z jego skąpej pieniężnej pomocy. Była to bardzo przyjemna odmiana owego dawnego Julka.

Jednak nie ostateczna. Tym razem bowiem przyszło mi także zobaczyć coś zupełnie nowego. Młody Słuczański stał się jeszcze wyższy i szczuplejszy, ale włosy miał znów nieprzygładzone, ubiór mniej staranny i znów żadnej nie przywiązywał wagi do swych manier i zachowania. Niewątpliwie zbyt głośno i tonem bardzo koleżeńskim umawiał się z Manią Siesławską na ślizgawkę. Nie miałam jednak możliwości bliżej rozważać wówczas tej nowej przemiany, gdyż głównie pociągnął moją uwagę jego brat starszy, Justyn, którego właśnie widziałam wtedy po raz pierwszy.

Zasiedliśmy przy tym samym stole jadalnym, w ciepłym świetle, idącym z pod żółtych, jedwabnych falban abażuru.

Pani Renata ustawiła coś na stole, przyrzuciła serwetek, których tyle sama wyhaftowała, i usiadła naprzeciwko mnie. Patrzyłam na nią z upodobaniem, tak niezwyczajnie była ożywiona. W tym młodem otoczeniu i jej młodość nabierała życia i blasku, nabierała sensu. Mimo ożywienia jednak z drobnych, świeżych ust jej nie schodził wyraz roztropności, jakby dziecinnego rozsądku. Tylko oczy robiły się zupełnie okrągłe, czarne i wilgotne z przejęcia.

Odrazu grzecznie wprowadziła mnie w rozmowę. Naprzód powrócił oto z zagranicy starszy syn, którego nie widzieli blisko trzy lata. Więc jest wielka uroczystość. Powtórę, miastu naszemu przybywa nowa interesująca para, państwo Blizborowie.

— Bo ona jest Walewiczówna z domu, jak się okazuje — podjął informacyjnie Justyn Śluczański. — Cóрка Melchjora Walewicza.

No tak, to dosyć było powiedzieć. To już nie wy-

magąo komentarzy. Samo nazwisko kwalifikowało tę wiadomość, dawało miarę całego zdarzenia.

Któż nie słyszał o Melchjorze Walewiczu!

I Justyn mówił o nim z upodobaniem, z prawdziwą chęcią. Znał go bowiem od szeregu lat, spotykał się z nim w Paryżu i później w Genewie, a dawniej jeszcze w kraju. Przez pół roku pracował nawet przy nim w ministerstwie i najwięcej wtedy skorzystał. Zaciekawiała go żywo ta postać, indywidualność wybitna, rzadki rozum polityczny. Nigdy nie myślał, żeby mu przyszło tutaj właśnie, w drodze do naszego miasta, poznać jego zięcia, tego Blizbora.

— Tu muszą być w okolicy majątki Osienieckich, hrabiny Osienieckiej, prawda? — przerwał sam sobie, zwracając się do ojca.

Pan Śluczański odpowiedział, że tak.

— No właśnie — roześmiał się Justyn. — Bo młody Osieniecki też coś tam robi przy naszym poselstwie. Zabawna rzecz, że najmniejsza prowincja, jaka jest na świecie, to dyplomacja. Wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, wszyscy się znają. To są wciąż ci sami ludzie, powtarzają się w różnych kombinacjach, widzi ich się naprzód tu, później tam, odchodzą i wracają. Nigdy jakoś nie odchodzą zupełnie, chyba z konieczności. To życie bardzo wciąga. Prawda, że wszystko jest jakgdyby przewidziane, odbywa się i zamyka w gotowych ramach. A jednak tkwi w tem i powab ryzykownej gry. Jedno posunięcie orzeka czasem o całym losie...

Co do sprawy Walewicza, wiadomej nam z ga-

zet, Justyn był pewien jego słuszności. Ufał mu całkowicie. Walewicz przewiduje zgóry, co może nastąpić, oblicza wszystko na dalszą metę. To lepiej nawet, że teraz wrócił do kraju. Tymczasem pozostaje jakby na boku — dlatego tylko, by ukazać się znów dopiero w chwili właściwej. I niewątpliwie na daleko wyższym stanowisku.

Ponieważ nikt z nas nie miał w tej sprawie swego zdania, więc chętnie uwierzyliśmy młodemu dyplomacie.

Justyn Śluczański nie miał jeszcze trzydziestu lat. Był zaledwie nieco starszy od Renaty, może w jej wieku. Ale robił wrażenie człowieka skończonego, zaznaczonego wyraźnie, zdecydowanego w sylwecie aż do najmniejszych szczegółów.

Przekazany mu w ogólnych zarysach typ fizyczny ojca doskonale się tu nadał — owa szlachetność urody, pewne cechy dobrej rasy właśnie do niego raczej pasowały, w nim lepsze, niż w ojcu, znalazły zastosowanie. Twarz miał większą i nieco grubsze rysy, postawę mocną, ruchy pewne i trafne. A ponadto zupełnie zharmonizowanie tej całości — głos, śmiech, patrzenia.

Myślało się mimowoli, że w równej harmonii jest właśnie u niego charakter i los.

A także myśl i słowo. Bo mówił z przyjemnością, mówił dobrze. Słowa szły ku niemu same i takie, jak trzeba. Mówił chętnie.

— O małżeństwie panny Agnieszki wspominali mi coś już dawniej, zagranicą, ale bez żadnych szczegó-

łów. Tego Blizbora wcale nie znałem i na pewno nigdy nawet o nim nie słyszałem. I oto poznaję go tutaj, po prostu w wagonie — jako zięcia Walewicza... Odrzucał się do jednego pustego przedziału. Ten nieznajomy pan wydał mi się jakimś niewesołym, ale dość dobrodusznym *hobereau*, nawet jakimś wiejskim rządcą, przyzwoitej zresztą powierzchowności. Minęliśmy w milczeniu szereg stacyj, odczytując swoje gazety. Potem wymieniliśmy gazety — i znów lektura zajęła nam parę stacyj. Wreszcie wynikła jakaś rozmowa. Stało się pewnem, że obaj jeden mamy cel podróży, i że on jedzie tutaj, by objąć miejsce w województwie, dość podrzędne. Na święta ma jeszcze wrócić do siebie, a po nowym roku przyjedzie już z żoną. Ode mnie dowiedział się, że po dłuższej nieobecności w kraju wybrałem się odwiedzić rodzinę. To nam wystarczyło na długo. Nie wydał mi się zajmujący ani rozmowny, więc zostawiłem go w spokoju. I dopiero na przedostatniej stacji doszliśmy jakoś do niektórych znajomości zagranicznych, które okazały się wspólne, i do Walewicza, który okazał się jego teściem.

Justyn roześmiał się przyjemnie.

— Doprawdy, uczyniłem wszystko, aby nie zdradzić wcale zdziwienia. Powiedziałem mu tylko, że miałem też zaszczyt znać tam jego żonę. Ale właśnie należy ją znać, aby to zdziwienie moje zrozumieć... ○

Rozmawiałem z nią i widywałem ją często — zdaleka i zbliska — przy różnych okazjach jak najbardziej reprezentacyjnych. Była uroczem dzieckiem i damą wyrafinowaną zarazem, znającą się równie dobrze na od-

mianach prawdziwych koronek, jak na protokół dyplomatycznym. Jej miłe konwersacje przy stole ze starymi generałami i ministrami, z różnemi *douairière'ami*, na pewno nie robiły tam źle Walewiczowi. No i o jej zamążpójściu w tych warunkach można sobie też było myśleć jak najlepiej... Tymczasem trudno jest zrozumieć, co ją skłoniło do wyjścia za tego Blizbora, który, jak widać, nawet nie jest bogaty.

— Może się zakochała — powiedziała naiwnie pani Renata.

— Chyba że tak — roześmiał się Justyn.

Gdy Mania wyszła wtedy od państwa Słuczańskich, Julek wyszedł z nią razem, żeby ją odprowadzić do domu.

Znali się nie od dziś, oczywiście. Ale nie była to taka prosta, sztubacka znajomość. Zawsze coś niejasnego stało między nimi dwojgiem, jakaś przeszkoda z jej strony, nieufność czy upór. I to od czasów najdawniejszych, to znaczy — powiedzmy — od czterech lat. Julkowi naprzykład nigdy nie było wolno do niej zwyczajnie przyjść — nawet na krótko, nawet po książkę, nawet żeby się umówić na tennisa. Mógł ją spotkać tylko poza jej domem — w ogrodzie, na ulicy, na korcie. — Nie, nie, w domu nie — odpowiadała prędko na każdą jakąś próbę z jego strony. Ale nie wyjaśniała wcale tej sprawy.

Przytem za każdym przyjazdem Julka i ona zawsze była trochę inna.

Najgorsza wydawała mu się dwa lata temu, w wakacje, gdy właśnie skończyła gimnazjum wśród wielkich pochwał nauczycieli i nawet niejakiego podziwu koleżanek. Sama mówiła zresztą, że nic nie umie. Ale

było w tem więcej próżności, niż gdyby chwaliła się swem wyróżnieniem. O, była wtedy nieznośna — złośliwa, pyszna, śmiejąca się pogardliwie. Niełatwo ją było zadziwić, i Julek nawet tego nie próbował. Miała jesienią wyjechać na uniwersytet. Później jednak to się nie stało.

W roku następnym znów Julek zrobił się tym, którego zadziwić a nawet zainteresować było trudno. Przypadł mianowicie na ów czas wiadomy już okres elegancji i niejako wystarczania sobie. Z Manią nie spotykał się nawet na tennisie. Za jedyny sport odpowiedni dla gentlemiana Julek uznał wówczas polowanie i tego się już trzymał.

Teraz, nazajutrz po swym przyjeździe, Julek spotkał Manię także na ulicy. Wracała właśnie z biura. Tak, powiedziała mu, że już drugi rok pracuje.

Może dlatego wcale nie była teraz pyszna ani wzgardliwa, tylko spokojna i poważna. Prawie się nie śmiała.

Pani Renata widywała już nieraz dawniej tę wyrośniętą, małomówną, trochę dziką dziewczynę. Wiadomo jej było, że u Siesławskich jest bieda, że nie bywają nigdzie — i troskała się tem według swego zwyczaju. Poprosiła więc teraz Julka, by kiedy Manię Siesławską przyprowadził. Szło jej przedewszystkiem o to, by Mania „się obyła”. Liczyła też, że wobec przyjazdu chłopców do domu dziewczyna rozerwie się trochę w ich towarzystwie.

Tego rodzaju troski i zabiegi były właśnie dla Renaty bardzo charakterystyczne.

— Jakie jest pani zdanie o moim bracie? — spytał Julek, gdy tylko wyszli z ciepłego wnętrza domu na mróz i ciemność.

Pilno mu było do tej rozmowy. Musiał mówić o Justynie, którego nie widział trzy lata. A teraz spotkali się prawie jak ludzie obcy.

— Moje zdanie — powtórzyła Mania powoli i jakoś bezbarwnie. Bo nie było w tem ani pytania, ani nawet zastanowienia. Może tylko działanie na zwłokę.

— Tak. Jakie on zrobił na pani wrażenie?

— On robi dobre wrażenie — odrzekła Mania po dłuższej chwili, ważąc słowa.

Julek mógł myśleć, że ona przystaje, tak mówiąc, na coś, co nie jest po jej myśli. Niby ktoś wybredny, nie mogący jednak zaprzeczyć oczywistości.

Ale mogło tak nie być. Jej głos bez intonacji nic naprawdę nie wyrażał.

Julek był dumny z brata. Cała ta sprawa jednak wymagała komentarzy. Miał wiele zastrzeżeń i pragnął gorąco porozumienia.

Nie znajdując rezonansu, umilkł. I szli przez chwilę, nic nie mówiąc.

Śnieg już nie padał. Zdaleka, od strony miasta, słabo dochodziło dzwonienie sani. Było białe, cicho i ciemno. Ale w pustej ulicy, za węglem wysokiego parkanu, świeciła na cienkiej tyce jedna odległa latarnia. I to już wystarczyło, by śnieg pod nogami cudnie się iskrzył.

Julkowi szło zresztą nietylko o Justynę w tej chwili — ale o siebie. I może też trochę o nią, o Manię,

Myślał bowiem, że gdy tylko na coś przystać, to natychmiast wartość innych rzeczy staje się mniejsza. Wszelka słuszość przenosi się z jednej rzeczy na drugą odrazu cała, nic nie zostaje. Nie może jej być jednocześnie trochę tu i trochę tam.

— Widać, że powiedzie mu się w życiu — dodała jeszcze Mania tym samym głosem. Tak, iż mogła to być pochwała lub nagana, a także ironja.

Julek przyjął, że to jest ironja.

— Otóż to — powiedział żywo. — Ma wszystkie dane, żeby mu się powiodło.

— Ma istotnie — potwierdziła ona.

Jednakże byłoby najłatwiej, gdyby Mani Justyn się nie podobał, i gdyby właśnie Julek mógł go bronić. Trochę jakgdyby na to liczył — jeszcze tam, w domu, miał to wrażenie.

Musieli iść ostrożnie, chociaż nie było ślisko. Śnieg przywiał szpary głębokie między płytami chodnika, różne dziury i wyrwy małomiejskiej uliczki.

Już dwa razy Mania źle stąpnęła, i Julek zamyslał wziąć ją pod rękę. Nie zrobił tego jednak. Jej nieczytelny, długi profil nie obudzał ufności. Tak samo, jak sposób mówienia, w którym nie było nic doprawdy poza słowami.

I Julek znów pomyślał, że takiej dziewczynie, jak Mania, właśnie Justyn podobać się nie może.

— W szkołach był dobrym uczniem, zupełnie jak pani — mówił teraz żartobliwie. — Wiem to, bo ojciec nieraz dawał mi go za przykład. W uniwersytecie dostał stypendjum, a później do szkoły Nauk Politycz-

nych też go wysłali. Wszędzie mu szło, sam sobie dawał radę. W ministerstwie zainteresował się nim znów Walewicz... Pani czytała Walewicza rozmowę ostatnią z korespondentami? To jest fantastyczne! — Julek uniósł się nagle. — Brat się nim zachwyca, ale ja daleki jestem od entuzjazmu. I bynajmniej się z mojem zdaniem przed Justynem nie kryję.

Mania powiedziała, że nie czytała tego interview'u.

— Ja może pani przyniosę. Justyn się upiera, że to wcale nie jest oportunizm, że to oznacza tylko, iż Walewicz nie traci nigdy „czucia z rzeczywistością”. Nieprawda! Właśnie oni nie mają wcale czucia z rzeczywistością — tą, która się tworzy, która już jest.

Teraz Mania zaczęła słuchać uważnie. Z jej profilu wyjrzało ku Julkowi duże, czarne oko.

— I zresztą od każdej rzeczywistości ważniejsza jest konieczność. Wobec konieczności rzeczywistość jest bezbronna.

Mania jeszcze słuchała. Julek mówił z takim naciskiem, że aż przystanęli na chwilę pośród pustej ulicy. Było to przecież jego wyznanie wiary.

— Ja nie przeczę, że oni to robią w najlepszej wierze. Justyn także. Oni z całą naiwnością naprawiają starami środkami ten stary świat.

Szli znowu. Mania zwróciła oczy przed siebie, jakgdyby zaspokoiwszy już całkowicie swoją ciekawość. I jej profil stał się, jak przedtem, zamknięty i niewiadomy.

Mijali wciąż jakieś parkany i sztachety, przysy-

pańe po wierzchu śniegiem. W głębi, w czarnych krzakach, stały drewniane domki przedmiejskie pod ciszą i bezpieczeństwem białych dachów.

— Cóż tu jest do naprawienia? — powiedziała Mania niechętnie. — Wcale nie o to chodzi...

Westchnęła głęboko, z wyraźnem zmęczeniem.

— Czy pan też zna córkę Walewicza, tę, co ma tu przyjechać?

— Nie, skądże. Gdzież miałbym ją poznać? — zdziwił się Julek.

— Jakże mogła zgodzić się przyjechać tutaj, tutaj żyć. Cóż to za słabość! Tu, gdzie się *nic nie dzieje*.

W tej sprawie Julek nie miał zdania. Cały ten świat — świat Justyna — był mu obcy i daleki.

— Mała rzecz! Tutaj czy tam, będzie zawsze tylko lalką, znającą się na koronkach i konwenansach. To wszystko, co Justyn umiał powiedzieć o niej dobrego.

— Nie. Mówił przecież także, że jest uroczą, że jest wyrafinowaną damą.

— Może być. Nie wiem.

Obróciła się głową ku niemu — tak, że widział teraz jej oboje oczu, tylko nie rozumiał ich wyrazu.

— Czy pan to zna, tę dziwną rzecz — zapytała — że się uczuć nie przeżywa do dna — nie tylko uczuć, ale nawet wrażeń. Że przychodzą i odchodzą, jakby niedoznane...

Julek powiedział skwapliwie, że to zna.

— Myślę, że na przykład powinno się czuć mło-

dość jako coś osobnego, jako stan szczęścia. Może czułam młodość, zanim byłam młoda. Teraz nie... Mówię sobie: mam dwadzieścia lat, mam dwadzieścia lat! I nic nie czuję, nie wiem, co to jest, nigdy o tem nie pamiętam.

Idąc blisko, patrzyła w niego pełnemi oczami. I nagle — po dziwnej przykrości, jaką uczuł — Julek poznał, że to, co idzie ku niemu z jej spojrzenia, nie jest dobre.

Skręcili w wąską, pochyłą ulicę bez drzew, szli, wymijając ludzi. Zaczęły się tu murowane, ciasno stojące domy, oblepione szyldami zamkniętych już sklepów i kramów, plugawe kamieniczki śródmieścia. W ponurem półświatle rzadkich, wysoko uczepionych, latarni wlokły się dołem żałosne i groteskowe konie, zaprzężone do trajkoczących dorożek z żydem na koźle. Tuż przy ziemi sunęły sanki, drgające na wybojach, małe, jak pudełka od zapalek.

— To rzeczywistość jest najważniejsza — powiedziała jeszcze Mania. — Właśnie rzeczywistość — tylko, że jest trudna, trudna.

I znów westchnęła głęboko, ze zmęczeniem.

Tu gdzieś było mieszkanie Siesławskich. Niewiadomo czemu, Julek myślał, że tym razem Mania zaprosi go, by wszedł. Nie było jeszcze tak późno. Naturalnie, odmówiłby przez delikatność, by ich nie krępować.

Ale ona nie powiedziała nic. I bez uśmiechu podała mu rękę na pożegnanie.

Tamte strony były bardzo zniszczone przez wojnę. Domy popalone, meble zrabowane, ludzie zrujnowani. Więc ciągle ktoś wracał, odbudowywał się lub urządzał.

Ta sprawa była niejako wciąż aktualna, wisiała w powietrzu, wypływała w rozmowach, nadawała wygląd ludziom i wogóle wyciskała piętno na życiu.

Działo się to na wsi i w mieście zarówno. Po spaleniu się dworu właściciele dawną kuchnię przerabiali na dom mieszkalny. Domki myśliwskie ocalałe, stare przydrożne karczmy służyły teraz za pałace. Wciąż ktoś nowy, powracający, zamieszkiwał nagie mury — i każdy nabyty sprzęt był radością, był zdarzeniem.

Przenoszeni w te strony wojskowi i urzędnicy też narazie nie mieli mieszkań. Z wysiłkiem więc zdobywali jakieś przelotne schronienia, jakieś, można powiedzieć, namioty, budując tymczasem całe kolonje wesołych, białoczerwonych domeczków. Ci wciąż pytali dostawców, stolarzy, malarzy, tapicerów. Chcieli koniecznie wiedzieć, gdzie można czego dostać, skąd się to sprowadza, i jak to zdobyli ci lub inni.

Życie odbudowywało się jednak na gorszym pozio-

mie, niż tamto zrujnowane. Ludzie żartobliwie lub z rezygnacją godzili się na takie postawienie sprawy. Więc firanki robili sobie z grubego płótna, meble z drzewa sosnowego, ale według nowych, angielskich fasonów. Zamiast dywanów na gołe, zadzierzyste podłogi kładziono kilimy, robione przez chłopki miejscowe do nakrywania w deszcz koni i słomy na wózkach. Te kilimy były za cienkie — i wyglądały ładnie, ale tylko póki nikt ich nie ruszył. Zato za każdym posunięciem krzesła, za każdym nieostrożnym krokiem marszczyły się i gniotły. Mówiło się przytem, że to jest tanie, a jednak gustowne. O ileż ładniejsze od pretensjonalnej, mieszczańskiej elegancji.

Przewodnim jednak motywem tych poczynani było ubóstwo. Naprzykład, jedni znajomi mieli taką sosnową sypialnię — łóżka, szafy, krzeselka i toaletę z potrójnem lustrem. Ale luster nie było, zabrakło pieniędzy, by je wprawić. I przez miesiące i lata zasiadali tak do czesania w obliczu pustych trzech ram, przez które przeglądała ściana.

☉ Cała ta atmosfera była niewątpliwie raczej interesująca i dodatnia. Ale miało to jedną złą stronę. Że wszyscy wciąż o tem mówili, że to było ciągle z całego życia najważniejsze. I mówili nietylko o sprawach własnych, ale i o cudzych. Tak naprzykład w pewnym tygodniu przez wszystkie dni od różnych osób słyszałam, że jedni państwo kupili sobie na spłaty tiulowe firanki do wszystkich okien, i że gzymsy robi im za bezcen stolarz z ulicy Kościelnej. Dobrze. Ale ostatniego dnia przyszli jeszcze sami ci państwo i też szczegółów

opowiedzieli i o firankach, i o gzymsach, i poprosili koniecznie, żeby do nich przyjść i te firanki i te gzymsy już zawieszono obejrzeć.

Tak było. I to nie było wesołe. Doprawdy, wiedziało się wszystko, nie można było czegokolwiek nie wiedzieć. Naprzykład jedna znowu pani spruła kołdry, sama uprała osobno wierzchy i osobno spody, watę oddała do przerobienia na ulicę Zborną i później sama obie te kołdry napowrót wypikowała po dawnym śladzie. Przez pewien czas wszystkie panie znajome chodziły to oglądać.

Tak samo przez pewien czas wszyscy nawzajem oglądali u siebie abażury na lampę, zrobione z żółtej satyny, która wyglądała, jak jedwab.

Powtarzam, że to nie było wcale złe, że to była rzeczywistość odradzającego się życia, rzeczywistość, którą, jak Mania, uważam za nadewszystko ważną, chociaż trudną. I przez długi czas to mnie nawet prawdziwie cieszyło. Bo tak poprostu w moich oczach budowało się, organizowało i rosło pewne jakieś życie.

Ale ta rzeczywistość wystawała tam jednak ponad wszystkie inne, wydawała się jedyna. I doszło do tego, takiej się doznawało straszliwej tęsknoty za jakimś zbytkiem psychicznym, za jakąś swawolą intelektualną, za czemkolwiek do niczego niepotrzebnem, iż się wydawało czasami, że nie można dłużej wytrzymać ni chwili. I pamiętam, jak usłyszenie wtedy w czyichś stach terminu: epistemologiczny — gotowe było wzrucić mnie do łez. Myślę, że wystarczyłoby do tego także: dekwatny lub nawet: antynomja.

Tak tedy wiedziałam wówczas o wszystkich, kto ma jakie firanki, gdzie i za ile kupione. Czy znalazł już mieszkanie, czy dopiero szuka, czy sprowadza wszystkie meble, czy narazie tylko część.

Musiałam więc wiedzieć takie rzeczy i o Agnieszce Bliźbor, gdy tylko przyjechała. I to, co wiedziałam, było niezwykle.

Ich rzeczy, robione na zamówienie w najlepszym magazynie stolicy, przyjechały na platformie w specjalnym wozie wyściełanym, który zaprężone na dworcu konie przywiozły przed sam dom. Państwo Bliźborowie zamieszkali w nowiutkiej, niezupełnie nawet wykończonej willi pod samem miastem. Bo inżynier, który dla siebie ją wybudował, musiał ją wynająć wskutek przeniesienia. Wybili tam jakąś niepotrzebną ścianę, gdzie indziej wprawili rozsuwane drzwi — i ze szczupłego mieszkania dla licznej rodziny zrobili sobie przestronny *home* dla nich dwojga.

Wiadomo też było, że sprowadzili majolikowe kafle do niewykończonej łazienki, oraz że mają własne auto, Cadillac, ciche i poważne.

A w jakiś czas potem zobaczyłam Agnieszkę Bliźbor u siebie. Ją i jej męża.

Patrzę na nią tamtą późniejszemi oczami, patrzę na nią „z przyszłości” — to prawda. Pewnie dziś już nie mogłabym inaczej. Dodaję do niej wszystko, co zaszło potem — chociaż nie wiedziałam tego jeszcze wtedy. Dodaję wszystko późniejsze, cały wiadomy mi jej los — aby się jeszcze raz temu dziwić, aby temu jeszcze raz nie dowierzać.

Ale i wówczas. O, Boże! Widzę przecież, jak weszła do tamtejszego mego domu. Jak stanęła w progu na najkrótszą chwilę rozwagi. Ja szłam od drzwi przeciwnych i nie spuszczałam jej z oczu. Tak, nie mogłam oczu ani na chwilę od niej oderwać.

Szła, wlokąc za sobą całe swoje pachnące, świecące, rozedrgane powietrze. To powietrze naokoło niej było pełne migotu i jasności, jak powietrze nad ogniskiem w lesie w dzień słoneczny. Drzenie gorąca, silne ciśnienie radości, natężenie życia — to wszystko weszło wtedy za nią, weszło razem z nią. Razem z nią wszedł także jej mąż, Paweł Blizbor — ale to dało się zauważyć już później. Znacznie później też miało się okazać, że to jest ważne.

Wchodziła z tym swoim światem zgęszczonego życia, obwiedziona ściśle własną swoją atmosferą, która rozprężała się, przenikała wszędzie, zajmowała całe puste miejsce. Jej ruch, jej śmiech, jej jasny głos i jej młodość — były do pomyślenia i mogły trwać tylko w medjum przyjaznem, w medjum jedynie odpowiedniem. Trwając więc, stwarzać sobie ~~musiały~~ tem samem warunki trwania.

Pomyślałam już wtedy, że jej obecność odmienia naturę rzeczy. Może dzieje się tak poniekąd ze wszystkimi ludźmi. Ale w Agnieszce ta właściwość była uderzająca.

Pojawieniem się swem na danem miejscu Agnieszka niejako mobilizowała urodę świata. Wyławiała ją zewsząd, przywracała do stanu czynnego, skupiała, ściągała ku sobie i ~~przerabiała~~ na swoje dobro. Za

jej sprawą rzeczy wydawały ze siebie najwyższy ton, osiągały wszystką możliwość swej piękności i swego znaczenia. Działo się to w ten sposób, że jakgdyby wszystko jej służyło.

Pojawieniem się swem budziła radość i budziła zarazem niepokój. Myślało się, czy ona sama wie, jaka jest, czy jest w stanie coś podobnego zrozumieć. I czy w najdziwniejszych igraszkach swoich z pięknnością świata jest równie bezbronna wobec siebie, jak wobec innych.

I myślało się jeszcze ze smutkiem, ze szczególnym żalem o tych wszystkich miejscach, gdzie jej w tej chwili nie ma. A także o tym czasie, *gdy jej nie ma*.

Budziła niepokój tą myślą, dziwną tęsknotę — może już wtedy chęć, aby nigdy nie odeszła...

Siedziała w dużym fotelu i rozmawiała. Ale nic z tego, co mówiła, nie było właściwie godne uwagi — skoro nie mówiła o sobie. Nic jej nie objaśniało, nie czyniło bardziej zrozumiałą i dostępną.

Siedziała motylowym jakimś sposobem, niedość głęboko zapadła między poręcz. Tak, właśnie na podobieństwo motyla, który — chociaż usiadzie — jednak powoli rozkłada i znowu składa skrzydła, oznajmiając tem niejako, że istotną postacią jego bytu jest lot.

Jej obie wąskie ręce trzymały się obu poręczy mocnym uchwytem, gotowe do tego ruchu, którym wiosło odbija od brzegu łódź. Nogi aż za długie zaplotła tylko stopami daleko na dywanie — w ten sposób, że przyległy doń podeszwą ściśle aż po palce, wystawiając z wykroju jaszczurczej skóry długi i twardy kant podbicia. Jedwabna smuga połysku wzbierała lekko ku górze w łydkę wąską i podłużną, jak muszla. To wszystko — i związanie oszczędne kolana i paraboliczna linja ud — było w stanie napięcia, nie spoczynku, oznaczało gotowość do poderwania się o każdej chwili, gotowość do odlotu.

Rodzaj jej urody nie dawał spokoju. Budził chęć nazwania za wszelką cenę tego czaru, kazał wciąż szukać formuły na tę niewinną, nigdzie niepowiedzianą siłę piękności. Sama bowiem — cóż mówiła? Cóż mogła na to poradzić, jak sobie sprostać?

Była wysoka, powiewna, zbyt kowna. Jednak uroda jej robiła wrażenie wcale nie dzięki swej doskonałości, lecz że była czemś rzadkiem i wyszukanem.

Bo miała niewątpliwe wady: oczy były niewielkie i jeszcze zwężone grymasem, broda zbyt długa i cokolwiek też zbyt długie zęby. Ale materiał, z którego to wszystko było zrobione — tak, jak materiał jej ubioru — był najwyższego gatunku.

Delikatna, świetlista białosc jej skóry na całych policzkach aż do szyi mieniła się różowo — i te dwie barwy, każda najszlachetniejszej jakości, białosc i jasna różowość, jakby nieustannie zachodziły na siebie, jakby się wciąż jedna w drugą przelewały. A koło oczów skóra robiła się prawie błękitna, przejrzysta, sucho lśniąca, opalizująca, jak koncha. Każdą rzęsę u powiek można było widzieć osobno. Równie wyraźne, proste, nieco ciemniejsze, niż włosy, były jej brwi.

Same oczy — wąskie i zawsze, nietylko w uśmiechu, przymrużone oddołu — zamykały w sobie dwie jasno-niebieskie płytki jakby kamienia czy emalii bardzo drogocennej — więc dlatego tak małe.

I w niektórych zwrotach głowy linje tych brwi i domknięcia prostych rzęs stawały się nagle napomknieniem o jakiejś doskonałej, niemożliwej do znie-

sienia piękności. Tak samo pewne nastawienie profilu z cudną linią nosa i zwłaszcza nozdrzy osiągało ten niepokojący stopień piękna, na który jakgdyby brak tchu.

Ale zaraz następne poruszenie szyi, twardej i gładkiej, jedno jej nieznaczne przegięcie już przynosiło ulgę. Ujawniło grę twarzy, kapryśną i finezyjną, powab przymrużonych spojrzeń, śliczny, jasny kolor ruchomych ust, rozfiglowanie młodości, straszną radość śmiechu, cały tej twarzy musujący, migotający, lotny wdzięk.

Och, lubiła się śmiać, to było odrazu widoczne, cieszyła się żartem, jak zdobyczą, z przyjemności aż zupełnie zamykała oczy — tak się śmiała. Owe zbyt długie zęby — wąskie, trochę cudzoziemskie — wypełniały jej śmiech znowu tym najwyższym gatunkiem połysku — błękitnawym, nieposzlakowanym tonem emalii.

Nie, już spojrzeć na cokolwiek innego, gdy się to zjawisko, tę Agnieszkę Blizbor, miało przed oczami — to było niepodobieństwo.

Słuchałam uważnie wszystkiego, co mówiła. Czasami tylko zadawałam jakieś pytanie. Spostrzegłam, że nie chciała wcale mówić o przeszłości, o swych podróżach, szerokim świecie, znanych ludziach. Nie. Jej szczęście znajdowało się tuż blisko, w dniu dzisiejszym. Zajmowało ją tylko to, co było teraz — właśnie tutejsi ludzie i tutejsze sprawy. To życie, w którym miała wziąć udział.

Zachwycała się naszym miastem, a także tem, że jest zima.

— Może naprawdę tu nie jest tak ładnie w lecie — mówiła, przystając ostatecznie na jakieś gdzie indziej widocznie słyszane zdanie. — Podobno nie jest porządnie. Ale teraz wszystko brzydkie zasłonięte jest śniegiem, widać tylko same ładne rzeczy. Do naszego domu dojeżdża się cudownie, białą drogą pod górę, między starymi drzewami — i do ostatniej chwili nie wiadomo wcale, gdzie to jest...

I ona zapytała o hrabinę Osieniecką, ponieważ znała jej syna i synową, a także o panią Renatę Słuczańską, którą koniecznie chciała odwiedzić. Że podobno jest ładna, że podobno jest taka miła...

Tak, to, co mówiła Agnieszka, rzeczywiście nie było ważne. Ale tem przynajmniej różniło się od dotychczasowych takich pierwszych wizyt, że nie usłyszałam nic ani o meblach, ani o firankach i gzymsach. Z powodu łazienki zaś, do której, jak wiadomo, Blizborowie sprowadzili majolikowe kafle, dowiedziałam się tylko tyle, że z jej okna jest najpiękniejszy widok w świecie na jezioro i oba kanały.

Było, powtarzam, wszystko jedno, co Agnieszka mówiła. Ale, mówiąc cokolwiek bądź, promieniowała radość, rozdawała się cała, rozsypywała w słowach, żartach i uśmiechach. Nie była spokojna. Był w niej niepokój młodości, który jest w harmonji z niepokojem świata,

Tak więc zeszyli się ze sobą w życiu dwie te kobiety, Agnieszka i Renata. Ich nagła przyjaźń najbardziej ucieszyła pana Zaniemskiego, który wszystkiego, co dobre, zawsze pragnął dla Renaty. Jeszcze wtedy wierzył w cudowny los Agnieszki, w to, że przeznaczeniem jej i udziałem jest szczęście. I wyobrażał sobie jakoś, że samo znalezienie się w jej pobliżu, że wejście w orbitę jej wpływu — już jest dobrem i korzyścią.

Niewątpliwie obecnością swoją Agnieszka odmieniała naturę rzeczy. Myślę, że poniekąd odmieniała też naturę ludzi. To się widziało na Renacie.

Przyjeżdżała, przychodziła, wpadała do Renaty o każdej porze, często nawet wiedząc, że przeszkadza. Zatrzymywała się na chwilę wahania w tych drzwiach od nieogrzewanej sieni, napuszczała dużo zimna do pokoju, nie czując tego. Udawała tak niby, że się waha, rozglądała się pytająco, nawet wołała: „czy można?”. Wiedziała bowiem, że o tej porze przeszkadza, gdy Renata sama gotuje obiad i sprząta, gdy naprawdę jest zajęta. Ale Agnieszka wtedy właśnie najbardziej chciała przyjechać, dlatego, że Blizbor był w biurze, że

była sama, że było tak cudnie, mroźno, biało, słonecznie na świecie. To trudno, musiała przyjechać. Była jak odważna, brunatno-złota łątką, nie dająca się spędzić z brzegu jasnej sukni.

— Ależ proszę, proszę — odpowiadała z głębi Renata, zamykając jakieś drzwi, by nie wypadł stamtąd ten zły pies, którego sama trochę się bała.

Zjawiała się uradowana, zaczerwieniona od gorąca, wycierając po drodze ręce, już wymyte, odwiązując mały fartuch. Nic więcej nie potrzebowała zrobić ze sobą, by wprost od pracy kuchennej zasiąść — czysta, świeża, gładko uczesana — do upragnionej rozmowy. Witła Agnieszkę i zamykała za nią drzwi od sieni, ziewające mrozem. Pomagała jej zdejmować ze siebie dziwacznie dziane, pstremi zygzakami przerabiane, złotymi nićmi szyte najmniejsze wełny, zadziwiające rękawice, włochatą czapę.

Renata nietylko ją uwielbiała, nietylko znalazła w niej doskonały materiał do zachwyty. Ale poprzez nią, za jej sprawą, inaczej widziała siebie. Odbijała się w niej — w tem żywym zwierciadle — jakoś odmiennie, uroczo, romantycznie. Przy jej mowie i śmiechu, przy jej opowiadaniach i żartach i zwłaszcza przy jej muzyce — sprawy rzeczywiste, zupełnie możliwe, nabierały nagle straszliwego uroku. Dziwiła się często, biorąc tak z jej słów, z samej jej jakości — nową siebie, jeszcze raz podarowaną, zupełnie inną.

Agnieszka chciała, żeby Renata jechała z nią saniami za miasto — na godzinę, tylko na pół godziny. Ale tego właśnie Renata zrobić nie mogła, mimo naj-

większej chęci. Nawet bowiem siedząc i rozmawiając, nie traciła ani na chwilę z pamięci spraw kuchni, tajemniczych procesów, zachodzących kryjomo pod osłoną pokryw w głębinach rondli, w foremkach lub na brytfannach. Nie, nie mogła na dłuższą chwilę zaufać swej małej służącej, nie miałyby wcale spokoju.

Więc zostawały w domu. Renata patrzyła na Agnieszkę uważnemi, okrągłemi oczami — zasłuchana w jej słowa, nic prawie nie mówiąca. Wobec Agnieszki — cóż wogóle mogła mieć do powiedzenia? Wobec Agnieszki, która rozmawiała z panującymi, która kończyła szkoły w Anglii, która nawet podobno urodziła się w Pizie...

To do Agnieszki mówiło się teraz: — bo właśnie u nas, w naszym mieście, bo my tutaj...

Tak. Teraz my już byliśmy tutejsze, wiedzące wszystko o wszystkich, solidarne z tem całym malutkiem życiem. A nowa i obca była ona. I przed nią my już czułyśmy się trochę zakłopotane, trochę winne, że tu jest tylko tak.

Renacie tak bardzo podobała się Agnieszka, że przy niej poprostu nie zauważyła Blizbora. Dopiero na moje zapytanie pomyślała chwilę i powiedziała:

— Justyn rzeczywiście miał rację, ich małżeństwo jest niezrozumiałe. On jest zawsze jakby zły, on nic nie mówi... Dlaczego ona za niego wyszła?

Ale zaraz dodała:

— Widać, że to jest dobry człowiek, tylko już musi mieć takie usposobienie, już inaczej nie może.

Jest do niej bardzo przywiązany. Może tylko nie umie tego okazać...

To było wszystko. Mogę powiedzieć, że pierwsze spotkania Blizbora i Renaty uszły jakgdyby jej uwagi. Nie spostrzegła, że to się stało. Nie zauważyła tego człowieka.

Dopiero znacznie później odtwarzała sobie w pamięci tamte chwile. Budowała je na nowo po kawałku, z małych szczegółów, z pierwszych nic nie znaczących słów, nabierających później wagi i treści, nasiąkających, jak krwią, nieprzewidzianą wówczas, nową wartością.

Tak, niewątpliwie, Blizbor nikł trochę przy swojej aż takiej żonie. Ale po pewnym czasie zaczynało się i jego — małomównego, pochmurnego — jakoś dostrzegać.

Zresztą już sam jego wygląd, jego poprawny, modny, świeży strój wyróżniał go wśród mieszkańców naszego miasta. Prowadzenie samochodu w dziwnej czapce i zamorskim płaszczu też godne było uwagi.

Ponadto Blizbor wystarczał sobie, on sam i jego jakaś praca. Z ludźmi, z towarzystwem miejscowem stykał się tylko przez swą żonę. Nie miał żadnej — jak to u nas było we zwyczaju — swojej męskiej kompanji do picia w restauracji, do gry w klubie. Z nikim się nie zbliżył, nie zawiązał żadnej przyjaźni, żadnej serdeczniejszej znajomości. Nic mu nie było potrzeba, nic nie chciał.

Milczał, kiedy mówiła Agnieszka. Zaledwie uśmiechał się niekiedy, ale z wyraźną trudnością. Jeżeli już

mówił, to jedynie rzeczy niezbędne, uwagi trafne, bezpośrednio spowodowane przez rzeczywistość i ściśle do niej przylegające. I to nie budziło wątpliwości, zastrzeżeń ani sprzeciwu.

On sam zato obudzał to wszystko swoją osobą. Jego przymuszony uśmiech, wciąż jakby hamowany zły humor, jego niemila twarz, matowe, ciemne spojrzenie — nie, tego nie można było tak zostawić. Pragnęło się koniecznie jakoś tego Blizbora udobruchać i nawet niewiadomo za co przebłagać. Albo. też go zapytać, o co mu właściwie chodzi.

Każdy uczuwał ciężar jego obecności, czuł się winny jego niezadowolenia. Każdy do czegoś się wobec niego poczuwał. Czyż to nie dziwne? Jednak niewątpliwie są ludzie, którzy wywierają taki nacisk na otoczenie, z których humorem inni muszą się liczyć.

Sama Agnieszka wcale nie brała w rachubę tych rzeczy, pomijała je swym chętnym śmiechem, jakimś, nie znaczącymi, słodkimi słowami. Wobec niej jego surowość mogłaby się wydawać dezaprobatą, mogła wynikać z zazdrości.

Czasami tak to wyglądało, nie potwierdzało się jednak w słowach. Blizbor nie robił żonie żadnych uwag, nie mówił do niej zniecierpliwionym głosem, w niczem jej nie krępował. I niektóre kobiety nawet myślały, czy nie jest możliwe, że Blizbor kocha Agnieszkę nieszczęśliwie, pomimo, iż jest jego żoną.

Widoczne niewątpliwie było — nie to może, że Blizbor żonę swoją kocha, ale że — w tym trzecim już

roku ich małżeństwa — ciągle jeszcze jest wobec niej mężczyzną.

Gdy wsadzał ją do auta lub sani, gdy podawał jej okrycie, czy dopinał na jej cienkiej kostce klamrę botów — zawsze było tam uściśnienie silne za rękę, pogłaskanie nagiego karku, nawet położenie dłoni na odsłoniętem kolanie. Nigdy jednak nie rozjaśniła się jego ciemna twarz od jej widoku, nigdy patrzące na nią jego oczy nie stały się miękkie i pieszczące.

Raz widziałam, jak zaciągnął na jej szyi gruby, kraciasty szal włóczkowy zbyt silnie. Agnieszka prędko podsunęła obie ręce pod szafirowe i złote kraty, pobladła przytem i jednocześnie się roześmiała. Ale Blizbor się nie roześmiał — chociaż nie przestał na nią patrzeć ciemnymi, matowemi oczami.

Brunatna opalenizna letnich sportów pozostawała przez całą zimę na jego rękach i twarzy. Tył czaszki był zupełnie równy z linią karku, jak na atletycznych profilach. Przy ciężkich, szerokich ramionach i wąskich biodrach ruchy jego wydawały się twarde i aż niezręczne od powściąganey niepotrzebnej siły.

— On musi ją kochać szalenie, i widać ona uległa tej miłości — powiedziała kiedyś Renata w zamyśleniu.

Tak sobie usiłowała za wszelką cenę wytłumaczyć dziwny fakt, że Walewicz wydał swą piękną córkę zupełnie bez wyboru, że taka, jak ona, jak Agnieszka — nie zrobiła świetnej, światowej partji.

Przyjazd Blizborów nadał naszemu cichemu życiu zbiorowemu inne tempo. Nie my ich, ale oni nas przekonali, że i tutaj może być inaczej, że może być zajmująco i wesoło.

Co parę dni Agnieszka telefonowała z jakąś nową propozycją wspólnej zabawy. To upatrzyła w okolicy dobry teren dla nart, to oznajmiała, że tego właśnie dnia jest doskonała sanna, to wreszcie zachęcała do pójścia na sztukę, którą dawał tego wieczora przyjezdny teatr. Czasami namawiała poprostu, żeby się razem wybrać do kinematografu — zawsze w większym towarzystwie. I umiała jakoś to osiągnąć, że wszyscy byli zadowoleni.

Wobec różnych braków, nagłych trudności sytuacyjnych, wobec wszelkich niedociągnięć, które są konieczne w takich przedsięwzięciach zbiorowych, zachowywała się tak, jakby ich nie było. Miała zaufanie do losu, że wszystko się samo jak najlepiej załatwi. To Renata — w dobroci swego serca — delikatnie naprawiała cudze nietakty, usiłowała im zaradzić. Agnieszka nigdy. Jej beztroska, jej zawsze i niezmiennie dobra mina każdego napelniała otuchą.

Agnieszka we wszystkim wynajdywała dobre strony, ciekawe szczegóły, nieoczekiwane zalety — i innym też udzielał się ten życzliwy do zagadnienia stosunek. Moznaby myśleć, że była niewybredna. Ale już sama jej obecność podnosiła poziom każdej zabawy.

Wyjątkowo piękna zima przypadła na ów rok. Od stycznia trzymał mróz, śniegi trwały niezmiennie w swej rozjarzonej białości. Krótkie dni, napelnione słońcem, gasły, jak iskry, zapadały prędko w czerwone popioły zachodu. Chrząst śniegu towarzyszył wszelkim naszym poczynaniom, żywe gwiazdy, patrzące ze szklanego nieba, strzegły naszych powrotów.

Jednej niedzieli umówiliśmy się tak i po wspólnem śniadaniu wyjechaliśmy za miasto kilkoma parami sań. Zrobiliśmy wielkie koło w nieznanej okolicy, zajechawszy po drodze do śmiesznej, starej karczmy na rozgrzewkę. I po przebyciu trzydziestu paru kilometrów wróciliśmy do miasta zupełnie z innej strony, mając uszy pełne dzwonięcia dzwonek, oczy pełne białości ziemi i niebieskości nieba, a serca najżywszej wzajemnej życzliwości.

I, gdy siedzieliśmy później wielkim półkręgiem w salonie Blizborów, zwrócenie rozjarzonymi twarzami do płomieni ogniska, patrzyłam już prawie bez zdziwienia, jak pani Renata odpowiadała coś mile na zapytania pana Niewolewskiego, który jeszcze tak niedawno przejmował ją zgrozą i obrzydzeniem.

Fotele, w których wypoczywaliśmy, były wielkie, głębokie i do ostatnich granic ustępliwe, powleczone szaro-niebieską skórą. Dla Blizbora nie było już miej-

sca tu, blisko komina, usiadł więc pośród nas, wewnątrz kręgu, na dużej, na dywanie leżącej, poduszce. Każdy z nas widział teraz jego gładką, czarną, świecąca głowę, jego zły profil na różowej głębiny rozżarzonych, znieruchomiłych płomieni. Ładnie to wyglądało — ni-by niemodna, operowa dekoracja. W pewnej chwili ze stojącego na boku metalowego kosza Blizbor wybrał jeden pogrzebacz i zakłócił nim porządek zamierającego w cichych żarach ogniska. Niechętne, małe ogienki zaczęły pomykać wzdłuż polan i w jednym miejscu nagle nikły.

Usiadając znowu na ziemię, Blizbor przesunął nieco poduszkę — tak, że znalazł się u nóg Agnieszki. Był tak blisko — jednak nie odwracał oczu od ogniska. Można było myśleć, że — pragnąc — nie śmie ucałować jej stóp, że męczy się tą chęcią daremną. Widoczny kawałek jego profilu, obrzeżony czerwienią, brał w siebie całą gorącą ponurość dogasających głowni.

Wtedy Agnieszka wyciągnęła do niego rękę, nachyliła się nad nim uśmiechnięta. Ale nie odnalazła oczami jego spojrzenia — chociaż niewątpliwie całym sobą wiedział o każdym jej ruchu. Nie odwracając wcale głowy, Blizbor wziął w uścisk rękę Agnieszki ponad swoim ramieniem, ujął mocno same tylko jej palce i przytrzymał je długo. Jeszcze wtedy, gdy widać było, że ona chciała je niepostrzeżenie, powoli z jego ręki wysunąć — ale już nie mogła.

Każdy wypił swoją herbatę z ciastem, i trzeba było zabierać się do powrotu. Zanim jednak powklada-

liśmy wszystko i pozapinali na sobie, już Agnieszka zdążyła wziąć od każdego przyrzeczenie, że w czwartek najbliższy, że właśnie we czwartek przyjdziemy na ślizgawkę.

— Na naszą własną ślizgawkę — powtarzała z naciskiem i uciechą.

Bo to naprawdę była ich ślizgawka.

I przed przyjazdem Blizborów istniały u nas różne sportowe towarzystwa, i można było, korzystając z nierówności terenu, jeździć na nartach i saneczkach. Latem spotykaliśmy się na jednym publicznym placu tenisowym. Jesienią i wiosną wiele osób jeździło konno w dalekie, malownicze drogi, wiodące przez pochyłe pola i nieduże laski ku rozległej wnęce jeziora.

Ale właśnie ze ślizgawką było najgorzej.

Ślizgać się chodziliśmy bowiem do miejskiego, niewielkiego ogrodu, położonego na skraju miasta. Była to pozostałość większego dawniej, prywatnego parku. Teren, zarosły pięknymi, starymi drzewami, przylegał do pałacu, z którego zostały tylko żałosne, okopcone wojennym pożarem zwaliska. Kupy gruzu leżały jeszcze nieuprzątnięte, resztki muru miały być rozebrane, ale wciąż stały.

Gdy teraz przysypał to wszystko śnieg, to Agnieszka Blizbor mogła się doskonale zachwycać, bo łatwo było wziąć te zwaliska za prawdziwe, stare ruiny.

Niedaleko od pałacu leżała dość głęboko między drzewami zwyczajna sadzawka. Z jej zamarzniętej

przestrzeni wielkimi szuflami odgarniano śnieg, w drewnianej budzie na brzegu grała wojskowa muzyka, a na malej, jak chustka do nosa, tafelce lodu ślizgało się mnóstwo wyrostków. Było tam ciasno i niewygodnie. Wszyscy najeżdżali na siebie wzajemnie, potracali się i przewracali. A po paru godzinach naskrobało się łyżwami tyle śniegu, wybito tyle dziur, że jazda przedstawiała być możliwością.

Dopiero Blizborowie wymyślili coś innego.

Z wiadomego już okna ich łazienki widać było ciągnące się ku stronie zachodniej rozległe, zatopione łąki, przecięte łamanymi linjami kanałów i zakończone na horyzoncie smuzką lasu z niewidocznem jeziorem.

Nikt tam drewnianymi szuflami nie zgarniał na boki śniegu. Nie było tam też orkiestry i wogóle nikt tam nie było na całych tych obszarach, prócz nas.

A wieczorami można się było ślizgać tylko, jeżeli był księżyc, który wtedy oświeślał zgóry lód tak dokładnie, jak prawdziwa elektryczna latarnia.

Blizborowie pierwsi umyślili tam się ślizgać i zaraz namówili do tego swoich znajomych.

Zdarzyło się, że po długich mrozach nagle wichry rozniosły śnieg, zwałając całe zaspę wzdłuż krzaków nad kanałami i po skrajach leśnych zarośli. A wielka płaszczyzna łąk zalanych i zamarzniętych wyszła ną jaw z pod białej pokrywy i leżała naga, równa, lodowa, odmuchana ze śniegu, czyściutko umieciona, ciemno połyskująca w dalekich, białych brzegach.

Z sinego lodu wyrastały czarne aleje olszyn, idą-

ce daleko podwójną, łamaną linią wzdłuż kanałów, których brzegi zatopiła jesienna woda.

Tu i tam stała na tej szklanej równinie jakaś biała kępa z czarnym krzakiem pośrodku, albo ciągnęła się większa smuga łądu. Z nawianego śniegu sterczała miejscami płowa trawa i szara trzcina.

Pod samym lasem stał na takim długim, białym półwyspie duży stóg siana w białej, śniegowej czapie, z kijem, sterczącym prosto w niebo.

Cały ten świat, rozwinięty płasko pod bladem, zimowem słońcem dnia, zamknięty cichą niebieskością nieba, którą przekreślał czasami czarny lot kawek, widny był jak na dłoni z okna owej Blizborów-łazienki.

Wówczas to wszystko stało się terenem szalonych ślizgawek.

Agnieszka telefonowała, zapraszała poprostu do siebie, jak na zwyczajne przyjęcie. Jadło się u nich śniadanie, czy wypijało w pośpiechu herbatę i szło z góry po wydeptanej ścieżce na lód, do ławeczki, umyślnie tam przyniesionej.

Przypinaliśmy łyżwy, naciągaliśmy wełniane rękawice i, jak na skrzydłach, jakgdyby ponad ziemią, gnaliśmy wpoprzek tych łąk aż pod las — popędzani wiatrem, rozgrzewani słońcem, przemykający się między czarnymi alejami zatopionych olch, przefruwający prawie cudem nad niemarzniętymi gdzie niegdzie płyciznami rozlewisk.

Było to coś niewiarogodnego, niemożliwego, jak we śnie.

Lód był gładki — i łyżwy szły po nim, cicho sy-

cząc — rozkosznie, lekko i równo. Był wszędzie gładki — ale w niektórych miejscach zdarzały się niewiadomo dlaczego miejsca jakby groszkowate, trochę żółtawe, na których łyżwy leciutko turkotały. I już nie było tak przyjemnie.

Przejeżdżając nad rowami, mieliśmy pod sobą ciemniejsze smugi. Łód stawał się tu przezroczysty i prawie czarny, widać było na dnie śpiące łodygi i strępy błotnych roślin. Płytsze znowu miejsca na łąkach były jaśniejsze, jakby podłożone drugą, żółtawą taflą lodową.

A czasami nagle lód robił się biały, jak śnieg, był coraz cieńszy, cieńszy — i w pewnym miejscu przedstawiał nagle być. Agnieszka z całych sił krzyczała: — Uwaga! — ale nikt nie był już w możności tego posłuchać. W największym pędzie przelatywaliśmy koło otworu, w którym sterczało prosto z błota parę czarnych trawek, ujętych naokoło białymi ząbeczkami podniesionego nieco w powietrze lodu. Na taką rzecz wjechać było naprawdę bardzo niemiło, jeżeli się tego nie zobaczyło wporę i nie wyminęło.

A jednak w ostatniej chwili udawało się nieraz i ponad taką dziurą jakoś przelecieć, trzeba tylko było unieść trochę dzioby łyżew dogóry.

Już dalej słyszało się jakby lekkie chrząknięcie, ale wtedy można było nic sobie z tego nie robić.

Jeżeli zaszła nam drogę duża, trudna do objechania smuga niezatopionej łąki, to się ją, brnąc łyżwami po śniegu i chrzęszczących kępach trawy, przechodziło ze złośczeniami niejako na piechotę. By za chwilę

odbić się od tego ładu w rozkołysany świat gładi, polysku i pędu.

Stawaliśmy u takich smug czasami, by się obejrzeć na przebytą drogę. To było trudne do wiary, żebyśmy tak tyle przestrzeni prawie w jedną chwilę przelecieli!

Blizborowie mogli się temu nie dziwić. Ale my znaliśmy dobrze tę okolicę z letnich przejażdżek bryczką lub konno, z pieszych spacerów. Droga polami do jeziora była naprawdę dość daleka. A na łyżwach świat się odmieniał, robił się mały i łatwy. Wydawał się taki, jaki pewno wydaje się ptakom.

Z każdego miejsca było tam widać dom Blizborów. I on robił się mniejszy — jak cały pozostały świat. Stał tak daleko w słońcu — na białym wzgórzu, pod białym dachem, oprawiony w ciemną niebieskość nieba północy.

Ale trzeba było pojechać jeszcze daleko dalej, żeby w jednym miejscu poza wzgórzami zobaczyć nagle miasto. Całe w śniegu — wydawało się białe i niebieskie. I także było zbyt małe i niezupełnie wiarogodne, z lekkimi wieżami swoich kościołów, cieniutko nakreślonymi na odsłonecznej, granatowej głębokości nieba.

Płynąć wciąż dalej, oglądać wciąż z nowych miejsc wciąż nowe przeistoczenia widzianego świata — to była radość niezmierna. Ale czasami pociągało nas coś innego.

Upatrywaliśmy sobie — już zwykle mniej daleko od domu — jakieś miejsce idealne, łód gładki i równy,

zrobiony z samej przejrzystości, z samego połysku. I tam odprawialiśmy nasze łyżwiarskie sztuki — wszelkie ósemki, najwspanialsze holendry z nogą w obłokach, walc na lodzie. A także zatrzymanie się w pędzie z podskoku — tak, by śnieg, wyskrobany w lodzie kantem łyżwy, z głośnym zgrzytem leciał w powietrze.

Każdy osiągnięty szczybel doskonałości był nową rozkoszą, był upojeniem ambicji.

Holender naprzykład śmiesznie i głupio się nazywa. Robić holendry — cóż to właściwie jest? A przecież rzecz sama jest czemś zadziwiającem.

Człowiek nachyla się, cały kładzie na powietrzu, wisi, uczepiony do lodu jednym kantem łyżwowego ostrza. Styka się ze wszystką resztą stałego świata, zaiste, jakby wzdłuż włosa — i nie przewraca się, i nigdzie z tego zawiśnięcia nie upada!

Trwa, mknie — igrając lekkomyślnie na jakichś niewiadomych rubieżach inercji, ciężenia i równowagi.

Według pana Zaniemskiego to jest możliwe jedynie dlatego, że się odbywa tak prędko — i że już nas zawsze niema w tem miejscu, gdzie właśnie o tej chwili mieliśmy się przewrócić.

Przewracaliśmy się jednak, chociaż nas w tem miejscu już nie było — i to nie raz i nie dwa razy.

Pan Zaniemski był łyżwiarzem namiętym. Przed wojną wyjeżdżał co roku na parę tygodni sportów zimowych do Szwajcarji i myślał wówczas naprawdę, że inaczej nie można.

A teraz był niezmiernie zadowolony, mogąc się

ślizgać u Blizborów. Przewycięzał wszelkie przeszkody, by stawić się na każde wezwanie Agnieszki.

Za jego namową pani Renata przypomniała sobie z wysiłkiem dawną umiejętność, na którą od wyjścia za mąż właściwie zawsze brakło jej czasu. Prowadzona przez Blizbora, nieśmiało, jak dziewczynka, suwała sztywnymi łyżwami po lodzie. Ale musiała wciąż stawać, by — nie puszczając wcale jego rąk — patrzeć za rozbieganą Agnieszką i na głos się nią zachwycać. A Blizbor stawał cierpliwie razem z nią i razem z nią wodził oczami za swoją żoną, milcząc. W jego patrzeniu było skupienie, było napięcie uwagi aż męczące.

Niewiadomo, czy śledził jej ryzykowne figury i skoki z niepokojem o jej bezpieczeństwo. Czy może — tak wyrozumiały dla Renaty — dla żony własnej był zbyt surowy i usiłował w jej sporcie każde odchylenie od doskonałości dostrzec i napiętnować.

Pan Zaniemski też zatrzymywał się przy nich na chwilę. Robił własne zestawienia i rozważał całą sprawę, towarzysząc im tanecznie w ich dalszej zmuśnej drodze. Jechał przed nimi tyłem, rozmawiając. Przytem za każdym krokiem zarzucał nogę jak najdalej, by osiągnąć koła krótkie, prawie zamknięte. I tak jadąc, słał niejako ich drogę nieznacznymi, ale nieprzelicznymi ukłonami. Musiał przyznać Renacie, że pani Agnieszka jest ponad wszelkie pochwały. Ale to nie było wszystko.

— Bo pani Renata nie jest kobietą do ruchu — tłumaczył, współczując jej trudom, — To jest kobieta do spokoju..

I pani Renata zatrzymywała się znów, obracając na Zaniemskiego okrągłe, zdziwione oczy. Bo nie wiedziała, czy to jest źle, czy dobrze.

Pan Zaniemski mówił, że owszem, że z pewnych względów to jest dobrze. Ale Blizbor powiedział krótko i gniewnie, że za dziesięć dni pani Renata będzie jeździła doskonale — byle tylko nie przerywała nauki i codzień się ślizgała.

Oprócz nas przyjeżdżał tam też często swem autem pan Roman Niewolewski, człowiek, żądny każdej radości. Raz także Renata zabrała ze sobą Manię Siesławską i Julka. Parę razy był Justyn Słuczański, który — korzystając z pobytu w kraju — częściej teraz odwiedzał swą rodzinę.

Tam też, u Blizborów, poznałam młodego hrabiego Osienieckiego i jego cudzoziemską małżonkę.

Na ślizgawce u Blizborów Mania Siesławska była tylko raz i nie pojawiła się więcej. Sama uznała, że ta rzecz nie mogła się już nigdy powtórzyć.

Jakże to było! Umówiła się tak zawczasu z panią Śluczańską — ujęta jej dziwną, doprawdy trochę nadmierną dobrocią, przystała na zaproszenie. Jak zwykle, nie pozwoliła Julkowi, by przyszedł po nią. Obiecała, że sama przyjdzie tam, do ich domu — gdyż tam zajechać miał samochód tego bogacza, Niewolewskiego. Przyszła więc o umówionej porze, nie pomyślawszy nic.

Zapukała i zaraz otworzyła drzwi do jadalni — i w czyściutkiem, schludnem ubóstwie wnętrza ujrzała oślepiający blask tej obecności.

— Justyn jedzie także — powiedziała Renata. Te jej słowa padły w zupełnej ciemni. Mania nie mogła podnieść powiek.

Jego uśmiech, jego głos — to tylko mogła wiedzieć, bo nie patrzyła nań oczami.

Niezręczna, duża, w palcie za ciasnem, pod którem kryła sweter z ciemnej, szarej wełny — taką siebie pamiętała najdokładniej, z łyżwami dzwoniącymi na

łokciu. Nie można było się cofać, nic już niepodobna było zmienić. Więc z goryczą podała mu rękę.

Do przywitania był jeszcze nieważny Julek, garncący się ku niej z pomocą w zdjęciu tego palta. Samochód dotąd nie przyszedł — więc trzeba było usiąść i czekać, usiąść i czekać — wiedząc na całej sobie śmieszny trykot z szarej włóczki, najbrzydszy, jaki może być, cokolwiek jeszcze na piersiach i biodrach rozciągnięty.

Justyn jechał z nimi. Rzecz straszliwa, dzika prawda! Nigdy tak wrogie nie były długie ręce i długie nogi, rozmiary i rzeczywistość ciała — to, że zabierało miejsce, że rozpychało sobą powietrze.

A później — już tam — każdy krok na łyżwach był tylko wstydem, ostatniem dnem upokorzenia. Tam, gdzie w słońcu i białości migotała cudna i nienawistna pani Blizbor, ciepła i giętka w swych barwnych wełnach jedwabistych, gdzie nawet pani Renata wydawała się zupełnie młoda, różowa, świeża w białym kostjumie, który sama zrobiła sobie z włóczki. Cała ta zabawa była jednym urągowiskiem z jej młodości, z jej ambicji, z ostatnich złudzeń. I Julek, który jej nie odstępował, z którym oboje mieli się właśnie przeciwstawić na łyżwach całemu światu tamtych...

Nie, tam, gdzie był Justyn Słuczański, Mania nie mogła już iść.

Był taki czas młodości, gdy Mania postanowiła to sobie, że będzie szczęśliwa. Nieszczęście wydawało jej się nieumiejętnością. Od dziecka patrzyła z politowaniem na to, co było w domu — na tę planową, dosko-

nałą organizację nędzy, tak urządzonej i obstawionej, by nie było z niej wyjścia.

Budziła się ciemnem ranem w kuchni, gdzie komin osłonięty był parawanem, gdzie umywalnia, ukryta na dzień pod stół jadalny, końce swych drucianych nóżek wysuwała z pod serwety. Zlew też miał swą osłonę z czarniawego kretonu w czerwone róże.

Spały tam we cztery z matką, tam szyły i kłóciły się, tam się uczyły i czytały, tam też jadły.

W jedynym zaś pokoju samotnie rezydował ojciec. Zły, drażliwy, tragiczny, „zmarnowany” — sam przez się stanowił zagadnienie nie do rozwiązania. Pisał dzieło o pedagogji — może przewrotowe i cenne, jak Rosseau i Pestalozzi — może nic nie warte, któż to wie. Poszczególne rozdziały odczytywał czasami ludziom wybranym — nigdy jednak nikomu z rodziny, nikomu z domowych. Dla swoich to miała być tajemnica, sprawa nie na ich miarę, rzecz niedostępna.

Człowiek wybrany przychodził raz i nie zjawiał się więcej. Nie popadł w zachwyt widocznie, nie stał się wyznawcą — czego pewnie oczekiwano. Jakiś nowy, młody nauczyciel naiwny ze szkoły, często tylko jeden ze starszych uczniów.

Wejść i wyjść nie mógł inaczej, tylko przechodząc pełną kobiet i ich zatrudnień ową kuchnię. Nie przedstawiano go nikomu. Tak było. Dla Siesławskiego rodzina była czemś wstydliwem, czemś, co pomija się dyskretnem przemilczeniem. Małżeństwo z poświęcenia czy przez roztargnienie — z cudzą, uwiedzioną

służącą, potem niepotrzebnie przychodzące na świat dzieci. O czem tu było wspominać, czem się chwalić.

W oczach Mani życie matki i sióstr było ohydą, było dnem smutku. Wyrosła pośród tego inna i samotna, jak niepoznana królewna — o niedostępnym dla innych rozumie, o niezauważonej piękności.

Wobec ojca nosiły wraz z matką piętno klasowego upośledzenia, niższej kasty. Mania — jedyna z córek do niego podobna — była mu bardziej od tamtych obca, nie wchodziła w ustalony szemat, zakłócała system, niepokoiła swemi zachceniami.

W skrawku lusterka oglądała uważnie swe oczy czarne i myślała, że są piękne. Profilu nie miała gdzie zobaczyć. Małe, szkolne triumfy poruszyły w niej ambitne nadzieje. Matematyka — jak u ojca — uniwersytet w stolicy, może potem Europa i świat.

Życie skorygowało szybko ten plan. Najmocniejsze postanowienie szczęścia nic tu nie pomogło. Pan Siesławski uznał, że właśnie nadszedł czas, by ktoś ulżył mu ciężarui. Więc zarobione za sprzedane godziny młodości pieniądze szły na dom, szły na dom! Nie dlatego, by coś zmienić, ale żeby wszystko pozostało tak samo. Pracowała, aby pomagać temu złu, które zatruło jej dzieciństwo, pracowała na buciki dla sióstr, na mięso do obiadu, na komorne za mieszkanie. Dźwigała to właśnie, co było jej najbardziej nienawistne. Czyż to nie dziwne, czy taką rzecz można zrozumieć?

Więc nie mogła widzieć Justyna Słuczańskiego. Jego obecność, jego słowa, jego głos — aksamitne ciemno jego głosu — budziły w niej rozdzierający smu-

tek. Gdy ścisnęła zęby, by zamknąć w sobie straszliwy wstrząs wewnętrzny, przecinający oddech, zawlekający mrokiem oczy, dławiący gardło i serce — nie zostawało po nim nic, prócz smutku.

Zato jego imię powiedziane, jego imię pomyślane najciszej było właśnie szczęściem.

Tak — mogła myśleć o nim, tylko nie mogła go widzieć.

Mogła myśleć o nim — z żalosną czułością, jak o umarłym, jak o cudzym — myśleć o jego niemożliwej, nigdy niedostępnej piękności, marzyć o nieodpartym powabie jego istnienia.

Rozum jej mówił, że on jest niemożliwy. Ale to nie było takie zupełnie pewne.

Bo zdaleka, zamknąwszy, oczy, można było także myśleć o pewnych rzeczach, zaprzeczających tej pewności.

Jego dobroć, lub może tylko żartobliwy, miły ton, dający wrażenie sympatji, łatwości, najlepszej chęci. To może było dla wszystkich jednakowe. Ale każdy z osobna mógł mieć swoją z tego radość, każdy mógł przez jakąś chwilę pomyśleć, że to jest tylko dla niego. I Mania też.

Jakże to więc było... Gdy wtedy zatętniło u bramy wielkie ciało samochodu, gdy radosny, głośny, nie zdejmujący pysznego futra, stanął we drzwiach pan Niewolewski, nagląc do wyjazdu — Mania pomyślała sobie, że Justyn przyjechał niespodzianie, że w aucie są tylko cztery miejsca, że właśnie o nią jest za dużo. I powiedziała: „to może ja pójdę do domu, bo państwo

się nie zmieszczą”... Tak powiedziała głupio i niezręcznie. I wszyscy zaprotestowali, ale jeden on, tylko on powiedział tak: „jakżeż to można, panno Marjo, jakżeż to można — przecież wszystko organizuje się właśnie dla pani, pani tu jest najważniejsza, pani jest najmłodsza”.

Zapamiętała dobrze te słowa, umiała je wprost i nawspak, z każdego miejsca mogła je zawsze powtórzyć. Rozważała je ze skupieniem, z męką, strasznie im się dziwiła. Bo czemuż to właśnie powiedział, co wcale nie było prawdą, tylko żeby jej zrobić przyjemność, żeby być miłym. Jakież to dziwne i urocze, jaki pełen powabu jest cały ten z nim związany świat.

Naturalnie, było dosyć miejsca, Julek usiadł przy szoferze. A i bez tego byliby się pomieścili. Jadąc, miała go wciąż przed sobą — na trochę niższem i mniej wygodnem składanem siedzeniu, które dotyczyło jej kolan. Widziała go wciąż, a on ją tylko wtedy, gdy się odwracał, by coś do niej powiedzieć. I było lepiej, że tak niewiele miał do powiedzenia w czasie tej krótkiej drogi. Minęli w podrygach ludne miasto, parę placów fabrycznych i równą, wysoką, ujętą w czarne wierzby szosą wyjechali w białe pola. Na niebie nie było słońca. Ale jego białe światło napełniało niebo i ziemię, nie dając cieniów przenikało wszędzie. Było tak pięknie i tak gorzko, i tak straszliwie.

I drugi raz tego dnia — już tam, na lodzie. Chciała być jak najdalej, chciała być niewidoczna, trochę jaśkaś mniejsza — i w swym swetrze z szarej wełny, w poplamionej, czarnej spódniczce przemykała się po-

kornie bokami, blisko zarośli, mając wciąż przy sobie tego Julka. W pewnej chwili znalazł się blisko Justyn, towarzyszący dotąd pani Blizbor. Znalazł się blisko, chwilę jechał tuż obok i, śmiejąc się, mówił: „panno Marjo, niechaj pani ma nad nim litość, to dobry chłopak”.

Nie, nawet się nie uśmiechnęła. Głosem zachrypniętym ze wzruszenia odpowiedziała:

— Dobrze.

Czegokolwiekby chciał, o cokolwiekby ją poprosił — zdaje się, że zawsze już musiałaby tak odpowiedzieć: — dobrze. Pochylić głowę i iść za jego głosem, za wskazaniem jego ręki — gdziekolwiek byłoby trzeba, wszędzie, wszędzie.

Nie chciała tego tak nazwać: miłość. Nie mogła. Za wiele wiadomych, gotowych, cudzych rzeczy jest w tem słowie: kocham.

Tego nie chciała powiedzieć. Było inaczej. Było w jakiś jedyny, bolesny, do dna gorzki sposób inaczej.

Gdyby pochylił się ku niej — gdyby stamtąd, z wysokości swego życia, z radości samego siebie podał jej rękę. Gdyby nawet ją wezwał tam, ku sobie. Czyż tego chciała? Nie, nie mogła wcale o tem myśleć.

Wszystko, od czego drżała, płonęła i umierała, to było tylko to właśnie: poczucie zawrotne przepaści, będącej między nimi. I ta przepaść zdejmowała ją za-

chwycem. Ta przepaść była tem jedynem, co ich łączyło.

Czegóż to doznawała, tak się męcząc? Szczęścia! Szczęścia, którego jedyną rzeczywistością była niemożliwość.

Może we dwa miesiące po osiedleniu się Blizbórow w naszym mieście przyjechał do nich w odwiedziny ojciec Agnieszki, Melchjor Walewicz. I teraz on z kolei składał wizyty ważniejszym w mieście osobom.

Wszyscy naturalnie wiedzieli dobrze, kto to jest. I to o nim wiedziane unosiło się koło jego postaci, jak kolorowe powietrze, ozdabiało go jeszcze więcej, niż śliczne czarne futro z bobrowym kołnierzem, niż suchy pański profil i mądre spojrzenie oczu niebieskich.

Jedni cenili go za to, czem był dawniej, zanim stał się wielkim dygnitarzem, pamiętali mu zawsze stare zasługi. A znowu inni przebaczali mu przeszłość z uwagi na to, czem był obecnie.

I podobał się wszystkim. Jakże zresztą mógł się nie podobać? Poprostu nigdy nie widziało się tutaj nic podobnego.

Co więcej, każdy był nawet trochę zażenowany, trochę winny wobec niego. Jakże bowiem mógł się czuć tutaj u nas taki Walewicz — pośród tych ulic, w tych wnętrzach, w tych rozmaitych salonach.

Bo odwiedził i zastępcę wojewody, i starostę,

i prezydenta. Jednego dnia cadillac Blizborów stał tutaj, drugiego tam — wiedziało się wszystko. A najważniejszy z naszych generałów, Ninota, okazał się być bliskim towarzyszem czy nawet przyjacielem Walewicza z dawnych, to znaczy: z tamtych czasów. Byli sobie bliscy wtedy we wspólnych nadziejach i oczekiwaniach. I oto teraz, gdy stało się już wszystko, spotkali się znowu.

A drugim starym znajomym Melchjora Walewicza był pan Śluczański — chociaż on sam, o ile pamiętam, nigdy o tem nie wspominał. Tak, znali się nawet kiedyś podobno bardzo dobrze — i może trochę z tego względu Walewicz wyświadczył później tyle przysług Justynowi.

Naturalnie więc Walewicz był też z wizytą u państwa Śluczańskich. Tylko inaczej to zupełnie wyglądało, niż wizyta u generała. Pan Śluczański bowiem do niczego nie doszedł i był sobie zwykłym, drobnym urzędnikiem na prowincji, chorowitym i zmęczonym. Tak się złożyło, że w rozmowie nie wspominali nawet tamtych czasów. Głównie zajmowali się Justynem, jego zdolnościami i przyszłością.

Pani Renata była tą wizytą niezmiernie przejęta. Rozumie się samo przez się, że Walewicz ją zachwycił. Nie, wcale nie tak go sobie wyobrażała. Jakże okazał się prosty i uprzejmy, jaki miły!

Jednak co innego właściwie najbardziej ją w tem wszystkim zajęło. Mówiła tak:

— Walewicz zobaczył, jak tu jest jego córce. Teraz dopiero widzi. I na pewno musi mu być przykro.

Jeszcze raz więc powracała do swej troski. Tak, pani Renata nie mogła pojąć, dlaczego taką pannę, tak piękną i tak wychowaną, wydali zamąż poprostu za Blizbora.

— Naturalnie — perswadowała sama sobie, — ona go kocha, ona się przyzwyczai. Ale czy tu jest, szczerze mówiąc, dla niej miejsce? Czy ona powinna tutaj mieszkać?

Tak mówiła jeszcze wtedy pani Renata, gdy opowiadała mi tę wizytę. I patrzyła we mnie swemi bronzowemi, pełnemi troski oczami, oczami, które zawlekały się szkłem łez od przejęcia.

Tak, to jednak chyba i wtedy było dziwne. Choć niewątpliwie, jeżeli jakaś rzecz już się stała, jeżeli wiemy, jak miała się skończyć — to trudno jest ją całą w myśli niejako odrobić, trudno jest wrócić do jej początku i na nowo w opowiadaniu kolejno ją ułożyć.

W tym początku bowiem mimowolnie widzi się już i ciąg dalszy zdarzenia i jego koniec. Widzi się może słusznie. Bo przecież — jako możliwość — wszystko późniejsze zawierało się już w tamtem.

I jeszcze raz, pamiętam to doskonale, pani Renata powiedziała te same słowa. Słowa, w których tkwił jakgdyby niepokój o Agnieszkę.

Było to zaraz po wyjeździe Walewicza. Pani Renata przyszła do mnie, pełna dziwnej, niespokojnej radości. Dowiedziała się mianowicie, że Agnieszka Blizbor jest w ciąży.

— To jest tak dobrze — mówiła żywo — to ją

pogodzi z losem. Zajmie się dzieckiem, będzie miała życie wypełnione, będzie szczęśliwa...

Zapytałam ją wtedy:

— Dlaczego pani myśli, że Agnieszka nie jest pogodzona z losem?

I Renata powtórzyła te słowa: — Czy tu jest dla niej miejsce? Czy ona powinna tu być?

Później już nigdy tego nie mówiła. To więc jednak był ostatni raz.

Tak się zdarzyło, że podczas owej wizyty Walewicza u Słuczańskich, był w domu Julek. Dotąd znał Walewicza tylko zdaleka, z widzenia, z różnych państwowych uroczystości, z dyplomatycznych odwiedzin, znajdujących swe echo w dziennikarskich ilustracjach lub kinematografach. Znał go nawet, można powiedzieć, dobrze — jego minę, jego cylinder, jego frak, przekreślony w ważniejszych chwilach jakąś wstęgą orderową. A teraz pierwszy raz widział go zwyczajnie, zbliska, po ludzku.

Jak wszyscy, i Julek wiedział też o nim różne rzeczy — właśnie z owych czasów, gdy był przyjacielem jego ojca, a także znanego generała Ninoty.

Wiadomo mu było wprawdzie, że Walewicz nie brał bezpośredniego udziału w żadnym czynie, zmierzającym do odzyskania ojczyzny. Nie rzucał bomb, nie strzelał do ludzi, nawet nigdzie nie przewoził żadnych tajemnych papierów. A jednak uważano go za człowieka do tych rzeczy poniekąd zbliżonego. Ideowo, lub może tylko obyczajowo. Tak na przykład Walewicz — chociaż sam zamożny — w sposobie życia wca-

le się nie różnił od swych owoczesnych rewolucyjnych przyjaciół. To się nawet teraz opowiadało z pewnem rozrzewnieniem. Zarówno w kraju, jak zagranicą, mieszkał zawsze skromnie, czwartakowo, bez własnych mebli i bez służby, ubierał się źle, unikał swego eleganckiego świata. Podobno jedynie tylko dobrego jedzenia i dobrego wina nigdy nie umiał się wyrzec. I zawsze od tego pocziwego Melchjora można było nietylko w nagłej potrzebie coś pożyczyć, ale także uzyskać większą sumę na sprawę, ukryć u niego zbiega, nawet przechować papiery lub rewolwer.

W wojnie również osobiście nie brał udziału, samo tak jakoś wypadło. Odcięty od kraju zagranicą, umiał jednak wiele zrobić w tej sprawie, zyskiwał tam wpływy i stosunki, oddawał zdaleka znaczne usługi, sam zdobywając zarazem imię i znaczenie. Przytem i to szczęśliwie się złożyło, że wśród ogólnej katastrofy sam nie poniósł ofiar, nic ze swego majątku nie stracił. I zawsze można było w pewnej mierze liczyć na jego gorliwość, na jego pieniądze i wpływy.

A teraz stał się ważną osobistością, dygnitarzem, pasującym do każdej politycznej konjunktury — widzianym jak najlepiej tu i tam, cenionym i zjednywanym na różne strony, wahnięciem swoim mogącym niekiedy o czemś zdecydować w roli jęczyczka u wagi.

Justyn mówił o nim, że jest rozumnym konserwatystą. Że, ceniąc wysoko wartości kultury, obawia się dla niej nowych wstrząśnień — i właśnie dlatego uznaje konieczność reform, zapobiegających przewrotom.

Nowe pokolenie, dzisiejsi młodzi, znali go już ta-

kim właśnie. Ale dawni towarzysze mieli prawdziwe widowisko. I nigdy nie było ostatecznie tak na pewno wiadomo, czy to ten dawny Melchjor się zmienił w wielkiego pana, czy też obecny właściwy, istotny i jedyny Walewicz był kiedyś zabawnym, rozczochranym Melchjorem.

Jak z tem było naprawdę, nie wiedział także on sam. Był najpewniej poniekąd tym i tamtym — ale zawsze w zależności od tego, kto go w danej chwili rozważał i pragnął określić.

Takich zmian, jak z Walewiczem, takich grubnych przeistoczeń zaszło wiele — i nietożsamość, nie-identyczność ludzkiej natury stała się w tych czasach przełomów i dokonań dziwnie naoczna. Stała się ważnem zagadnieniem nietylko psychologicznem, ale socjalnem. Julek myślał, że stała się nawet problemem etycznym.

Jednocześnie z tem unaoczniła się też zadziwiająca płynność i przelewność każdego stanu rzeczy.

Bo i ci dawni ludzie rewolucji, dziś czynniki praworządności, jak generał Ninota, lub małe kółka w mechanizmie państwa, jak papa Słuczański, też wcale nie zostali na miejscu. Spotkali się teraz z Walewiczem innym — oni także już inni. A choćby nawet pragnęli zostać w tem samym miejscu, zachować jakoś swą tożsamość moralną, uratować swą identyczność — to przecież cały świat koło nich się przesuwają, waha się na prawo i lewo, okręca jakoś naokoło osi swoich zagadnień i nadstawia wciąż inną stronę swej jakości.

Tak na przykład Walewicz myślał kiedyś tę rzecz,

napozór prostą i niewinną: że każdy naród powinien mieć swoją ziemię i swoje granice, choćby był najmniejszy.

Ale w istocie swej ta rzecz nie była wcale prosta i niewinna. Bo oto zakotłosał się, przesunął, okręcił w posadach swoich świat — i te same słowa, ta sama prosta prawda znaczyła już o tej chwili zupełnie co innego.

Dawniej te słowa — swoją ziemia i swoje granice, to była właśnie Polska, to była jej niepodległość i potęga. Dziś oznaczały one pomniejszenie jej siły i pomniejszenie jej granic.

Czyż więc można powiedzieć, że to Walewicz się zmienił, skoro przestał myśleć, że każdy naród powinien mieć swoją ziemię i swoje granice, choćby był najmniejszy. Nie, on wcale się nie zmienił, ponieważ chciał zawsze tego samego: wielkości ojczyzny. Zmieniły się tylko słowa, któremi teraz można było wyrażać tę samą chęć.

Bo własna ziemia i własne granice znaczy to nierównie więcej, niż te słowa. Bo wszystko jest żywe, wszystko chce się wciąż zmieniać, rosnać, przetwarzać i rozpościerać.

Nigdy z niczem niema spokoju, nigdy nie jest tak, żeby wreszcie było dobrze.

Była jeszcze inna ważna rzecz, o którą Julek, o którą „młodzi” mieli pretensję do Walewicza.

Za *tamtych* czasów Walewicz głęboko się przejmował losem ludzi, którzy za swą ideową działalność dostali się do więzienia. Położył w tej dziedzinie praw-

dziwe zasługi, organizując dla nich pomoc, a także, jako prawnik, pisząc o tem rozprawy teoretyczne, które nawet w swoim czasie odegrały pewną rolę.

Był z tych, co się oburzali, że ludzi można pozabawiać wolności za wyznawanie idei i za wyznawanie idei wieszać na szubienicy. Myślał to w ten sposób, że szło mu istotnie o samą potworność krępowania ducha ludzkiego w jego szlachetnych porywach, o przeciwstawienie idei i przemocy.

Ale okazało się teraz — przy nowej konjunkturze, po wielkiem przesunięciu w układzie rzeczywistości — że te znowu słowa, te własne, ukochane hasła, stały się nagle obrzydliwe i bezsensowne.

Były istotnie demagogicznym frazesem, jak kiedyś mówili owocześni przeciwnicy — odkąd zaczęły oznaczać coś zupełnie innego, odkąd nazywały rzecz niebezpieczną i wrogą.

Ale trzeba było dopiero zwycięstwa własnej idei, by tę sprawę zrozumieć. Bo niepodległość, bo swoja ziemia i swoje granice zagarnęły już tyle ofiar i tyle krwi, tak wysoką opłacone zostały ceną, że musiały wystarczyć.

Ziszczenie się dziejowe każdej ideowej koncepcji oznacza taki jej układ z rzeczywistością, by jak najmniej różniła się od tego, na czego miejsce przyszła. Dopiero wtedy może panować i może trwać, gdy zaopuści korzenie w te same miejsca ziemi, z których właśnie tamte wydarła, gdy wleje się w wyżłobienia dawnego życia i według kształtu tych wyżłobień doładnie się ułoży.

Tak, teraz znowu inni, nowi ludzie siedzieli po więzieniach — ponieważ więzienia nie mogą być puste. I oni znów mówili, że nie wolno więzić ludzi za idee. Ale tuż obok, za granicą kraju, gdzie działa im się ta krzywda, w rewolucyjnych więzieniach zamknięci byli ci sami, którzy po tej stronie granicy mocni byli w więzieniach zamykać.

Tak więc nietylko słowa, nietylko idee i marzenia stawały się w przemianie świata wciąż czemś innym. Ale czemś innym stawały się też same osiągnięcia. Sama ziemia i same granice oznaczały za każdym razem co innego.

Może więc Walewicz wcale się nie zmienił, może nie potrzebował zapierać się swej młodości. Może tylko bezustannie zmieniał się świat, i jego miejsce w nim było już inne.

Przyjazd Walewicza do Blizborów zwiększył jeszcze wytworzone przez nich napięcie życia towarzyskiego. Wciąż przychodziły nowe zaproszenia. Każdy bowiem chciał coś z tego powodu u siebie urządzić.

Przez te dwa tygodnie małe nasze miasto żyło pełnem tętnem stolicy.

Najwspanialszy niewątpliwie był raut w województwie, w salach starego pałacu, odrestaurowanego niedawno na miarę europejskiej rezydencji. W tę dawną, wielkopańską formę wlało się skwapliwie młode życie nowoczesne i wypełniło ją dokładnie, też przybierając w pewnej mierze jej kształt. Lokaje w czerwonych frakach stali u drzwi, a na liście gości, zaproszonych przez urzędnika demokratycznego państwa, znaleźli się wszyscy miejscowi przedstawiciele utytułowanych rodów. Ale pan Zaniemski utrzymywał, że bez tego żadna rzecz naprawdę doniosła odbyć się nie może.

Gdy wspominam o panu Zaniemskim, trudno mi jest wyobrazić go sobie samego przez się. Możnaby sądzić, że nie miał żadnego osobistego życia, że dokumentował swe istnienie zawsze tylko przez swój sto-

sunek do innych. Żył cudzemi sprawami, gdyż własne przestały go już może interesować. Przykrości innych były dla niego osobistemi przejściami, a cudza radość naprawdę głęboko go cieszyła. I poprzez niego dopiero te cudze sprawy stawały się dostatecznie ważne, odpowiednio ujęte i zakwalifikowane.

O nim samym, jako takim, niewiele mogę powiedzieć, chociaż go dobrze pamiętam, chociaż widywałam go wówczas prawie codziennie.

Jedna rzecz przecież była niewątpliwie jego własna, mianowicie metoda, z jaką znosił swoje ubóstwo. Każdy bowiem trudną tę rzecz robi inaczej.

Pan Zaniemski po młodości, spędzonej w dostatkach, zachowywał się wobec swych dzisiejszych warunków tak, jakby nic szczególnego się nie stało, jakby nie warto było o tem wspominać. Zdawał się nie poświęcać tej sprawie wcale uwagi. A przecież zorganizował ją w sposób rozumny i celowy.

Zbyt cenił sobie możność utrzymywania stosunków z ludźmi, by nie miał tego uwzględnić w swym systemie. Znalazł więc sposób, aby do każdego z umiłowanych sportów mieć przedniego gatunku przybory i kostjumy, a na każdą porę dnia odpowiedni strój dobrego kroju. Nędza jego domu nie mogła jakby wcale dosięgnąć jego osoby.

Nietylko nędza, ale też i niewiarogodny brud, panujący w tem schronieniu, do którego pozwalał bez najmniejszego zakłopotania przenikać każdemu, kto tylko chciał. Gazety, w nieregularnych stosach zalegające sprzęty i podłogę, nagromadzenia niedbałe papierosów

i popiołów, grube, miękkie, zadawnione złoża kurzu na wszelkich powierzchniach, pajęczyny, oplatające ściany i sufit, czarne od zjadliwych filowań naftowej lampy — to wszystko zdawało się wcale go nie dotyczyć, z tem wszystkim nie miał poprostu nic wspólnego. Jak ktoś obcy, oglądał się za miejscem, gdzie mógłby położyć laskę i rękawiczki, jak ktoś obcy nieznacznie otrzepywał palce, dotknąwszy zakurzonego przedmiotu — wszelako jak ktoś obcy i delikatny zarazem, bo żadnem słowem, żadnym grymasem nie okazujący obrzydzenia.

I osiągał jednak to, że z plugawego tego miejsca wychodził co rano do pracy czysty, wyświeżony, pachnący i nawet — można powiedzieć — wielkopański.

Tem się tłumaczyło, że pan Zaniemski brał zawsze udział w najświetniejszych naszych uroczystościach i nawet mógł być uważany za ich ozdobę.

I tym więc razem tak było. Raut w województwie zgromadził co najprzedniejsze towarzystwo. Przez amfiladę sal, w rozjarzonej jasności żyrandoli, podbitej taflą posadzki, jak reflektorem — odbywała się niejako parada miejscowych znakomitości. A w tem płynnem przelewaniu się ciżby gwarzącej mała grupa ziemiańsko - arystokratyczna trwała nienaruszona przez osmozę na podobieństwo koloidu.

Jednakże, gdy pośrodku jednej z sal pod wspólnym baldachimem światłości zatrzymali się w zwyczajnej ludzkiej rozmowie sam wojewoda z ministrem Walewiczem i starym magnatem, księciem Ruskim, a po chwili przystąpił do nich jeszcze generał Ninota — wówczas oczy wszystkich obróciły się w tę stronę,

a serca — nawet najbardziej odporne — urosły. Oka-
zało się bowiem widomie, że to, co w posadach swoich
było napozór nie do pogodzenia, łączyło się przecież
solidarnie u wierzchołków.

Z grupy tej jeden tylko generał Ninota — mimo
że i on zamieszkiwał teraz ze swą rodziną piękny
apartament, że miał stare meble i wschodnie dywany,
że władzy jego podlegały całe zastępy ludzi — pozostał
w duszy swej dawnym prostaczkiem. Chłubił się tem
nadewszystko, że właśnie jest skromny i popularny, że
nie przejmuje się zgola swem stanowiskiem, że po-
prostu robi to, co do niego należy i już. Ale w tej
skromności swojej, będącej inwersją pychy, nie mógł
się uspokoić, wciąż jeszcze nie umiał sobie jakoś z tem
poradzić.

Opowiadał, że on sam, zarówno jak jego żona,
przyjmują u siebie i odwiedzają oficerów i ich żony,
podkreślał, że chętnie bywają w kasynie na ich zaba-
wach. Mówił tak:

— To są dla mnie tylko młodszy koledzy. Tak,
uważam ich poprostu za moich młodszych kolegów.

Zapamiętał sobie dobrze tę formułę, widocznie
uważając ją za szczęśliwą. I niejednokrotnie w różnych
okolicznościach ją powtarzał. A wszyscy słuchali te-
go ze skwapliwym, najżyczliwszym uśmiechem.

Jeden tylko pan Zaniemski, żyjący zawsze ży-
ciem innych, głębiej rozważał tę dziwną sprawę. Za-
stanawiał się mianowicie nad tem, że jeżeli generał Ni-
nota uważa niższych oficerów tylko za swoich młod-
szych kolegów, to co myśli w istocie, że oni są.

Pole do domysłów było tu rzeczywiście nieograniczone.

Trzeci zaś z owoczesnych przyjaciół, pan Słuszański, był na raucie nieobecny, chociaż i on otrzymał zaproszenie. Nikogo to nie zdziwiło, było bowiem wiadomo wszystkim, że przy swem zmęczeniu i złym stanie zdrowia chętnie większych zebrań towarzyskich unika. Przyszła natomiast pani Renata oraz Justyn, bawiący podtenczas w naszym mieście.

Dla Agnieszki Blizbor było to pierwsze publiczne u nas wystąpienie — i wypadło poprostu wspaniale. Zbyt nawet wspaniale, jak się niektórym wydało. Była wesoła, piękna, zadziwiająco jakoś ubrana, zarazem miła i interesująca. Wojewodzina, generałowa, hrabina Osieniecka — wszystkie miarodajne damy przyjęły ją jak najlepiej, uznały ją niejako za swoją.

Blizbor, tracący zawsze w większem towarzystwie, gdzie jego chmurnemi minami nikt się nie wzruszał, przebywał wpobliżu swej żony prawie niewidoczny. Agnieszka na ten raz wydawała się bardziej córką swojego ojca, niż żoną swego męża, tak się złożyły okoliczności, tak jakoś wypadło z sytuacji. Konjunktury były niewątpliwie bardzo pomyślne, obecność takiego ojca wyznaczała Agnieszce jakgdyby pierwszą rolę i przywracała jej ponadto urok młodej dziewczyny.

Aż to było zbyt dobrze, aż wydawało się trochę niepokojące. Pomyślał to już wtedy pan Zaniemski, a pani Renata nawet powiedziała.

Powiedziała to w ten sposób, że „panie z miasta” mogą się czuć urażone, bo mogą myśleć, że Agnie-

szka od nich stroni, że się ponad nie wywyższa. Ostatecznie Blizbor jest niczem więcej, jak zwykłym urzędnikiem, niższym od wielu tutaj obecnych urzędników wojewódzkich.

I — zawsze sobie wierna — pani Renata z zatroskanemi oczami podeszła do Agnieszki, by ją odwołać stamtąd, by ją koniecznie przedstawić paru starszym paniom z miejskiego towarzystwa.

Agnieszka znów zawsze była pewna, że wszystko samo jak najlepiej się ułoży i ufnie rozmawiała z każdym, kto był najbliżej, nie robiąc żadnych planów. Ale skoro Renata tak chciała, najchętniej usiadła w tem nieznanym gronie i rozmawiała ze skromnymi kolegami swego męża, równie wesoła i szczęśliwa, jak przedtem. A Blizbor naboku dziękował Renacie, że jest taka dobra.

Drugą młodą kobietą, wszystkich tutaj interesującą, była synowa hrabiny Osienieckiej, pierwszy raz przybyła do naszego miasta owa cudzoziemska żona młodego Kornela Osienieckiego. Ta jednak definitywnie nie podobała się nikomu — flegmatyczna, ciężka, z okrągłą twarzą i dużemi, wystającemi zębami, śmiejącą się niechętnie i grubo. Ale wszyscy powtarzali sobie, jak ona jest z domu — i to jednak wystarczało, to było nawet bardzo wiele.

Z rautu w województwie Walewicz z córką i zięciem wyjechali najwcześniej. Ale zabrali ze sobą panią Renatę i Justyna, których Blizbor pragnął odwiedzić do domu.

Justyn rad był każdej sposobności, pozwalającej mu o tym czasie przebywać blisko Walewicza. Nie ważył się zadawać mu natrętnych pytań, ale wielu spraw niejasnych w obecnej sytuacji politycznej był ogromnie ciekawy i pragnął coś o nich usłyszeć. Każde słowo ministra pił głodnie z jego ust i zapisywał w pamięci.

Walewicz nie był trudny ani niedostępny, nie usiłował bynajmniej takimi środkami zapewniać sobie wpływu na młode umysły. Prosto, wesoło i chętnie mówił na każdy temat. A jednak nie zaspokajał ciekawości — mimo, że słowa jego były napozór jasne, raczej charakteryzował, stawiał problemat, niż go rozwiązywał. Justyn słuchał i starał się jego mowę jakgdyby na swój język przetłumaczyć.

Rozmawiając, Walewicz brał teraz pod uwagę i obecność pani Renaty, liczył się z jej duchową potrze-

bą entuzjazmu. Więc powracał do różnych szczegółów tego wieczoru, chwalił wojewodę, odbudowę pałacu, wygląd towarzystwa, przyjęcie. Wszystko mu się podobało. Nie oczekiwał w okolicy, która tyle od wojny ucierpiała, takiego szybkiego odgięcia się po klęsce, takiego poziomu życia. I Renacie rzeczywiście miło było słuchać tych rzeczy — zwłaszcza, że Agnieszka żywo popierała sądy ojca.

Zato, gdy tylko rozstali się ze Słuczańskim, gdy ruszyli przez śpiące miasto w swoją stronę, ich sposób bycia, ton ich słów zmienił się odrazu. Leżeli we troje na przepaścistym siedzeniu, oddając się biernie kolebaniom drogi, ziewali głośno i zaśmiewali się, mówiąc o tem i owem, o ludziach i sytuacjach. Jakaż ulga była w tem znalezieniu się bez obcych, w tem byciu sobą. Walewicz lubił się pośmiać, jak Agnieszka. Blizbor swem milczeniem nie krępował ich zupełnie, był miłym słuchaczem.

Żartowali sobie z Ninoty, z tego dawnego Franka Ninoty i jego nowiutkiej żony. Z pierwszą wziął rozwód, gdy tylko został pułkownikiem, nie nadawała się już bowiem do nowej sytuacji. Walewicz znał ją dobrze i pamiętał. Mówiła do każdego „wy” i nigdy nie miała na sobie sukni balowej, uważając to za sporniewieranie człowieczeństwa. Nie, nie pasowała do nowego kursu.

Zato obecna żona doskonale się do niego nadawała. Posiadała mianowicie to, co nazywała towarzyskiem wyrobieniem i czego brak u innych ją raził. Drobna, sucha i nieładna, pochodziła z „wyższej sfery”, była

mianowicie rozwiedzioną żoną bogatego fabrykanta, który ją porzucił, by się ożenić ze swą maszynistką. Generałowa umiała się więc odpowiednio ubrać, właściwie odezwać, we wskazanym czasie złożyć i odebrać wizytę — i o tych wszystkich tajemnicach pouczyła swego niedość doświadczonego męża. Niełatwo natomiast było ją czemś zadziwić, w przeciwieństwie do pani Renaty była zaiste wcale nieskłonna do entuzjazmu. Wobec warunków, do jakich przywykła, dzisiejsze wydawały jej się bardzo skromne. To też, gdy ktoś naiwny — wedle panującego u nas zwyczaju — podziwiał jakiś szczegół jej domu albo jej stroju, generałowa odpowiadała z wyrafinowanym uśmiechem: „widziałam ładniejsze i miałam ładniejsze”. Tak, że już w żaden sposób nie można było mieć wątpliwości, z kim ma się do czynienia.

Walewicz był pewien, że to właśnie jej wyrobieniu towarzyskiemu zawdzięczał Ninota tę koncepcję, iż podległych sobie oficerów uważał poprostu za młodszych kolegów.

Z tego tematu Walewicz i Blizborowie mieli dosyć uciechy aż do samego domu. Ustalili niewątpliwie, że masowe zjawisko zastępowania dawnych żon nowymi jest charakterystyczne dla powojennego czasu nie tylko w naszym kraju. I widzieli w tem ważny proces socjalny akomodowania się do zmienionych warunków życia, poszukiwanie właściwych kobiet na właściwe miejsca. Ale co mają robić wszystkie tamte żony, które okazały się niewłaściwe, co z nimi ma być? Walewicz był zdania, że, gdyby założyły związek

zawodowy żon opuszczonych, to wytworzyłaby się bardzo silna jednostka organizacyjna, z którą trzeźwa polityka musiałaby się liczyć.

Wjeżdżali miękko pod górę, białą drogą w czarnych, starych drzewach. Było szaro-błękitnie, prawie jasno. Dużo mdłych, popielatych obłoczków szło wysoko po niebie. Świat nocą tu na górze wydawał się większy i spokojny.

Stanęli przed cichym domem o oknach ciemnych — i znowu dom wydał się mniejszy, niż był naprawdę, mniejszy od wielkiego czarnego samochodu i mniej od niego rzeczywisty w objęciu czarnych drzewek, owiniętych słomą, w świetle niepełnego księżyca.

Przez chwilę patrzyli za autem, które zawsze z pewnym trudem tu wykręcało. Blizbor tymczasem otwierał równe, dębowe drzwi wejścia — z dwiema wgórze owalnemi i wypukłemi szybkami, małemi, jak kaboszony. Światło rozlało się po holu i pomknęło do góry schodami.

Czysty, wyświeżony dom, gdzie wszystko było nowe, rozwierał się głęboko na ich przyjęcie, robił się coraz bardziej rzeczywisty.

Agnieszka, nie zdejmując futra, weszła do pokoju. Była gotowa zrobić herbatę, gdyby chcieli. Ale woleli podzielić się jedną ostatnią pomarańczą. Zakręcili światło w jadalni, które przed zgaśnięciem rozbłysło nakrótka wszystkiemi żarówkami z pod sufitu. Idąc znów przez hol, zatrzymali się chwilę przed lustrem — tak we troje. Agnieszka wiedziała, że może ojciec niedość lubi Pawła, że może nie rozu-

mieją się obaj tak dobrze. Ale oto ona stała pośrodku między nimi i przez chwilę krótką obu obejmowała rękami. Łączyła ich sobą, łączyła ich tem, że ona ich obu kochała.

Powoli szli po schodach, już zmęczeni i senni. Gdy ojciec powiedział dobranoc i odszedł do swego pokoju, Agnieszka odrazu spoważniała.

Było tak zawsze, gdy zostawali we dwoje. Wówczas sprawa robiła się serjo. Ich samotność podnosiła odrazu poziom tej chwili. Mówili jeszcze to i owo — niedbale, niechętnie, otrząsając ze siebie resztki obcego życia. Teraz ich życie stawało się ważne, stawało się zupełnie jedyne pośród ogromnego świata. To, co ich ogarniało, było poważne i patetyczne. Nie tu było miejsce na żarty.

Dopiero teraz pochmurność jego twarzy nabierała właściwej treści. Był w tem patos, surowa, nieubłagana miłość.

— Tęskniłem za tobą przez cały dzień — powiedział Paweł. I nie było w tem wyrzutu. Było udręczenie. — Tęskniłem za tobą przez cały dzień — powtórzył powoli, wyraźnie, cicho.

Agnieszka patrzyła nieśmiało, przeniknięta do głębi radością, zawsze jednakowo zadziwiona. I trochę winna. Bo ona nie wiedziała, nie czuła tego, gdy on tęsknił. Bo ona cieszyła się ojcem i miała oczy i myśli pełne mnóstwa rzeczy, związanych z przemijającym dniem. Więc bała się uśmiechnąć.

Tak — od samego początku tej miłości czuła się zawsze nieco winna, nigdy zupełnie spokojna. Jak-

gdyby odrazu wiedząc, że sprawi mu sobą zawód, że miłością swoją dziecinną niezdolna jest sprostać szaleństwu jego uczucia.

Nigdy bowiem, nigdy od samego początku w twarzy jego nie było radości. Więc dlatego mogła myśleć, że jeszcze widocznie nie dała mu z siebie wszystkiego, sama zawdzięczając tyle. Że powierza się potędze rwącego uczucia, biernością tylko umiając mu nadażyć. Że jest pomiędzy nimi miejsce puste, miejsce, które czemś — wziętem z jej serca — trzeba wypełnić. I jeszcze raz pomyślała, że to musi być cierpienie.

Agnieszka usiłowała powiedzieć mu o tem właśnie teraz spłoszonymi jakimiś słowami. Chciała, by wiedział, chciała mu przyrzec.

— Pawle, ja wiem, że nie jestem dla ciebie taka, jaką może, jaką...

Przymknął oczy ponure i gniewne. Pociągnął ją do siebie.

— Nie chcę nic więcej — powiedział. Pomyślał chwilę i powtórzył: — Nie chcę nic więcej.

Patrzyła na niego, czekając. I powoli uśmiechała się do niego, nie przestając patrzeć. Ale Paweł nie odpowiadał nigdy uśmiechem.

Tylko oczy jego ciemniały od jej uśmiechu, stawały się mroczne i matowe. Wiedziała już. To właśnie — ta matowa czarność — to właśnie był kolor ich rozkoszy. Ten mrok.

— Ty pachniesz, jak żółty łubin, jak żyto kwitnące...

Inną godną uwagi uroczystością, związaną z pobytym Walewicza w naszym mieście, było śniadanie u hrabiny Osienieckiej w Porach. Godna uwagi zresztą była też sama hrabina Osieniecka.

Osoba ta mieszkała już od szeregu lat zupełnie sama w swoim pałacu — zrujnowanym, spustoszonym, złupionym przez wojnę. Sama też, wykazując stałość niezwykłą i energję, po powrocie z Rosji wyjednała u rządu odwołanie parcelacji swych dóbr, już rozpoczętej, uzyskała pożyczkę, zakupiła inwentarz i zorganizowała zupełnie na nowo całe gospodarstwo. Zrobiła to wszystko sama, doprawdy sama — i to było zadziwiające.

Jej syn młodszy zginął zamordowany, zginął w jej oczach. O, takiej rzeczy nie można zapomnieć, od tego nigdy już nie można odejść. Wiecznie młoda hrabina, której minjaturowa uroda opierała się dotąd działaniu wszystkich nieszczęść wojny, tego jednak nie wytrzymała. Zmieniła się odrazu, coś zaczęło się z nią dziwnego robić. Nagle osiwiiała, zmałała, schudła. Stała się chuda jakby poza granice wszelkiej możliwości.

Syn drugi, starszy, Kornel, jeszcze przed wyjściem z wojska znalazł się w jakiejś misji zagranicą i tam już pozostał, zaciągnąwszy się do służby dyplomatycznej. Tam się też ożenił w sposób zgodny ze swem przeznaczeniem.

Więc pani Osieniecka była w Porach sama. Małutka, chora na ciężką formę cukrzycy, trwała tu mężnie latem i zimą, cała ginąca w grubych, czarnych wełnach odzienia, zabezpieczających od chłódów i przeciągów opustoszałego pałacu.

Rzadko przyjeżdżała do miasta z tych Porów, odległych o kilkadziesiąt kilometrów. A obecność jej na raucie wojewódzkim tłumaczyła się jedynie przyjazdem syna i synowej, a także osobą Walewicza, którego przyjaźń mogła być cenna dla Kornela.

Hrabina była tak chuda, że można ją było rozważać wyłącznie prawie z profilu. Wąskość jej twarzy i jej postaci zdawała się paradoksalna, prawie niewiarogodna. I z tem wszystkiem, z zupełnie siwemi włosami była jeszcze zawsze śliczna. Miała ogromne, brązowe oczy — wąskie, zachodzące daleko aż na skronie, niewypowiedziane, dziwne — jak na egipskich profilach. I egipskim sposobem zwiększała je jeszcze, podkreślając powieki i przedłużając je ołówkiem, wierna dawnej — dziś już niepożytecznej — kokieterji. Nos miała wąski z garbkami, nozdrza wykrojone precyzyjnie, małe i wąskie usta o słodkim uśmiechu. Nie robiła wrażenia osoby starej, tylko prawie nierzeczywistej — była dziwna, chorobliwa i zarazem urocza, jak zjawia.

A w tej nędzy fizycznej tkwiła niezwykła moc,

twarda, nieustępliwa siła, opanowanie niezawodne, umiejętność władania ludźmi i sobą. Leciutka ironja jej krótkich słów, jej uśmieszek ponad wszelkimi trudnościami i obiekcjami — to było nie do przeparcia, temu nikt nie mógł poradzić.

W Porach założyła wielkie, wzorowe sady i ogrody. Każdy znał owoce poreckie — melony, ważące do trzech kilogramów, brzoskwinie wielkie, puszyste i wonne, cudowne truskawki. Sama ona nic z tego nie jadła, nie mogła nawet spróbować — zagładzała się bowiem dietą, której każde przekroczenie groziło jej życiu. Nie jadła nic z tego ani ona, ani nikt z jej bliskich — bo bliskich nie było. Po śmierci młodszego syna Kornel pozostał jedynem jej dzieckiem. Mieszkając wciąż zagranicą, młody hrabia całemi latami nie zjawiał się w Porach, a z żoną przyjechał do matki teraz po raz pierwszy.

Synowę swoją znała pani Osieniecka tylko ze ślubnych uroczystości, na które wyjechała zagranicę. Dopiero teraz miała ją poznać bliżej, teraz miały się ułożyć te stosunki.

Pani Osieniecka dobrze rządziła swym majątkiem. W jej malutkich rękach ludzie zwijali się od pośpiechu i wysiłku, pracowali do siódmego potu. To samo było ze zwierzętami, nawet pługi, maszyny, traktory pracowały jakby do samej granicy wytrzymania.

Pewnem spojrzeniem, niezawodną intuicją wynalazła sobie i dobrała rządców — i uprawiała olbrzymie obszary ziemi, wciąż ścigana grozą parcelacji i re-

formy. Z jałowych zagonów wydzieraa większy plon, niż najlepsi gospodarze okoliczni.

Wydzieraa też nie dla siebie, to prawda. Ale i nie dla swoich ludzi. Szemrajaca służba folwarczna z trudem otrzymywała należne ordynarje, podnosiła lament o niemożliwe dworskie mieszkania, targowała się o pieniądze.

Pani Osieniecka musiała przecież wiedzieć o tem wszystkim. I godziła się na ten stan rzeczy nie dlatego, by myślała, że ci ludzie nie powinni mieć lepiej. Wcale nie. Godziła się, ponieważ myślała, że inaczej nie można.

Raz, będąc w mieście, opowiadała mi z ironicznym uśmieszkiem o swoich kłopotach, których rzeczywiście miała wiele. I nagle zupełnie szczerze, zupełnie naiwnie powiedziała mi taką rzecz:

— Ja nigdy nie chodzę do ich mieszkań, nie mogę. Wiem, że u nich jest okropnie, poprostu nie jestem w stanie tego oglądać. Dzieci siedzą tam w wilgoci i zimnie, ściany są dziurawe, z dachów kapie. A ja nic na to nie poradzę w tych czasach, tak ciężkich, gdy cała nasza egzystencja jest zachwiana, teraz nie mogę robić lekkomyślnie żadnych wkładów.

Spochmurniała, mówiąc to, była rzeczywiście wrażliwa. Jej wąziutkie usta zacięły się smutnie i zarazem nieustępliwie.

Tak, na to nic nie można było poradzić.

A znów leniwy i ciemny lud ze wsi, zwykli najemnicy, też niechętnie szedł na dworskie pola. Wiedzieli, że ludzkie siły będą tam wykorzystane do-

ostatka, a ponadto myśleli już przecież o tych gruntach, jako o swoich.

Był czas przed wojną, że pani Osieniecka sama chodziła do ich chat, że nosiła babom lekarstwa, że interesowała się ich dziećmi. Dziś już nie. Dziś wiedziała, że to są źli, głupi, niewdzięczni barbarzyńcy — ta bezimienna masa, z której wyszedł morderca jej młodszego syna.

I znowu ironicznie mówiła o faktach zadziwiających, że chłopom, zniszczonym przez wojnę, daje się darmo drzewo i nawet pieniądze na odbudowę — po to jedynie, by za bezcen sprzedali budulec i mieszkali nadal w swych wpuszczonych w błoto, pozostałych z czasu wojny, ziemiankach. Że buduje się dla nich drogi, że się daje ziemię.

Mówiła, hamując oburzenie, że rząd, sam rząd zakłada tu szkoły w ich języku, że z publicznego, narodowego grosza opłaca nauczycieli tych szkół, którzy są tuziemcami...

— Czy można sobie wyobrazić, czy to jest do pomyślenia, aby taką rzecz zrobiła na przykład Anglja, aby zrobił to ktokolwiek inny, oprócz Polaków!

Uważałam, że to jest do pomyślenia. Ale pani Osieniecka nie chciała temu wierzyć.

— Tam u nas nie rozumieją, nie wiedzą, że tylko silna ręka, tylko surowa władza może ich jeszcze jakoś utrzymać w karchach. Nie znają tutejszych stosunków nad granicą. Tutaj dobry pan jest lekceważony. Jeżeli pożyczą chłopom narzędzi, jeżeli daje im ziarno, jeżeli nie bierze opłaty za zajęte na pastwisku

bydło — myślą, że widocznie nie jest na swoim, że nie jest pewny ziemi, że chce im się pochlebić. Właśnie trzeba chłopą bić, gdy się go zaskoczy w szkodzie, trzeba go trzymać groźbą i strachem — wtedy będzie przywiązany i pokorny, wtedy nie wyjdzie z niego morderca...

Takie rzeczy mówiła — surowe i wolne od złudzeń — ustami najdelikatniejszymi, jakie mi się zdarzyło widzieć. Jej oczy długie, czarno podkreślone, tajemnie patrzące, zdawały się ważyć w głębi siebie zupełnie inne sprawy.

Pan Zaniemski zgadzał się na to: nikt nie był tak niepodobny do swoich słów, jak właśnie ona. I nie tylko była niepodobna do swoich słów — ale do swoich czynów, do całego swojego życia.

Pan Zaniemski znał ją dawniej, jeszcze przed wojną, chętnie opowiadał o jej urodzie. Była zawsze krucha i delikatna i była taka niepraktyczna! Zmieniła się ogromnie, może aż stała się kimś innym. Jej życie rozminęło się z jej charakterem.

Była stworzona tylko na ozdobę, na zbytorny dodatek do życia. A teraz nie miała już czego ozdabiać.

Los zażądał od niej czego innego. „Trwała więc na swoim posterunku”, jak mówiła, tu, nad samą bolszewicką granicą — bohaterska i ofiarna, chuda, znękana ciągłym głodem, marząca o na zawsze niedostępnym owocach, których całe pudy przesypywano każdego lata przed jej oczami.

Dlaczegoż to robiła? Cudowne melony i brzo-

skwinie szły starannie opakowane do naszego miasta, gdzie kupowali je i zjadali głównie żydzi, bo żydów było dużo w naszym mieście, samych doktorów było kilkudziesięciu. Żydzi też byli najbogatsi i mogli jeść najlepsze rzeczy, jeżeli tylko chcieli.

Hrabina Osieniecka bardzo nie lubiła żydów, poprostu brzydziła się ich rasą, chciwą, nieszlachetną duszą tego ludu. Ta rzecz nie podlegała żadnej wątpliwości. A los tak chciał, że właśnie dla nich szły jej owoce, że im służyła ciężka praca jej życia. Mówiła to i znów uśmiechała się ironicznie.

Aż dziwno było patrzeć na coś podobnego, na nią, żyjącą między chłopami, których miała za morderców, i żydami, których miała za wrogów, trwającą mimo wszystko w skupieniu i napięciu, w pracy i wyrzeczeniu. To była jednak sprawa zbyt poważna, wysiłek woli zbyt wielki, by miał iść w próżnię. Cała ta ofiara musiała mieć jakieś usprawiedliwienie, jakiś wykładnik ideowy — no, musiała mieć poprostu jakiś sens!

Więc może miała sens. Bo gdy zakazane dla pani Osienieckiej owoce szły do miasta, to pieniądze za te owoce — zysk czysty i jedyny konkretny rezultat całej tej sprawy — szły dalej, daleko zagranicę. Szły do młodego Kornela Osienieckiego, którego tryb życia, którego zwyczaje, podróże, dom i samochód, którego obiady, rauty i śniadania musiały odpowiadać wysokiemu jego tam stanowisku i umacniać renomę Polski, jako kraju dostatniego i znającego się na zbytku wyrażanym.

Pani Osieniecka zawiadywała sama tym dziwnym obiegiem wartości, czuwała pilnie nad tą przemianą materji — aby niechętną pracą obcego chłopą, poprzez racjonalny apetyt żydowskich konsumentów, karcić wysokie ambicje swego rodu. Bo jej jedyny syn — teraz zaledwie drugi czy pierwszy sekretarz poselstwa — musiał swą rasą, tradycją, urodą i kulturą tam, na dalekiej obczyźnie, osiągnąć to wszystko, ku czemu był przeznaczony.

Do hrabiny Osienieckiej na śniadanie jedni naturalnie byli zaproszeni, a drudzy nie byli zaproszeni. Przez czas jakiś mówiło się o tem dość dużo, kto był, a kto nie był. Ale potem się mówić przestało.

Bo to, że naprzykład z miasta nie byli zaproszeni państwo Słuczańscy, a byli zaproszeni państwo Ninotowie, nie mogło wcale nikogo zdziwić. Że nie był zaproszony pan Niewolewski, a był zaproszony Justyn Słuczański, to też było naturalne. Ale dziwne było, że nie był zaproszony pan Zaniemski.

Dziwne było naprzód dlatego, że pan Zaniemski był najdawniejszym z zamieszkałych w mieście znajomym Osienieckich i kiedyś nawet ich sąsiadem. Powtóre zaś dlatego, że bardziej, niż ktokolwiek w mieście, należał do „tamtej” sfery. Bardziej, niż generał Ninota, który był chłopem z pochodzenia, bardziej, niż wojewoda, który nazywał się Hupek, bardziej nawet, niż sam Walewicz. Prawda, że tytułu nie używał — i może nie dlatego, jak twierdził, że tytuły zniesione zostały przez Konstytucję, tylko dlatego, że nie przystawał do jego dzisiejszej sytuacji. Jakkol-

wiek jednak było, pan Zaniemski miał do tytułu prawo lub, jeżeli kto woli, nie miał tego prawa — zupełnie w tej samej mierze, co hrabina Osieniecka.

To pominięcie, dla innych dziwne, panu Zaniemskiemu właśnie wydawało się całkiem naturalne. Uważał za objaw samoobrony, za zdrowy instynkt socjalny usuwanie z obrębu danej grupy każdej jednostki, dotkniętej piętnem zdeklasowania.

Sam pamiętał z dzieciństwa przebywającą w ich bogatym wówczas domu „panią Michalciovą”, wdowę po dawno zmarłym wuju, który cały majątek swój stracił i żonę pozostawił w nędzy. Nikt nie nazywał jej ciocią, nikt jej nie wołał, gdy przyjeżdżali goście, nikt prawie nie pamiętał, że była kimś bliskim, kimś swoim. Była inaczej ubrana, niż wszyscy, do kościoła wyjeżdżała bryczką. W domu najczęściej przebywała ze służbą, czuwając nad czemś w gospodarstwie, albo samotnie siedziała w swoim pokoju, w oficynie. W tym pokoju było tak dziwnie, tak odmiennie, starodawnie, tak pachniało sianem i ubóstwem, że dzieci z rozkoszą tam przebywały, choć tego nikt nie pochwalał.

Uznając za słuszny taki stan rzeczy, pan Zaniemski wnosił zeń jednak, że istotnym łącznikiem, utrzymującym arystokratyczną wspólnotę, nie są węzły krwi ani cenzus rodu, nie jest tradycja, że nieprawdą jest ten jednolity napozór front, zajęty wobec niższego, parwenjalnego świata. Ale że łącznikiem tym jest jednakże pieniądz, wielka fortuna, dająca rękojmię, iż zapewniony jest należny poziom życia i dostateczne pośród ludzi wywyższenie.

Tak więc pan Zaniemski na śniadanie do hrabiny Osienieckiej zaproszony nie został, chociaż tego dnia w południe wyjechało z miasta na szosę porecką kilka samochodów, pełnych gości.

I ten jeszcze dzień zimy był piękny, mroźny, słoneczny, lekko tylko zawleczony leciutką mgłą szarą, dywiącą naokoło ziemi, z poza horyzontu. Wstępowała tak zewsząd powoli ku górze świata, nie naruszając wcale cichości bezwietrznej pogody. I nie przesłaniała sobą nieba, tylko wsiąkała w nie, nasycając jego barwę perłową szarością i różem.

W samochodzie Blizborów jechał znowu na czwartego Justyn Słuczański. Z Agnieszką przypominali sobie jakieś jazdy nadmorskie z przed czterech lat. Justyn nie mógł być wcale oczekiwać, iż los kiedykolwiek sprawi, aby powtórzyło się to znowu właśnie tu.

— I ja też nigdybym tego nie pomyślała — zgodziła się Agnieszka po dłuższej rozwadze.

Pochyliła się, aby zajrzeć w oczy Pawła z tym swoim drogocennym, ale jemu niepotrzebnym uśmiechem.

— Nie zostaniecie tu przecież długo — rzekł Walewicz.

— Dlaczego nie, papo? Tu jest dobrze, tu jest tak ładnie.

Przez oszklone ściany karety rozglądali się w biegu po okolicy, widzieli jej urodę. Białe, głęboki śnieg zimy łagodził całą prawdę nagiej ziemi. Czarne, oszronione lasy odchodziły wzgórzami do samego horyzon-

tu, małały, nikły i, wielkiem kołem omijając pola, przybliżały się znowu, z obu stron następowały na szosę i biegły prędko wzdłuż rowów nieprzeliczonemi, ciemnymi w śniegach swoich gałęzi pniami. Czasami pośród pól rozległych odosobniona na wzgórzu grupa nagich brzoź przewionęła gałązkami po owej mgiełce niebieskiej.

Rozłogami śniegów zaczął się przesypywać różowawy nalot, układać w płyty i smugi, chociaż daleko było jeszcze do zachodu. Ale słońce zeszło już w tę strefę nieba, gdzie błękit nasiąknięty był mgłą — i jego blask stał się mniej silny, matowy, owiany szarością i różem.

Wreszcie z jednego wzgórza otwarł się widok na Pory, liljową plamę parku w głębi obrazu. Jechali dalej — i zaraz załoniło tę stronę nowe pasmo pagórków. Minęli już dwa folwarki poreckie i wdole wieś Wiciądze nad zamarznąłą wodą, a za nią trzeci folwark z gorzelnią i młynem. Duże psy machały w gniewie ogonami i szczekały tuż u kół samochodu, ale tego nie było słychać. Z nowego wzgórza ukazały się znowu Pory ze ścianą pałacu pośród gałęzistych drzew. Jednocześnie na cienkiej, zwężającej się wciąż dalej linii szosy zobaczyli czarną, ruchomą plamę i przekonali się wkrótce, że to pan generał Ninota ze swoją żoną stoją przy samochodzie, u którego tylnej opony morduje się szofer.

— A wojewoda już przejechał — powiedział generał, gdy się zatrzymali i zaczęli wysiadać.

— Jeszcze nie jest późno — pocieszał Walewicz.

Sprawa jednak zaciągała się na dłużej. Więc Bliźbor zostawił szofera i sam usiadł przy kierownicy, zabierając do środka generałostwo.

— Mój pierwszy mąż też zawsze sam prowadził auto — zaczęła mówić zaraz po zainstalowaniu pani generałowa. — Prowadził bardzo pewnie, bardzo ostrożnie. I zawsze maszynę mieliśmy doskonale utrzymaną...

Tak naprawdę mówiła, chociaż te szczegóły dla nikogo nie były ważne, skoro nikt pierwszego męża pani Ninotowej nawet nie znał. Ale ona musiała tak mówić, to było silniejsze, niż ona. A generał bynajmniej nie czuł się tem skrępowany, nie, możnaby nawet pomyśleć, że i on znajdował w tem dla siebie jakąś chlubę.

Po świeżych, drobno wykarbowanych na śniegu śladach wojewódzkiego samochodu Blizbor zakręcił kierownicą ku bramie pałacu, szeroko otwartej.

Pomimo śniegu, trwającego na wszystkim, zniszczenie dawało się tu widzieć odrazu.

Z pięknych słupów wjazdowych leciał tynk, a na zawiasach wisiały nowe, jasne, nawet niemalowane sztachety z drzewa — i niemi to zawierało się teraz na noc wejście do parku.

Nad zamarzniętą rzeczną odnogą, gdzie wygięty łuk mostu lekko podrzucił dogóry samochód, figury sfinksów strażujących spieszenie popatrzyły z pod śniegu płaskimi, czarno zapłakanymi twarzami. I tu na cokółkach goła cegła wyglądała z pod tynku, a w wysmukłej, kamiennej balustradzie mostu brak było kilku pięknych słupków.

Wysoka, renesansowa fasada starej siedziby Osienieckich poznaczona była czerwonymi bliznami obnażonej cegły, z kolumn podjazdu także sypał się gruz. Jedynie schody były na nowo wycementowane, ponieważ były potrzebne.

Bo pani Osieniecka nie restaurowała tego, co swoją niszczącą pięknoscią dotąd czarowało oczy. Powtarzała, że nie może teraz robić lekkomyślnie żadnych wkładów. Wszelki zbytek, wszelka ozdoba jeszcze jakoś trwająca, przeznaczona już była na zgubę. Odnawiano tylko rzeczy niezbędne, służące pożytkowi i codziennym jego sprawom.

Życie i tutaj odbudowywało się na gorszym poziomie — nowocześnie i demokratycznie — normowane jedynie potrzebą dnia.

Drzwi otworzył siny z zimna służący w szarej, grubej liberji. Goście weszli do sieni wielkiej, jak sala publiczna, wyłożonej drzewem i lustrami. Już tutaj dawał się uczuć dym. Minęli dwie rozległe sale pałacowe, też pełne dymu. Dopiero w trzeciej nawinął się służący, by zdjąć z przybywających futra.

Wszędzie tutaj w starych kominkach płonął głośny ogień, ale nie mógł rozpędzić zadawnionego zimna tych niezamieszkałych apartamentów. Dym gryzł w oczy, leżał smugami na warstwach powietrza, nasiąknięty słońcem, ozdabiał fantastycznie to wnętrze wspaniałe, przesłaniał jego pustkę. Było za wielkie, zbyt obowiązujące, by dało się wypełnić dzisiejszym życiem, by się niem dało usprawiedliwić.

Stan rzeczy łatwo było wyczytać z dziwnego zestawienia przedmiotów. Jakieś ściemniałe, uszkodzone, cudem ocalałe malowidła, jakieś uratowane od zniszczenia tkaniny wisiały tu i owdzie po ścianach, kryjąc brak zwierciadeł w pustce ram, zasłaniając strzępy obicia. W największej, białej i złoczonej sali, z rzeźbionymi

odrzwiami, stały pośród pustki dwa garnitury trzciny-
wych, na czerwono polakierowanych mebli ogrodowych.

A wszystko ziało przejmującym smutkiem rze-
czy, trwającej aby zniszczyć, zaledwie tylko będącej,
ale już niepotrzebnej.

Bo całe życie tutejsze mieściło się obecnie w jed-
nem tylko pałacowem skrzydle na piętrze. W paru
odnowionych i ogrzanych pokojach, dawniej gościn-
nych, mieszkała hrabina Osieniecka. Tam zanoszono
jej z dołu obiad, tam w zwykłym czasie przyjmowała
rzadkie i nieważne odwiedziny. Tam odbywała swe
krótkie, surowe narady z rządcami i ze służbą. Tam też
spędzała długie godziny nad książkami, zestawiając
kwity i rachunki, rozważając sumy, czuwając nad obie-
giem tej złotej krwi w wielkim organizmie swych dóbr.

I dopiero dzisiaj, z powodu większego zjazdu,
otworzono i wyprzątnięto dół pałacu.

Walewicz z Blizborami i Ninotowie przemknęli
szybko przez lodowate strefy i znaleźli się w małej,
zamkniętej salce, gdzie powitani byli przez panią do-
mu i młodych Osienieckich.

Pokój ten, zastawiony najlepszymi, zewsząd tu
ściągniętymi meblami, wysłany dywanami, był ogrza-
ny zupełnie dostatecznie ogniem kominka. Ale i tu wiel-
ki, biały słup słoneczny, ukośnie oparty o wysokie ok-
no, ujawniał przenikający powietrze dym, do którego
nozdrza po pewnym czasie przywykały.

Około dwudziestu osób obstało stół białą na-
kryty, by z ciężkich, starych kieliszków pić vermouth
i, trzymając talerzyki pod brodą, jeść stojący za-

kąski, a zarazem z ożywieniem wieść głośną rozmowę. Prócz gości z miasta, była tu cała grupa ziemian z dalszych okolic województwa. Był też senator, z pochodzenia tutejszy mieszczanin, rozumny i układny, wiedzący swoje. I duży, chudy ksiądz kanonik o asceetycznej twarzy mnicha.

Hrabina, zawierzywszy Walewicza pieczy księcia Ruskiego, wróciła zaraz do poprzedniej rozmowy z panią wojewodzina. Nie okazując tego po sobie, nie tracąc zapewniającego jej przewagę ironicznego swego uśmieszku wobec spraw świata, niewątpliwie jednak zabiegała koło tej dygnitarskiej żony. Wtajemniczała ją w swe troski, pouczała o wiejskich stosunkach, usiłowała niejako dla tych zagadnień zjednać i nawet nie-mi wzruszyć tę cichą, gładziutko uczesaną, ubraną aż zbyt skromnie, do ostatnich granic poprawną kobietę, mogącą służyć za wzór tego, jak trzeba.

W przeciwieństwie do generałowej, wojewodzina Hupkowa na stanowisku swem zachowała cały takt i prostotę, które w niej wyrobił jej poprzedni zawód nauczycielki szkół średnich. Nastawienie jej wobec ludzi było życzliwe, wyrozumiałe, współczujące. Pragnęła podnosić i uszlachetniać, pragnęła — że tak powiem — krzepić.

To też skargi hrabiny nie były dla niej dość zrozumiałe. Uważała, że właśnie w jej sytuacji — tu, na wsi — łatwo jest zbliżyć się z ludem, działać dobrocią, budzić zaufanie, uświadamiać, dźwigać z ciemnoty, podnosić do siebie.

Mówiła to półgłosem, trochę smutnie, nie patrząc

w oczy hrabiny — sucha i doskonała, wzorowa i niesympatyczna. Tak, wobec takiego postawienia sprawy nawet ironiczny uśmieszek pani Osienieckiej stawał się bezsilny.

Naokoło mówiono ogólnie, że jest mróz i że jest pogoda. To nie powodowało rozbieżności zdań, to wytwarzało porozumienie. Hrabia Szepioł, generał Ninota i pan Świebodzki wspominali niedawne polowanie na wilki u księcia Ruskiego. Tego zarówno Walewicz, jak pan wojewoda i senator Lepowy także mogli posłuchać.

Powoli utworzyła się w tem miejscu ściska grupa mężczyzn, poważniejących od tego zbliżenia, przybierających wyraz twarzy skupiony, przejęty wagą padających słów. Bo oto książę Ruski kończy już odbudowę gorzelni, a dotąd nie odebrał przyznanej mu pożyczki, oto pan Świebodzki, dając pracę przy swoim browarze całemu zastępowi ludzi, ma wciąż tylko przykrości ze strony ministerstwa, a hrabia Szepioł w swym wielkim projekcie zamienienia bagien tutejszych na gospodarstwo rybne, mimo starań, uzyskać nie może poparcia rządu.

Ziemiańskie korzystali z obecności tak zwanych „czynników”, ludzi rządowych — i jeden przez drugiego mówili o trudnościach, przeszkodach, podatkach, groźbie parcelacji, nastroju chłopstwa, podatnego na wpływy wywrotowe, idące z poza granicy i zwalczane wciąż jeszcze niedość energicznie. Mówili to w taki sposób, jakby szło o sprawy ogólniejsze, obchodzące wszystkich. W istocie jednak wychodziło na to, że

poprostu skarżyli się przed tymi obcymi sobie ludźmi na prywatne swoje kłopoty, że zupełnie zwyczajnie pragnęli załatwić te przykre sprawy tu na miejscu, przy nadarzającej się sposobności, zamiast w biurze.

To nie było właściwe, niewątpliwie, to mogło raz-zić na przykład Walewicza, który miał rozwinięty zmysł śmieszności. A przytem nigdy sam nie zajmował nikomu czasu i niczyjej nie zaprzątał uwagi opowiadaniem swoich spraw, zwłaszcza nieprzyjemnych. I, mówiąc do kogoś, zawsze jego przedewszystkiem, nie siebie, miał na względzie.

Tak, to nie było właściwe, a przecież jakże było zrozumiałe!

Ci ludzie, zaskoczeni dzisiejszą przemianą świata, osaczeni nowym stanem rzeczy, bronili swych praw, walczyli o dawne wartości — i w istotnej, głębokiej trosce tego zmagania tracili zwolna to, co było ich typem, zmieniali swój charakter.

Ich kultura towarzyska, ich opanowanie i spokój, mające tyle uroku, były doskonałem pasowaniem do rzeczywistości. Teraz przeobraziła się rzeczywistość. Dzień idący dojmował do żywego, drapał do krwi, sięgnął aż do głębi ich zwykłej, ludzkiej natury.

Życie zaciskało się wokół nich coraz ciśniejszą obręczą. Obrona swego stanu posiadania wymagała niezwykłych wysiłków. Kultura, tradycja, przeszłość, prawo — to wszystko przestało być argumentem wystarczającym, to już nie robiło wrażenia. Sprawa sta-wała się zbyt poważna. Szło o istnienie.

Trzymali się jeszcze starych kryterjów, ich wypró-

bowanego autorytetu, ich prestige'u. Byli jeszcze arystokracją. Ich kości były jeszcze trochę cieńsze, niż kości innych ludzi, ich ubiory jeszcze niekiedy lepsze. Ale zmieniało się to, co wydawało się najbardziej istotne, zmieniała się ich umysłowość, ich struktura psychiczna; psuły się nerwy, przeinaczał charakter. Kłopot, zaaferowanie, troska, konieczność wywalczenia czegoś lub wyjednania — to teraz orzekało o doborze słów, o linji ruchów, to nasycalo nową jakością spojrzenia i uśmiechy, kształtowało cały sposób bycia. To odbierało rzecz dotąd najcenniejszą: spokój i bezinteresowność.

Nawet kunszt beztroskiej zabawy intelektualnej, nawet zwykła umiejętność konwersacji opuszczała zwolna pańskie progi. Zupełnie gdzie indziej mówiło się teraz łatwo o sztuce i miłości, o pięknych kobietach, książkach lub podróżach, o wszystkich nieużytecznych przedmiotach psychicznego zbytku.

Tak, te rzeczy odpływały już stąd, zatracaly się lub wyrodniały. I już po dobry poziom rozmowy, po umiejętnie wymijanie trudności towarzyskich i różnic przekonaniowych, po interesowaniu się sprawami innych, nie zaś zaprzatanie im głowy swojemi, należało się teraz zwracać gdzie indziej. Do tych sfer, gdzie *kultura umysłowa wytrzymuje próbę troski materialnej*, gdzie zachował się przesąd hierarchji tematów, gdzie można sobie pozwolić na *bezinteresowność*.

Tymczasem lokaje otworzyli szeroko drzwi do rozległej, chłodnej sali jadalnej. Goście przeszli tam, nie okazując wcale, że jest im zimno, i zasiedli naokoło wielkiego stołu, ubranego pękami ciętych hiacyntów. W matowym lustrze, leżącym pośrodku na obrusie, fiołkowe grona kwiatów odbijały się mętnie i głęboko.

Zgóry obmyślony porządek, wedle którego rozmieszczono gości, opierał się na nowych kryterjach. Wojewoda Hupek górował nad księciem Ruskim, a generał Ninota siedział wyżej od hrabiego Szepiōła. Tak było. Bo na tych ludzi spadł teraz obowiązek i im przysługiwał przywilej normowania biegu życia, oni orzekali o jego kształcie, krótko mówiąc: od nich wszystko zależało.

Walewicz zasiadł po prawicy pani domu, przez co nie zmieniło się dla niego nic. I tutaj bowiem słyszał rzeczy wiadome o trwaniu na stanowisku, o zwalczaniu trudności, o przewyżczaniu nawet niemożliwości. Ponadto jeszcze był pytany, co będzie, co właściwie będzie.

Pani Osieniecka zwężyła długie oczy, zadając mu

te pytania, zbliża patrzyła mu w twarz. Chciała wiedzieć koniecznie, kim jest ten albo inny minister, i czy nikt nie wie, jakie właściwie ma zamiary. Wyglądało na to, że jednak sama pomawia go o najgorsze.

— Bo, sądząc z tego, co się dziś dzieje, trudno mieć pewność, czy nie zaczną się nowe eksperymenty.

Mogła mówić, ponieważ nic nie jadła. Dopiero przy pieczystem wzięła jeden suchy płatek indyczej piersi. Ale nawet to jadła powoli — bez chęci, raczej z ostrożną nieufnością.

Walewicz dobrotliwie słuchał, nie zaprzeczając odrazu. Unikał wypowiadania swej opinii, nierad zdradzał się z tem, co było jego prywatną sprawą. Mówił tak: „Można wnosić”, albo: „Należy przypuszczać”. Wszystko, co był w stanie zaznaczyć względem pani Osienieckiej — to było uznanie dla jej zasług, współczucie dla jej trosk. Nigdy nie posuwał się do solidarności.

Podczas tej rozmowy z panią Osieniecką Walewicz spostrzegł w niej coś, czego na pewno nie widział przedtem, co ukrywało się dotąd przed ludźmi, osłonięte finezją uśmiechu, spokojem głosu, pewną konstrukcją zdania. Było to dziwne podniecenie, chęć zaznaczenia siebie jako takiej, podkreślenia swej roli, decydującej i niezależnej.

Istotnie — coś się w niej zmieniło jeszcze raz. I nad tem nie umiała wcale zapanować.

Jeszcze, zanim zasiedli do stołu, w krótkiej chwili odczytywania biletów, hrabina zatrzymała się na chwilę przy Agnieszce Blizbor.

— Pani będzie siedziała blisko Fleur, o, z tej strony.

Fleur, to było imię młodej pani Osienieckiej.

— Myślę, że gdyby Fleur zechciała swoim zwyczajem — hrabina uśmiechała się niepewnie, szukając słów. — Tak, pani jest z nią w przyjaźni, niechaj pani trochę uważa, gdyby ona coś mówiła. — Dobrze?

Agnieszka nie okazała zdziwienia. Wesóło odpowiedziała:

— Dobrze, proszę na mnie liczyć.

Tak, nieugięta dotąd i zawsze opanowana pani Osieniecka podlegała niepewności i zdradzała się z tem nawet przed Agnieszką. Dotąd Agnieszka tylko domyślać się mogła, czem był dla pani Osienieckiej przyjazd Fleur, jakim nieszczęściem musiało stawać się dla niej małżeństwo syna w miarę, jak poznawała charakter i usposobienie synowej.

Przed dwoma laty na weselu Kornela pani Osieniecka nie zdała sobie wcale sprawy z zagadnienia. Zajmowała się z natury rzeczy bardziej całą jej rodziną, jej świetnem gniazdem. W młodej dziewczynie pociągnęła ją nawet ta pewna niewesołość, pewna ociężałość, trudność uśmiechu, matowość płaskich oczu. Tak, naturalnie, zaraz wtedy pomyślała sobie, że Fleur nie jest ładna — ale to spostrzeżenie właściwie nie zrobiło jej żadnej przykrości. Przeciwnie, sądziła właśnie, że tak jest dobrze, że to w niczem nie przeszkadza do szczęścia.

Dopiero przyjazd Fleur, dopiero obecność młodej

kobiety w Porach dała pani Osienieckiej poznać rzeczywistość.

W tych Porach, we wszystkich folwarkach pani Osieniecka od czasu śmierci męża była jedyną instancją. Jej wola nie mogła dopuścić żadnego sprzeciwu, wszystko musiało być tak, jak założyła sobie zgóry, że będzie.

A teraz ta nowa rzecz — przyjazd Fleur — miała to wszystko zmienić. Zjawienie się tutaj jej — obcej, przybyłej zdaleka — wstrząsnęło całym układem poreckiego życia.

Fleur przedewszystkiem mówiła to, co myślała, nie krępując się niczem. A myślała rzeczy dość niezwykłe.

Fleur interesowała się polityką. Przybyła tutaj ze środowiska, w którym ideją modną po wojnie stało się humanitarne uznanie prawa każdego narodu do życia — wedle nierealnej ideologii wilsonowskiej. Leżały jej na sercu przedewszystkiem cudze mniejszości narodowe, ciemnione przez obce państwa — przyczem własne również ciemnione mniejszości — lub raczej większości — we własnych kolonjach, nie wydawały się jej dostatecznie interesujące.

Swoje opinie wypowiadała szczerze, nie bacząc, czy się to komu będzie podobało. Mówiła wszystko. A oto, co robiła, ledwie przybywszy tu do rodowych dóbr swego męża, do obcego kraju.

Wstawała co dnia o świcie i po wczesnem śniadaniu, zabrawszy ze sobą Kornela i sama prowadząc maszynę, jeździła po majątku i po okolicy. Jeździła nie dla

spaceru i nie dla sportu — ale raczej, jak ktoś, kto ma to nabyć, kto ma się tu osiedlić, więc chce zbadać wszystko w najdrobniejszych szczegółach, dokładnie zdać sobie sprawę ze stanu rzeczy. Sam Kornel był tem — jak wszystkiem zresztą, dotyczącem Fleur — zachwycony.

Od chwili wyjścia zamaż uczyła się gorliwie obcego dla niej języka, mogła się więc tutaj z każdym rozmówić — chociaż złym akcentem. Umiała doskonale odróżnić chłopą polskiego od białoruskiego, rozmawiała nawet z żydami.

Często odwiedzając Agnieszkę, co drugi, co trzeci dzień była w mieście. I tu też starała się poznać, wszystko, co tylko było jej dostępne. Obchodziła różne instytucje dobroczynne, żłobki, przedszkola, krople mleka.

Pytała się różnych pokolei ludzi o te same rzeczy, porównywała ich sądy i wyrabiała sobie o wszystkim własne, nieodwołalne zdanie — z bystrością i bezceremonjalnością zamorskiego eksploratora.

Tylko dziwiła się wciąż, że tylu wszędzie jest Polaków, i jakby nie rozumiała, skąd się właściwie tutaj wzięli.

Robiła też to, na co właśnie nie mogła się zdobyć pani Osieniecka: zwiedziła mieszkania służby folwarcznej i mieszkania robotników w Wiciądzach, gdzie była gorzelnia i młyn.

Tak, mnóstwo rzeczy jej się nie podobało. Przedewszystkiem stan pałacu obudził w niej żywe niezadowolenie. Wedle jej zdrowego rozsądku ta sprawa nie-

cierpiała zwłoki. Odrazu więc powiedziała pani Osienieckiej, co zamierza przerobić i jak. Wcale sobie nie wyobrażała, by mógł jej ktoś w tem przeszkodzić. Charakter architektoniczny całości, pełna tradycji wartość szczegółów — to nie grało w jej oczach żadnej roli. Szło jej wyłącznie o komfort elementarny, o potrzeby nowoczesnego życia. Jej pomysły zdejmowały zgrozą hrabinę, która wolała patrzeć na zniszczenie, niż profanować ruinę złą restauracją, niż ją w jakimkolwiek sensie modernizować.

Fleur postanowiła też od wiosny przystąpić do budowy nowego domu mieszkalnego dla służby według amerykańskich wzorów.

Poparta przez męża, mogła przeprowadzać wszystkie swoje zamierzenia. Pory bowiem w całości swej stanowiły własność Kornela. Pani Osieniecka swój osobisty majątek straciła podczas wojny, jej ziemie zostały po tamtej stronie granicy.

Agnieszka podjęła się więc wobec pani Osieniec-kiej czuwać po sąsiedzku nad Fleur, nie sądząc, by mia-ło jej to przyjść tak trudno.

Między Fleur i Agnieszką znalazł swój bilet Justyn Słuczański, prawie tutaj zadomowiony, jako dawny kolega Kornela z poselstwa i zarazem protego-wany Walewicza. Były rade obie, ceniły go bowiem za gotowość do wszelkiej zabawy i za to, że, jak nikt, nadawał się zawsze na przyjaciela.

Można bowiem było widzieć go codzień, słuchać jego komplementów, otrzymywać od niego kwiaty, być dostawioną, gdzie trzeba, i odwiezioną zpowrotem, doznać wogóle wszelkiej opieki — i nie być za to wszystko w najmniejszej mierze do czegoś zobowiązaną. Justyn niczego nie oczekiwał, nic nie chciał. Był właśnie stworzony na przyjaciela, zasługiwał na zaufa-nie młodych dziewcząt. Wiedział o wszystkich ich spra-wach, był pewny, był niezawodny. I nic to za sobą nie pociągało, nic nie znaczyło. Mógł nawet słuchać zwier-zeń, które dotyczyły innych mężczyzn.

To był zawsze pewny tancerz, gdy inny zawiódł, to był ten, którym można było na innych się zemścić.

Teraz — gdy obie były zamężne — Justyn nie był im już naturalnie tak potrzebny. Ale pamiętały mu dawne przysługi i nigdy niewygasłą gotowość do świadczenia nowych.

Agnieszka myślała o nim dawniej, że na pewno w kimś jest zakochany i dlatego wobec kobiet odporny. Teraz jednak przypuszczała raczej, że Justyn jest typem mężczyzny nieerotycznym, jak bywają też mało erotyczne kobiety.

— Ja się także stąd nie ruszę — umawiała się Fleur z Agnieszką. — Na wiosnę musimy rozpocząć roboty, to będzie bardzo zajmujące. Park jest zapuszczony, wymaga odmłodzenia, połowę drzew trzeba wyciąć. Tu nic nie widać, jak w lesie.

Justyn śniał się, że Fleur wygląda, jak kolonizator, który przyjechał do dzikiego kraju i wszędzie znajduje teren dla swej działalności.

— Bo ja nie rozumiem, jak wy tu możecie tak żyć. Tu jest brzydko, smutno i bardzo biednie.

Nawet Justyn nie chciał tego słuchać, przyzwyczajony do grzeczności cudzoziemców, gdy są u nas.

— Ale tego się nie mówi — przerwała jej ze śmiechem Agnieszka. — Poco pani to mówi?

Oczywiście, wszystkie braki tutejszego życia miały na swoje usprawiedliwienie naprzód niewolę, później wojnę, teraz odbudowę i organizację państwa. Ale ani Agnieszka, ani Justyn nie mogli tak ciągle tłumaczyć jej tego wszystkiego. Chcieli poprostu, aby umilkła.

— Mówię dlatego, że tak myślę — odpowiedziała Fleur swym grubym głosem. — To tylko wy jesteście

zawsze grzeczni. Tutaj mówi się zawsze to, czego się nie myśli. Ja jestem inna, ja jestem szczerą.

Taka była nowa hrabina Osieniecka i z nią to odtąd dzielić miała władzę jej świekra. Któżby coś podobnego był przewidział?

Co do Kornela, to ustępował we wszystkim Fleur, ona była dla niego miarą rzeczy. Ona naprzekór wszystkiemu i wobec wszystkiego miała słuszość.

I teraz przy śniadaniu, gdy pani Osieniecka rzucała w stronę Fleur niespokojne spojrzenia, Kornel był najlepszej myśli. O to kłopotał się jedynie, czy aby Fleur, czy aby ona jest zadowolona. Jeżeli miał jaką troskę w swem sercu młodzieńcem — to nie z tego płynęła, że Fleur zachowuje się niemożliwie, że wszystkich dziwi i niepokoi, lecz stąd jedynie, że niedość dobrze czuje się w kraju.

Siedząc między księżną i generałową i nie przerywając z nimi rozmowy, patrzył ku żonie z miłością — uważny, młody, wszystko biorący na serjo. Nie, nie raziła go niczem, przeciwnie, wszystkim go zachwycała.

Nic z tego nie uszło uwagi jego matki, nic jej nie było oszczędzone. Ani na chwilę — teraz, między ludźmi, w gwarze rozmowy — nie mogła przestać myśleć o tej sprawie, która miała zniekształcić pozostałe jej lata życia, uczynić je nonsensem. Znała słaby charakter syna. Widziała każdego dnia, o każdej chwili bezkrytyczne uwielbienie jego dla Fleur i nie mogła tego pojąć, nie mogła temu naprawdę uwierzyć, jak wyrokowi śmierci.

Mimo starań Agnieszki, Fleur nie dawała się uspokoić. W pewnej chwili zaczęła się przysłuchiwać jej słowom pani wojewodzina Hupkowa.

Ona — taka wzorowa, taka niezmiernie „jak trzeba”, umiejąca wyliczyć wszystkich królów polskich z datami, wiedząca o każdym czasowniku, do jakiej należy konjugacji, o każdej rzece, do jakiego uchodzi morza — i w tej sytuacji znalazła się tak, jak jej znaleźć się wypadało.

Myślała chwilę, ważąc słowa, ułożyła sobie zawczasu odpowiednie zdanie. I powiedziała tak:

— Pani jest taka młoda, pani hrabino, że niezawodnie zmieni pani jeszcze swój sąd zarówno o tym kraju, który jest ojczyzną pani męża, jak i o samej sobie. A szczerść wtedy tylko uważamy za zaletę, jeżeli nie sprawia nikomu niezasłużonej przykrości.

Pani Osieniecka nie popatrzyła w tę stronę, jakby tego nie usłyszała, ale jej wąska, delikatna twarz oblała się rumieńcem upokorzenia. Zato Fleur, niczem niewzruszona, zupełnie nieprzemakalna, zabierała się żywo do wyjaśnień. Jej słowa jednak zagubiły się w ogólnem poruszeniu, gdy pani domu powstała od stołu, prowadząc gości na kawę do mniejszego salonu.

— W tem niema nic dziwnego — mówił dyskretnie hrabia Szepiół do pana Świebodzkiego. — To się widzi po jej manierach, po jej rękach i nogach, po całym światopoglądzie. Nazwisko jest piękne, ani słowa, i fortuna też niewątpliwie. Ale jej matka jest poprostu Amerykanką, jakąś żelazną czy węglową miljonerką, z domu Young.

Zato na świetnym obiedzie, który we dwa dni po śniadaniu w Porach wydał u siebie pan Niewolewski, nie było ani chłodu ani dymu. Apartament dyrektora, zajmujący połowę piętra w niedawno wybudowanym, wspaniałym gmachu banku, miał ogrzewanie centralne. Wszystkie meble, kupione jednocześnie, stały na miejscach właściwych i doskonale do siebie pasowały. Obrazy, zawieszone na jednobarwnem obiciu ścian, były z najnowszej szkoły i naśladowały stare, wczesne prymitywy. Gabinet był angielski i jeszcze pachniał cały świeżą skórą, salon zupełnie empirowy, a jadalnia gdańska, ciężka, czarno-dębowa. Wszędzie po ziemi leżały wielkie wschodnie dywany, wszędzie było miękko, ciepło, jasno i bogato.

Nikt się też tutaj nie denerwował. Towarzystwo było przeważnie znajome, chętne raczej do zabawy, niż do jakiegokolwiek troski. Był zresztą i pan wojewoda z żoną i generałostwo, ale wszyscy jakoś inaczej nastroszeni. Ze wsi przyjechał tylko pan Świebodzki i młodszy hrabia Szepiół, który miał z panem Niewolewskim wspólne interesy, obaj bez żon.

Sam pan Niewolewski miał wszystko, na czem mu w życiu zależało. A jeżeli czego poszukiwał, to tylko zawsze nowych kobiet.

Poszukując, znajdował je, naturalnie — tak lub inaczej, w zależności od tego, jakie były. Czy mogę powiedzieć, że ostatecznie znalazł do pewnego stopnia i panią Renatę?

Bo oto wraz z mężem przyjęła jego zaproszenie, była grzeczna, uważająca na wszystko, ale jednak wesoła, jednak naprawdę rozbawiona. Pomimo obecności innych ważnych kobiet, pan Niewolewski umiał ją jakoś dyskretnie wyróżnić, otoczyć szczególnem, pełnem szacunku staraniem. I pani Renata już teraz — czując na sobie jego wzrok, słuchając jego upartych komplementów i dając mu do całowania ręce — nie doznawała żadnego niepokoju, nie znajdowała w tem nic godnego nagany. Tak było. Obecność Blizborów w naszym mieście, przyjazd Walewicza, częste przebywanie w domu Justyna, nastrój życzliwej pobłażliwości wszędzie naokoło — to musiało wreszcie wyrzucić swój wpływ. I pani Renata poczuła się młoda i ładna właśnie dopiero teraz, chociaż pan Zaniemski od tak dawna usiłował być uświadomić jej tę prawdę na próżno.

Pan Słuczański, który tak niechętnie wyrzekał się ciszy swego domu, w tem towarzystwie rozbawionem był, jak zwykle, niebardzo widoczny. Ale starał się być ożywiony i rozmowny. Tak, zaryzykował nawet dłuższą, trochę żartobliwą rozmową z Walewiczem.

Tym razem wspomnieli jednego i drugiego z ówczesnych przyjaciół. Zgodzili się łatwo, że o Franku

Ninocie niktby wtedy nie był przypuścił nic podobnego. Wykwintna żona i takie stanowisko!

— Czas się zmieniają, i my w nich się zmieniamy — powiedział pan Słuczański umyślnie po polsku, by uniknąć banalności tej cytaty.

Walewicz wziął to pogodnie.

— Nie myślę, abyśmy się zmienili tak do gruntu, — mówił. — Nie, drogi kolego, nie jest z nami tak źle.

I pan Słuczański śmiał się jakoś, chcąc się podciągnąć do tego tonu. Ale na jego twarz padała już szarość znużenia, oczy siwe, jak włosy, przygasły mimo wysiłków.

Teraz Walewicz mówił o Renacie.

— Jakaż to jest dobra i miła osoba, pani Renata. Dobra i miła. Agnieszka i Paweł poprostu nie mają dla niej słów.

Słuczański słuchał tego spokojnie. I nie był już w stanie nawet się uśmiechnąć. Czem były te pochwały dla jego żony, jeżeli nie wyrzutem. Czem mogły być?

Pomyślał znowu o pierwszej swojej żonie, o Ninie, którą znał Walewicz. I ona należała do tamtych czasów swoją młodością. Ale nie doczekała nowych, gdyż umarła w szpitalu dla obłąkanych.

Nie, nie mógł się już nawet uśmiechnąć, chociaż Walewicz stał naprzeciwno i ciągle jeszcze coś wesołego mówił. Ale oto już znalazł się blisko Justyn, jego syn i Niny, który mógł ojca zastąpić w grze życia, który mógł się już zawsze za niego uśmiechać.

I blisko z panem Niewolewskim podeszła teraz

Renata. Mówiła mu, ile miała trudu, nim jej się udało namówić pannę Siesławską, aby przyszła na tę zabawę. Jest taka nieśmiała.

Pan Niewolewski pytał:

— Czy rzeczywiście jest taka nieśmiała?

— Cóż to dziwnego przy jej młodości. Młoda jest bardzo, nie ma jeszcze skończonych dwudziestu lat.

Pan Niewolewski znajdował, że wobec tego jest za młoda. I Renata się śmiała, mówiąc z żalem:

— Czyż można być zbyt młodym? Nie można. I tak samo nie można być zbyt szczęśliwym.

Tak mówiła i patrzyła na niego z niewinnem zdziwieniem swemi ciepłemi, wilgotnemi oczami.

Ach, była taka inna, niż dawniej. Ale nie wiem, może nie zmieniła się teraz. Może tylko wróciła do tego, jaka powinna była być. Może na taką właśnie była skazana przez swoje oczy i przez swój uśmiech.

Jeżeli nie wspominam tutaj o pani Niewolewskiej, to nie dlatego, żeby jej wcale nie było. Owszem. Pan Niewolewski miał żonę. Ale cóż mogę o niej powiedzieć? Zupełnie nic.

I całkiem niezależnie od jej istnienia goście pod dachem pana Niewolewskiego tak dobrze się bawili. Kobiety miały włosy pięknie ułożone w karby, miały suknie z jasnego jedwabiu i nagie ręce. Tak, nawet pani Hupkowa miała ręce obnażone do ramion — choć to było w zastosowaniu do niej aż żenujące. Zwłaszcza, gdy się zważy, że niepodobna wymienić względu, pod jakim nie byłaby wzorowa.

Kobiety więc wyglądały ładnie i były wesołe, tu-

taj mogły wypełniać całą swoją rolę. Ale znowu najładniejsza była Agnieszka Blizbor. Najładniejsza i jedyna.

Tak orzekł, znający się na tych sprawach, pan Zaniemski. I wyrzucał jej, że to za jej przyczyną rozszalało się tak teraz całe miasto, że to tylko jej wina, bo nigdy przedtem nie działo się u nas nic podobnego. Ale ona nie poczuwała się do tej winy. Ona nigdy nie umiała zobaczyć siebie z zewnątrz i wcale nie wiedziała, jaka jest. Naprawdę była równie bezbronna wobec siebie, jak wobec innych.

Pan Niewolewski, zapraszając Słuczańskich, specjalnie zobowiązał panią Renatę, żeby zabrała ze sobą Manię Siesławską. I pani Renata była mu taka wdzięczna, że o tem pomyślał.

Ze swej strony musiała rzeczywiście wiele zrobić, by Manię do tego pójścia nakłonić. Borykała się z panią Renatą uparta i pochmurna, mając na swoją obronę brak sukni. Więc pani Renata sama przerobiła dla niej swoją letnią fularową sukienkę tak, by była odpowiednia na wieczorowe przyjęcie, i nie chciała już słyszeć żadnych tłumaczeń.

Wiele osób znało Manię Siesławską mniej lub więcej, jej smutne stosunki domowe, zarówno jak niskie pochodzenie jej matki, nie były dla mieszkańców miasta żadną tajemnicą. To też zdziwiono się, widząc ją tutaj w nowej zupełnie roli.

Z początku była zalękniona, nie miała humoru. Ale już od początku dobrze wyglądała. Ktoby pomyślał! Ta czarna, wyrośnięta dziewczyna w jasnem ubraniu, z dobrze uczesaną głową, nagle zrobiła się ładna. Była istotnie ciemna — i ten ciemny ton skóry, na długiej,

gładkiej szyi, na ramionach i szczupłych, odsłoniętych rękach był w ramach brzoskwiniowego jedwabiu szczególnie pociągający. Wyglądała, jakby była ciepła, nagrzana przez słońce, przypominała lato.

Zanim przeszli do jadalni, Justyn powiedział, że przy stole będą siedzieli razem, że widocznie odgadnięto jego pragnienia.

— Czy pani to zniesie? — niepokoił się wyraźną troską.

Mania miała oczy pochmurne i nieśmiałe, ale jej ciemna twarz cała jeszcze pociemniała od rumieńca — aż po szyję, aż po kark.

— Będę robił wszystko, by pani nie odczuła, że niema tutaj Julka. Muszę go pani zupełnie zastąpić.

Nie szła na to tak odrazu, nie chciała, nie mogła żartować. Pomyślała nawet o nim, że doprawdy nie zadaje sobie trudu, że nie przebiera w środkach. Śmiała się niełatwo. Śmiała się tylko wtedy, kiedy już wcale nie mogła się od tego powstrzymać.

Ale Justyn umiał być miły, nawet może nie mógł inaczej. A przy jedzeniu nalewano wciąż coś do picia — do jednego, do drugiego, do trzeciego kieliszka. Justyn mówił, że to trzeba pić, a tamtego nie, wiedział, co jest dobre, i Mania mu wierzyła. I częściej teraz widział jej uśmiech, błyskanie ostrych zębów w ciemnej twarzy — jakby do ukąszenia. Nie, nie chciała się śmiać — to on wciąż ją rozśmieszał. Była naprzemian zła i bezbronna, nieufna i szczęśliwa.

Przestała się wstydić, że jest w sukni Renaty, o czym przecież musiał wiedzieć, przestała się wsty-

dzić, że się tak na niczem nie zna. Pan Niewolewski nieraz patrzył w tę stronę i był bardzo rad ze swojego pomysłu. Mania w ogólnym gwarze rozbawiła się wreszcie, rozjaśniła zupełnie. Naprawdę ślicznie się śmiała — a dotąd nikt o tem nie wiedział. Śmiała się krótko, krystalicznie, zupełnie ptasim trelem.

Już teraz zuchwale patrzyła Justynowi prosto w oczy. Już się go wcale nie bała, już go wcale nie nienawidziła.

— Czy pani zapomniała o Julku?

— O tak!

— Jakże jestem szczęśliwy — powiedział Justyn.

Był dobroduszny i serdeczny, jak zawsze wobec Agnieszki lub wobec Fleur. Tak samo wziął ciemną dłoń Mani — dłoń małą, twardą i sztywną od załęknięcia. Tak samo podniósł ją do ust, by ucałować te palce odporne — raz ucałować i jeszcze ucałować drugi raz. I Mania wiedziała na pewno, że i to nic nie znaczy. Ale pod jego ustami ręka jej stała się wreszcie miękka i powolna.

— Jestem szczęśliwy — powtórzył Justyn. Tym głosem ciemnym i ślicznym, który tak znała.

Ale cóż, martwił się. Za trzy dni kończy się ta swoboda, musi wracać do swego ministerstwa, do nudnej roboty. A tutaj czuje się tak dobrze. Nigdzie mu nie jest tak, jak tutaj.

— Tutaj, w naszym mieście? — gorszyła się Mania.

— Nie — tutaj, teraz...

Lokaj do ostatniego pustego jeszcze kieliszka, pła-

skiego, jak rzymski kaganek, wlewał coś takiego, czego Mania nigdy jeszcze nie widziała.

— To jest szampan — wyjaśnił Justyn.

— I to można pić?

Justyn powiedział, że można. I Mania piła z rezygnacją, ale nie uważała, aby to było dość dobre.

Teraz wstali wszyscy i przeszli do salonu. Gdy jedni pili kawę, inni chcieli tańczyć. Bo pan Niewolewski obiecał muzykę.

Justyn już nie odchodził od Mani. Powiedziała mu, że wcale nie potrafi tańczyć tego, co teraz jest modne, że nigdy się nie odważy. Ale to nie stanowiło przeszkody. Z Justynem tańczyło się tak, jakby się to umiało.

Naprzód Mania myślała, że taniec też nic nie znaczy — że będzie tańczyła z nim tak, jak z każdym innym tancerzem. I nagle uczuła, że to znaczy zbyt wiele, uczuła strach, że on może odgadnąć.

Chciała się odsunąć czy wyrwać z jego rąk. Ale nie dopuścił do tego, mocniej przytrzymał ją wpół. Wtedy popatrzyła w jego oczy z zachwytem, ze słodyczą, z szaleństwem.

Gdy w przerwie zatrzymali się pod ścianą i stali tam przez chwilę sami — ona nie usuwała się już, gdy był zbyt blisko, nie poskramiała już swych spojrzeń, swych drapieżnych uśmiechów.

— Więc to jest szczęście? — myślała nieprzytomnie. — Więc szczęście to jest aż to?

Dwóch oficerów zmierzało ku nim na wyścigi, poprosili ją kolejno do dwóch tańców. Tańczyła więc,

ale oglądała się za Justynem, jemu tańczyła. I z nie-dbałym uśmiechem słuchała tego, co do niej mówiono.

Gdy skończyła z jednym, przyszedł drugi. Wlokąc swe kroki taneczne po posadzce wzdłuż niewiadomej linji, znalazła się obok Justyna, tańczącego teraz z panią Agnieszką Blizbor. Wymijając tę parę, uśmiechnęła się zbliska ponad swem szczupłym, ciemnym ramieniem, uśmiechnęła się prawie ustami w usta. Tańczył z tamtą! Cóż z tego, wiedziała, że ją woli. Całował rękę tamtej, odprowadzając ją do miejsca — cóż z tego, skoro ją wolał!

Rotmistrz z twarzą, zanurzoną w jej włosy, mówił, że oddawna zna ją z widzenia, że kiedyś na ślizgawce, kiedyś, gdy jechał konno, na drodze od parku, kiedyś dawniej jeszcze, na małej ulicy nad rzeką. Może być. Mógł sobie mówić, co chciał. Ale on mówił:

— Już wtedy pomyślałem — —

— Och, nieprawda!

Mania nie mogła sobie przypomnieć, że kiedyś była biedną dziewczyną w za ciasnym płaszczyku.

— Pani jest urocza — mówił wciąż niepotrzebnie, bo to wiedziała. — Jak pani tańczy! Pani jest samym rytmem!

I Mania chciała tego słuchać. Jakże ją to śmieszyło!

Odtańczyła swoje i jeszcze w ramionach tego rotmistrza szła wprost ku Justynowi.

— Teraz ze mną — powiedziała do niego.

Uradował się, jakgdyby mu to pochwaliło. Tańczyła więc z nim — jeszcze i jeszcze.

Renata patrzyła na nią z panem Zaniemskim i oboje dziwili się, byli poprostu zaskoczeni wybuchem jej młodości.

— Tego się w niej wcale nie podejrzewało — mówił pan Zaniemski. — Gdyby była szczęśliwa, stałaby się piękną kobietą.

Pani Renata cieszyła się, czując w tem swoją zasługę. Cieszył się też pan Niewolewski.

Teraz on chciał koniecznie z Manią zatańczyć, chociaż był zbyt tęgi i niebardzo już młody.

— Właśnie postanowiłem zapomnieć, że mam już tyle lat — mówił. — Pani pomoże mi o tem zapomnieć.

Nie okazała mu wcale niechęci. Jednakże tańcząc tak zbliżona, czuła, że on jest gruby — i to było nieprzyjemne. Musiała to jednak jakoś znosić, skoro był dla niej taki życzliwy, skoro zawdzięczała mu ten wieczór.

Myślała ze zdumieniem: więc właśnie inni tak żyją, więc życie może być szczęśliwe?

Była pewna, że wszyscy naokoło czują tak samo, jak ona, że wszyscy mają w sobie taką radość. I dziwiła się, że świat cały jest pełen szczęśliwości — tylko ona nie wiedziała tego dotąd.

Pan Niewolewski trzymał ją bardzo blisko — bliżej, niż Justyn i tamci tancerze. Mówił, że tylko tak jest dobrze — inaczej nie zachowuje się rytmu.

Gdy przestali tańczyć, pan Niewolewski spoważ-

niał i rozpytywał Manię o biuro. Znał dobrze jej szefa. Pytał się, czy pisze też na maszynie i po niemiecku.

Odpowiedziała prędko, że nie, i poszła tańczyć znowu z Justynem. Och, ten cudny wieczór nie miał końca. Bo oto patrzyła w jego oczy i nie mogła się już nawet uśmiechać. I nie uśmiechała się wcale, tańcząc później z Blizborem i znowu z rotmistrzem, tylko ze wszystkich kątów sali patrzyła wciąż ku niemu, ku Justynowi.

Gdy państwo Śluczańscy odjeżdżali, Justyn namawiał, żeby jeszcze zostać, obiecał, że sam Manię odprowadzi. Zgodziła się odrazu, chociaż może pani Renata nie była tak zupełnie zadowolona.

Ale zbliżył się pan Niewolewski i wytłumaczył, że młodzi muszą dłużej się bawić. Więc pani Renata ustąpiła. Tylko, odchodząc, prosiła Agnieszkę, żeby Manię sama odwiozła. Bo jednak zawsze zależało jej na tem, żeby wszystko było tak, jak wypada.

Siedzieli później głęboko w miękkich fotelach. Mania wyrozumiale patrzyła na swoje nieładne, nie pasujące do takiej sukni pantofelki. Już się ich teraz tak nie wstydziła, już ich nie usiłowała wciąż jakoś ukryć. Czuła, że się wszystkim podoba razem z temi pantoflami. Przecież nawet ten ułan specjalnie chwalił jej nogi takie cienkie, stworzone tylko do tańca.

A teraz Justyn był blisko i znów mówił, że jest szczęśliwy, że wcale nie ma chęci wracać do domu i siedziałby tu chętnie do rana. Mania powiedziała, że i ona bawi się, jak dotąd nigdy w życiu.

Lokaj jeszcze coś do picia podsuwał na tacy. I Ma-

nia na prośbę Justyna znowu trochę wypila. Był jej za to tak wdzięczny, że jeszcze raz wziął jej rękę i ucłował długo jej wąskie, ciemne palce.

Brała w głąb siebie te pocałunki, gięła się cała z rozkoszy. I wszystko to, co czuła, było w jej oczach i w jej śmiechu, który teraz stał się cichy, uległy, zbyt wiele mający zataić.

Oboje powstałi jednocześnie, gdy zaczęli zabierać się do odejścia Walewicz i Blizborowie. Wyszli razem. I Mania już miała wejść wraz z nimi do samochodu, gdy Justyn zaprotestował.

— Czyż nie lepiej się przejść te parę kroków, panno Marjo. Pani mieszka przecież tak blisko.

Naturalnie zgodziła się odrazu, i Agnieszka przestała nalegać. Ogromna w małej ulicy maszyna Blizborów odjechała w swoją stronę.

Mania bez trwogi myślała o tem, co teraz nastąpi, co on jej powie z chwilą, gdy zostali sami. Któż może bać się swego szczęścia?

Ale Justyn nie powiedział nic. Nie zapragnął nawet prowadzić jej pod rękę — teraz, nocą, gdy nie mógł tego nikt widzieć. Zgasł jakby, stał się cichy i małowówny, może był zmęczony. Jakto, więc zapomniał, że te małe dwie uliczki, że ta najkrótsza droga — jedyna chwila, gdy są sami — mija, kończy się, ucieka na zawsze!

Widocznie zapomniał, widocznie nie chciał jej powiedzieć nic. Stał się nagle jakby kimś innym, kimś zupełnie niezrozumiałym. Obcym.

Śnieg, noc, gwiazdy. Ciemne okna, zamknięte

sklepy i domy — pośród tego wszystkiego odbył się ten straszliwy powrót.

Powiedział: — Wolałbym znów wyjechać zagranicę, niż siedzieć w ministerstwie. Myślę, że Walewicz teraz mi to zrobi.

— Teraz — to jest kiedy?

— Może już w marcu, może od kwietnia...

Okazało się, że mógłby pojechać na miejsce Osienieckiego, który tu zostaje.

Mania milczała, by głośno nie krzyczeć, by się nie zdradzić. — Co? Co on mówi? — powtarzała w myśli, nie dając sobie zrozumieć tej prawdy.

Chwilę stali, zanim otworzyła się brama. I na pożegnanie Justyn nie pocałował jej ręki.

W ciemnościach, w mroźnym zaduchu schodów szukała kluczem otworu zamku cicho, cicho, by nikogo nie zbudzić. Nagle wróciło wszystko na dawne miejsca, jak było przed tem wieczorem, jak było zawsze. A sam wieczór — jedyny wieczór cudu — stał się nierzeczywisty, niewiarogodny, był czemś osobnem w próżni.

Jeszcze jednak niezupełnie to rozumiała. Wśliznęła się cicho do kuchni i prędko rozebrała pociemku. Wiedziała napowrót, wiedziała z zupełną pewnością jeszcze raz, że wszystko tamto nic nie znaczy. Bo jego słowa, jego patrzenie, jego wszystkie zbliżenia trwają właśnie tak długo, jak długo trwa zabawa. Blask światła, tłum wesołych ludzi, zapach nagrzanых kwiatów, granie muzyki i wino — gdy to minie, mija też wszelkie złudzenie.

Tak, teraz już to wiedziała. A przecież nie mogła — skulona w swem łóżku pod cienkim, twardym kocem — nie mogła nie myśleć o tym wieczorze, nie mogła nie wspominać i nie marzyć, nie mogła nie być szczęśliwa, płacząc. Tak usypiała, już wiedząc, jakie mogłoby być życie i jakie nie jest.

Ten dziwny okres w życiu naszego miasta, który nie powtórzył się już nigdy więcej, czas przyjęć, uroczystości, ciągłej jakiejś tłumnej zabawy, wreszcie jednak się zakończył.

Ostatnią uroczystością był obiad u Blizborów w ich ślicznym, małym domu. To przyjęcie wszyscy zachowali w swej pamięci.

Najnowszym zamorskim zwyczajem duży stół okrągły nie był zasłany obrusem. Tylko przed każdym leżała mała, ciemnawa serwetka z talerzem pośrodku, a obok taka sama, tylko mniejsza, na której ustawione były kieliszki. Do tego stołu zasiadło niewiele osób, może czternaście najwyżej.

Pośrodku, na szklanem, jasnem lśnieniu polityry nie stało nic do jedzenia, tylko parę pięknych, starych naczyń srebrnych. Między kandelabrami, w wysokiej wazie ze srebra kwitł wielki bukiet róż ponsowych nicejskich, sprowadzonych ze stolicy, bo w naszym mieście takich róż wcale nie sprzedawano. Obok tych róż świeciły z obu stron pęki świec, przyćmionych ponsowemi lampjonami. Było to jedyne

światło, staromodne i zapomniane, nie zapalano bowiem w jadalni wcale elektryczności. Twarze gości wyglądały mglisto i różowawo, głosy rozmów były przyciszone, jak światło. Grupki kieliszków przy każdym nakryciu, nalanych różnobarwnem winem, wyglądały też jak jakieś kwiaty i łączyły się wokół stołu w dziwaczny wieniec. Wreszcie sama kuchnia, jak zwykle u Blizborów, zadziwiła zebranych swym wyrafinowanym kunsztem.

Agnieszka była inna, niż zwykle, tym razem. W białej sukni, utkanej gęsto z tiulu, wydawała się strzelista, powiewna, kwiatowa, cokolwiek niematerialna. Nie była wesoła, chociaż była niewątpliwie zadowolona, nie śmiała się prawie. Cicha i grzeczna, nie miała tego, co zwykle, żywego udziału w sprawach, zajmujących towarzystwo. Jej wąskie oczy zatrzymywały się podczas rozmowy na jednym płomyku świecy, albo na jednym kwiecie róży — i odrywały się od niego powoli, z widocznym trudem.

Ta świadomość, ta niecofniona pewność izolowała ją z pośród otoczenia, jak szklana szyba. Tak obrócona sobą nawewnątrz, wsłuchana w siebie, z uwagą nad sobą pochylona — cóż mogła zauważyć ze spraw, naokoło niej się dziejących, co wyczytać z tej niezrozumiałej gry cieni? Była samotna, wystarczająca samej sobie i w sobie zamknięta. I była *inna*.

Jedynem, co istniało poza nią w obiektywnym świecie, pośród obcego ludzkiego gwaru, była osoba Pawła. Tam patrzyła, szukając podtrzymania i oparcia, tam się zwracała po potwierdzenie tożsamości fak-

tu, po upewnieniu, że to wszystko jest rzeczywistość. Bo tylko im obojgu była ta rzeczywistość wspólna.

Ale nie próbowała się już do niego uśmiechać, jak zawsze dotąd, nie miała go już za co przebłagać. Nie. Patrzyła poważnie, umacniając się wciąż na nowo w swem przeświadczeniu. Patrzyła przymrużonemi oczami, prawie pochmurnie, jak dotąd on — ważąc w sobie tę nową prawdę, rozpamiętywając ją i podziwiając.

Jej sprawa z Pawłem stała się teraz czemś najważniejszym, czemś pośród świata centralnem — węzłem życia. Jakież to było ciężkie i przerastające miarę dnia, wydźwignięte ponad wszelką dotychczasową rzeczywistość. Jakże głęboko zobowiązywało, jakąż ściałało grozę *zależności!* Od mającego nastać czasu, od siebie samej — i od niego, od Pawła.

To wcale nie znaczyło, by miała obawy, by o czemkolwiek wątpiła. Och, nie. Ale poczuła się wpleciona w ten węzeł życia nierozzerwalnie. Cokolwiek uczyni lub zamierzy, nie przestanie już iść po tej drodze — i każda godzina przybliża ją ku temu, co się ma stać. Była, jak transmisja — nawleczona na koło, sunąca tam, gdzie jest przeznaczone, nie mogąca się już odwrócić, zatrzymać, ani na chwilę zawahać.

Ta sprawa postanowiona była już dawno, zdecydowana i obmyślona, wypracowana we wszystkich szczegółach przez dwuletnie dzieje ich miłości.

Myślała ze wzruszeniem: czy zmieniła się ta ich miłość od swego początku? Nie. Zrobiła się tylko bardziej wiadoma, uznana do głębi,

Och, jakże ją znała, tę miłość, jakże ją do samego dna *wiedziała*.

Ona to przecież, Agnieszka, żyła od dwóch lat w tym pierścieniu z ognia — kochana, jak nie myślała, że można być kochaną.

Od pierwszej chwili tak się stało, że nie miała już wolności, że zaprzędane było wszystko — myśli, chcenia, przyjaźni, wspomnienia. Ta miłość Pawła — wyłączna, zazdrosna, dzika, posępna, tkliwa i niezmierna — odgrodziła Agnieszkę od reszty świata.

Tak — nie miała odtąd przyjaźni, mając zaledwie sympatje — jak do Justyna, do Fleur... Dopiero tutaj sympatja dla Renaty, przez Pawła *zaakceptowana*, stawała się powoli czemś więcej.

Bo przecież nic nikomu nie mogła o sobie i o nim powiedzieć *zaocznie*, nie mogła wobec nikogo być bliższa, niż wobec niego, wobec Pawła. I tak było nie ze strachu — tylko przez poczucie najwyższej solidarności. Och, poprostu — przez miłość!

Agnieszka musiała być zawsze całkiem *widna*, do głębi duszy czysta, cała przeświecająca pod światło. Prosta — aby być zrozumiana.

Tak — ale, wzamian za tę utratę siebie własnej i tajemnej — miała tę wartość bezcenną, miała jego miłość do niczego przedtem i nigdzie niepodobną, jego kochanie nieustające, kochanie bez tchu. Miała dar nieustanny widzenia i odkrywania tej duszy — jednolitej i mężnej, gwałtownej zarazem, twardej i bez granic tkliwej. I miała ją na własność — tę duszę —

złą i nieujarzmioną, jak natura. I miała na własność jego szalone serce.

I jeszcze знаła cenę tego, co było skarbem cudownym i swoim do śmierci, nie dającym się przez nic odjąć ani zastąpić.

Skarb tem cenniejszy, że jakby niezasłużony. Bo szalonej, cudownej miłości Pawła nic nie usprawiedliwiało. On sam nie umiałby w żaden sposób wytłumaczyć, dlaczego ją kochał.

Nic z tego, co w niej było, nie stanowiło dla Pawła wartości. Ani uroda, ani jej gusta życiowe, których nie podzielał, ani cały jej własny i daleki duchowy świat, o którym dla niego zapomniała. Jego dzika zazdrość i czułość była jakby bezprzedmiotowa.

Tak, nie zachwycał się nią, nie umiał jej pochwalić, często nawet był z niej niezadowolony. Można by powiedzieć, że jej wcale „nie rozumiał”.

Nie łączyło ich bowiem nic, prócz miłości. Ale ta miłość wypełniała jednak cały świat, i nic nie było poza nią.

Czasami Paweł aż bał się, czy on wie o tem do samego dna, czy coś z ogromu tego szczęścia nie wymyka się jego uwadze. Zabawne było, że tak troszczył się o to — on, o nic nie dbający, niczego nie odkładający sobie z dnia dzisiejszego na jutro. Bo tu doznać chciał wszystkiego i wszystko zapamiętać, przytrzymać w przelocie za skrzydła, uchronić od przemijania.

Nigdy Paweł nie był taki, jak w miłości. Jedynie przez miłość osiągał swoją prawdziwą naturę, swoją

istotną wartość, realizował jakąś ostateczną doskonałość swego typu.

Jakże wdzięczna była losom za ten dziwaczny, złowrogi dar.

W pewnym momencie, bez uprzedniej refleksji, wiedzioną tylko nawykiem, obrzuciła jednym spojrzeniem stół i podniosła się z miejsca, wszystkich podnosząc za sobą. Jednocześnie rozsunała się w gęstych fałdach ciężka, szarobłękitna zasłona, oddzielająca jadalnię od salonu, oświetlonego również jedynie światłem świec i różowem żarzeniem się komina. Wszyscy tam przeszli i rozmawiali, stojąc, z filiżankami kawy, pod brodą. Agnieszka zatrzymała się przy ojcu i lekko przytuliła do niego ramieniem.

— Koniecznie wyjeżdżasz? — spytała.

Tak, pobyt Walewicza u Blizborów już się kończył. To był ostatni wieczór.

Agnieszka pomyślała o jego odjeździe, o nowem rozstaniu, i na chwilę zapomniała o tamtem. Ale przechodził blisko Paweł, przypominając wszystko. I dawna pewność rozlała się we wnętrzościach jej, podeszła pod samo gardło.

Renata — miła dzisiaj, wesoła, zawsze taka życzliwa — pytała, co jej jest. Czy jest zmęczona? I Agnieszka myślała, że trzeba jej powiedzieć, ale jeszcze nie teraz.

— Nie, nic mi nie jest — odpowiadała, nie mogąc się uśmiechnąć.

Dziś rano — o tem właśnie myślała, że dziś rano obudziła się ze snu wcześniej, niż on, i pochyliła się

nad nim, gdy jeszcze spał — dzika, tajemna istota ludzka, pełna zła i dobra. I, pochylona, powiedziała cicho: — Pawle, ty moje szczęście, ty moje życie. — Mówiła tak, gdy on o tem nie wiedział. To była prawda.

Przeminęły oto miesiące i przeminęły lata szczęścia. Była wciąż szczęśliwa, najszczęśliwsza w całym życiu. Nie potrzebowała czuwać nad tą miłością, nie potrzebowała jej ustępować, ani jej służyć. Silniejsza była, niż wszystko. Była pewna, bo nie opierała się na żadnym nieporozumieniu, ani na złudzeniu, tylko na konieczności.

Paweł nie wiedział o Agnieszce wszystkiego — nie miała na to słów ani sposobów. Czemże było jej oddanie się, oczy, domknięte od nadmiaru słodczy, rzęsy, drżące z wdzięczności niezmiernej, rozkosz, czyniąca z jej ciała jakiś jedwabny łańcuch, owinięty wokół jego ciała. Czemże to było bez cierpienia?

Ach, gdyby był możliwy ten śmieszny gest, który jest upartą mrzonką miłości: wyjąć z wnętrza swego serce i z uśmiechem podać na wyprostowanych dłoniach! Żeby uwierzył, żeby wiedział!

Jej niezaspokojona chęć ofiary, jej chęć cierpienia za wszelką cenę, oznaczała zawsze, że jej oddanie cielesne i duchowe nie było jeszcze ostateczne — dopóki nie spełniła się jego milcząca, najgorętsza wola — ojcostwo.

Dopiero teraz zamknął się niejako ten cykl, ich miłość miała wypalić znak trwały na ogromie dziejów, pozostawić na układzie ludzkiego świata swój ślad.

Minęło parę dni niepewności i nadziei, dni nie-

śmiałej radości i lekkiej obawy — naiwnej chęci, aby to może jednak nie była prawda.

Ale to była prawda. I ten nieśmiały lęk wszedł w obręb słodkiej radości, jak coś koniecznego, połączył się z nią i zrosł już na zawsze w pewność pełną zgrozy i rozkoszy.

Renata jeszcze raz zapytała:

— Co pani jest, niech pani powie, ja przecież widzę.

Agnieszka stała teraz, trzymając za rękę swego ojca. I on zapytał także:

— Co ci jest, Agnieszko?

Wtedy Agnieszka powiedziała poważnie i powoli:

— Jestem szczęśliwa.

Tak powiedziała. Usłyszał to jej ojciec i usłyszała Renata. Więc już teraz powinna była wiedzieć, już więcej nie powinna była wątpić.

CZĘŚĆ DRUGA.

I

Wszystko tamto było dawno. Później przyszła wiosna i minęła, przyszło i minęło lato, i nastąpiła jesień. W listopadzie Agnieszka urodziła dziecko.

O tym czasie już jej dramat stał się wiadomy nie tylko innym, ale i jej samej. Przedtem miewała tylko nieznaczące przykrości. Teraz naga, niczem niezłagodzona prawda była pewna i nieodwrócona.

Agnieszka zmieniła się bardzo. Zmieniły się zresztą obie, ona zarówno jak Renata.

Z początku ta rzecz dla wszystkich była niezrozumiała, jakaś niewiarogodna i dziwaczna. A później stała się zwykłą i naturalną. I wydawałoby się dziwne, gdyby było inaczej.

A jednak, gdy wejdą sobie w drogę dwie kobiety, gdy walczą o jedną miłość — układ charakterów naogół bywa inny. Zwykle jest tak, że kobiecie domowej, wiernej, zdolnej do poświęceń i trochę zaniedbanej przeciwstawia się wyrafinowana, kusząca na zimno, igrająca z uczuciem, pusta i światowa. Albo nad

kobietą starszą, pełną wartości duchowych, bierze górę młoda, nieokrzesana dziewczyna, pociągająca świeżością i temperamentem. Albo wreszcie mężczyzna, nie znajdujący „rozumienia” w domu, poszukuje poza nim powinowactwa z wyboru.

Ale w trójkącie: Agnieszka, Paweł i Renata nie było tych przeciwstawień, nie było żadnego z tych szematów.

I dlatego z początku to wydało się takie nieoczekiwane, dlatego poprostu nie mieściło się w głowie Pan Zaniemski mówił: „Nie, to poprostu nie mieści się w głowie”.

Bo czem Renata mogła usidlić Blizbora, tak kochającego swą żonę? Renata, która była o parę lat starsza od Agnieszki, zajęta domem i mężem, mniej efektowna, mniej dowcipna, pełna przesądów i parafjańszczyzny?

I Agnieszka nie nadawała się zupełnie do tego, by być żoną, opuszczoną przez męża. Ona — urocza, żywa i wesoła, panująca nad każdą sytuacją, zawsze bezwiednie zalotna, budząca wszędzie zainteresowanie i komentarze.

Całe to przesunięcie kwalifikacyj odbyło się wewnątrz samego Blizbora i nie miało narazie żadnych odpowiedników, żadnego usprawiedliwienia w dziedzinie obiektywnej wartości. Agnieszka była nadal piękną, światową damą, Renata zaś miłą, pocziwą, dobiegającą trzydziestki, skromną kobietką.

Jednak na krótko. Bo to, co zaszło w Blizbo-

rze, zaczęło szybko oddziaływać na układ rzeczywisty. Ta rzecz robiła się „w oczach”.

Każdy bowiem ostatecznie godzi się na swoją rolę — tylko potrzebuje nieco czasu, by w nią wejść, by się z nową sytuacją oswoić. Kobieta niekochana, kobieta zaniedbywana dla innej, może być z natury pełna życia, radosna, urocza, stworzona do triumfów i panowania. Jednak ta rola ją zmieni, przeistoczy do gruntu, uczyni zależną i niepewną, da jej poczucie niższości wobec tamtej drugiej, poczucie upośledzenia, da jej wreszcie niepokój i zakłopotanie wobec każdego.

Tak właśnie było z Agnieszką: wobec każdego czuła się winna, że jest. Legitymowała się z tego co chwila niepotrzebnymi, zalęknionymi słowami.

Mówiła:

— Ach, pani wojewodzina była tak łaskawa, a ja właśnie...

Tłumaczyła się, gdy zastano ją samą w domu, gdy była zajęta czymś przy dziecku, gdy zwyczajnie siedziała w fotelu. Jest to specjalny język ludzi, którzy zatracili pewność siebie naturalną, którzy zatracili nawet godność. Nieznośne, obce naturze cierpienie stwarza ten stan.

Sama dziwiła się sobie, że to robi. Ale nie miała nawet czasu myśleć o tem. Myślała bowiem co innego, liczyła jakieś godziny i minuty: czy był tam dziś, czy wróci zaraz, czy po odejściu gości. Czy może wróci aż w nocy.

To były jej myśli, gdy wymawiała tak słowa obce sobie, nieprzyzwoite, pokorne.

— My właśnie pragniemy teraz wrócić trochę do życia towarzyskiego. Mąż był ostatnio taki zajęty. I ja też nie bywałam nigdzie — ale już teraz mały mniej wymaga mojej obecności.

Mówiła także o dziecku rzeczy, które nikogo nie obchodziły, rzeczy pospolite i nieciekawe, wiedząc, że tak nie trzeba i miesząc się jeszcze bardziej.

Romans Pawła z Renatą nie budził niczyjej wątpliwości. Nie było więc czego udawać, wcale nie było warto się fatygować. Kłamanie było nietylko zbędne, ale poprostu ośmieszające.

Wojewodzina Hupkowa przyjmowała zresztą to wszystko, jakby nic jej nie dziwiło. Jeżeli coś niewłaściwego było nie do uniknięcia, to przynajmniej powinno było być przemilczane. Ale generałowa Ninotowa była bardziej krytyczna.

— Jakże ona się męczy, ta Blizborowa, poco się tak kryguje. Ja ją sobie dawniej zupełnie inaczej wyobrażałam.

Istotnie, Agnieszka się zmieniła. I zmieniła się też Renata. Stała się kimś innym i stała się w sposób tak doskonały, jakby właśnie taką powinna była być od początku, jakby to właśnie dopiero teraz była naprawdę ona.

Szczęście wypełniło ją całą, jak światło, uczyniło spokojną, silną, niedbałą na to, co sobie kto pomyśli. Sąd ludzki — dotąd tak dla niej ważny — stał się czemś niewartem uwagi i troski.

Wszystko to zresztą robiło się powoli. I zaczęło znacznie wcześniej, nim stało się ogólnie wiadome.

Dom Blizborów nie stał na tem wzgórzu samotnie, jak to mogło wydawać się w zimie, gdy nikt się zanadto nie rozglądał. Trochę głębiej, za nieznacz-nem wzniesieniem i starym, rozparcelowanym sadem stało kilkanaście świeżo wybudowanych, prawie jedn-akowych, białoczerwonych domków, zamieszkan-ych przez młode rodziny urzędników i oficerów. Tu wła-śnie kupowano sobie tanio gzymsy i firanki, urządza-no sosnowe sypialnie i zawieszano lampy z żółtej sati-nety, podobnej do jedwabiu, tu wszystko, co się dało, osłaniano i zaścielano kilimami. Wiosną, gdy zaczęły się roboty w ogródkach, gdy za ogrodzeniami z siatek sadzono wszędzie ozdobne krzewy i róże, cała ta ludz-ka osada ujawniła się, zapoznała nawzajem i wewnątrz-nie zbliżyła. Pożyczano sobie ogrodniczych narzędzi, dzielono się wiadomościami i nabytem doświadczeniem, a nawet nasionami i rozsada. Tutaj też wyłoniła się potrzeba własnego tenisowego kortu, i Blizbor podjął się tę rzecz przeprowadzić. A w niecały miesiąc póź-niej już na tym korcie urządzono publiczny mecz z udziałem obojga Osienieckich oraz hrabiostwa Sze-

piołów młodszych. Pani Renata z Julkiem Śluczańskim również należała do tego, ale te sprawy jeszcze się wówczas naprawdę nie zaczęły.

Narazie zaczęło się co innego: zupełna zmiana w pochmurnem zwykle usposobieniu Blizbora, jego doskonały humor. Blizbor stał się wesoły, lekko-myślny, wobec kobiet śmiały i swobodny. Dawniej przecież nigdy tego nie było. Chętnie każdą ze znajomych kobiet młodych wszędzie i zewsząd odwoził, albo — za nadejściem pięknych wieczorów wiosny — odprowadzał piechotą. Zachowywał się w ich towarzystwie podobnie, jak Justyn Śluczański, mówił im miłe słowa o ich sukniach, o ich oczach, całował bez dostatecznego powodu ich ręce. Gdy chciał wiedzieć, która godzina, brał zuchwale rękę kobiety, z którą mówił, wykręcał sobie dogodnie i patrzył na mały zegarek na przegubie — nie uniewinniając się wcale, nie prosząc o pozwolenie. Śmiałe kobiety wydzierały mu rękę i mówiły impertynencje, nieśmiałe zamierały w sobie, traciły dech od takiego zuchwalstwa. Tak, to było zupełnie zachowanie się Justyna Śluczańskiego, sposób bycia tych mężczyzn, którzy nikogo nie kochają.

Ostatnie zwierzenie, z jakim zwróciła się do mnie pani Renata, dotyczyło właśnie tej zmiany, którą wszyscy zauważyli w Blizborze. Pani Renata powiedziała tak:

— Blizbor jest na pewno dobry człowiek, jest do Agnieszki bardzo przywiązany. Ale jego maniery są teraz doprawdy niewłaściwe...

Jak kiedyś o panu Niewolewskim, tak teraz o Paw-

le Blizborze powiedziała mi Renata, że sposób, w jaki on całuje jej ręce na pożegnanie, w jaki je ściska obie razem i obie całuje...

— Tak, gdybym go nie **znała** tak dobrze, gdybym z nią nie była w przyjaźni, mogłabym myśleć, że on **chce** mi okazać brak szacunku.

W ten sposób po raz ostatni zamaifestowała się dawna, tak silna niegdyś czujność Renaty wobec wrażenia, jakie jej piękne ciało i płomienne, wilgotne oczy wywierały na mężczyzn wbrew jej chęci. Po raz ostatni też wówczas pani Renata mówiła coś do mnie o Blizborze.

Tak więc Blizbor był w jak najlepszym **usposobieniu**. Kobiet było teraz mnóstwo i ciągle nadawały się nowe **sposobności** do umawiania się i spotkań. Naprzód przy budowie kortu, później przy codziennym treningu.

Agnieszka wybierała się czasami z Pawłem, by patrzeć Młode kobiety i dziewczęta chodziły gromadami po alejach osady i wszystkie skupiały się przy korcie. Były wesołe, jasno ubrane, z nieosłoniętymi głowami w słońcu, z włosami, poruszanymi przez wiatr. Śmiechy, krzyki i nawoływania — tego pełne były wiosenne i letnie wieczory.

Wobec tego młodego życia Agnieszka była jakby upośledzona przez swój stan, nie umiejąca się już śmiać tak głośno, nie zapalająca się do gier i zabaw, wracająca wcześniej od innych do domu.

Czasami nawet nie chciała wcale iść. Była zmęczona albo nieusposobiona, tak to czuła. Jeszcze nie, wie-

działa wtedy, że jej to właśnie sprawia przykrość i że przykrość wszystkich takich rozrywek tkwi gdzieś w pobliżu radości Pawła, w jego stosunku do kobiet. Prostu wolała być w domu sama i myśleć o tem, co będzie, o swoich sprawach z dzieckiem. To było daleko ważniejsze od drobnych niezadowoleń, to był spokój i nadzieja. To był cały ogromny świat, który wystarczał.

Porankami, gdy nie było Pawła, chodziła po osadzie i patrzyła na cudze małe dzieci, grzebiące się w piasku, pełzające po wyschłej trawie, pół nagie w słońcu za kratami swoich ogrodów. Były większe i mniejsze, takie zupełnie małe też. Zwyczajne, wszędzie obecne, niezliczone dzieci. A dla niej tamto jedno — mające być — wydawało się takie jedyne, takie niepojęte, takie ważne.

Myślała, jakie to szczególne, że właśnie Paweł, który tak pragnął dziecka, pragnął daleko bardziej, niż ona, teraz wcale się tem nie interesował, nie mówił o tem prawie nigdy, żadnych nie robił projektów. Był osobno od tej sprawy — widocznie spokojny, że się to już teraz bez jego udziału samo jak najlepiej załatwi.

Czasami Paweł telefonował z miasta, że nie przyjedzie na obiad, że zaprosił go ktoś znajomy. Wracał przed wieczorem — rozbawiony, z zapaszką dobrego wina koło ust, z rumieńcami na ciemnej, trochę świecącej twarzy. Był żartobliwy, cokolwiek protekcyjny. Pytał Agnieszkę wesoło, jak się czuje, czy jej nie nudzi. Odpowiadała, że nie. Sama nie prze-

ceniała swych nieznaczących dolegliwości, umiała o nich zamilczeć. Była naogół mocna i zdrowa. Ale jednak te sprawy nie miały dla niej nic zabawnego. I teraz już nie chciała się przymuszać wobec Pawła do nieszczerzego śmiechu. Pytał też, czy nie jest dumna, że będzie miała dziecko. Nie, nie była dumna. Może było w tem coś nawet podobnego, coś może więcej, niż duma — ale nie chciała o tem mówić w tym tonie, zupełnie nie mogła. Paweł wypijał herbatę, był senny i miał się wcześniej położyć. Ale decydował inaczej, słysząc przez okno otwarte śmiechy i głosy w ciemnościach. Przed nocą pragnął się jeszcze trochę przejść po osadzie, odetchnąć świeżem powietrzem. Agnieszka nie chciała się przejść, cały dzień była na powietrzu, wołała zostać w domu. Wołała nie słyszeć i nie widzieć, zaczynała już potrosze rozumieć, czego nie chce.

Kiedys również z miasta zatelefonował, żeby nie przysyłała auta, bo Osienieccy zabierają go na cały dzień do Porów. Stamtąd znów telefonował, że zostaje jeszcze na jeden dzień, bo przyjechał młody książę Ruski i Szepiłowicie. A po powrocie opowiadał, jak się bawili, i że młoda pani Ruska jest uroczą kobietą.

Wszystko to nic nie było, wszystko to nie miało żadnego znaczenia. Agnieszka nie pozwalała sobie o tem zapomnieć. Znała przecież ten typ życia, sama zawsze przedtem w ten sposób się bawiła — i wiedziała, że to wszystko nic nie ma do miłości. Ona musiała się tego wyrzec na krótki, na określony prze-

ciąg czasu. I przecież nie żałowała! Ale o cóż miała mieć pretensję do Pawła.

A jednak czuła żywo: jak wrogą jest rzeczą w miłości radość, w której się nie ma udziału, której się nie jest przyczyną.

Wolała ten czas, gdy Paweł był zły i szorstki, gdy męczył nieraz siebie i ją — ale z jej powodu.

Myślała: ach, tylko wytrzymać do tego czasu, póki nie będzie dziecka. Wtedy, znów wszystko będzie, jak przedtem, lepiej, niż przedtem, skoro nie będą już sami, skoro wreszcie stanie się to, czego Paweł sam pragnął najbardziej.

Po raz pierwszy to pomyślałam jeszcze latem, gdy zajechałam raz do pani Renaty — jak jej to przedtem przyrzekłam — w czasie nieobecności pana Słuczańskiego, w jakieś jedno popołudnie.

Ponieważ, jak mówię, było lato, więc do domu Słuczańskich wchodziło się już nie naokoło, lecz zwyczajnie przez ganek, cały teraz owinięty ciemnymi liśćmi wina. Zdawało mi się, że zastanę ją właśnie na tym ganku — ale ganek był pusty.

Więc pomyślałam, że widocznie zapomniała o tem, że mam przyjść, że jej może niema. Ale nie zapomniała. Stała w przedpokoju, u wejścia do jadalni, uśmiechnięta i grzeczna.

Gdy usunęła się, robiąc mi drogę, zobaczyłam w pokoju Pawła Blizbora, który stał obok swego krzesła.

Byli sami. Nie było nikogo więcej, a pana Słuczańskiego nie było nawet w mieście.

Blizbor uklonił się poważnie i zrobił parę kroków w moją stronę. Gdy podałam mu rękę, też nic nie powiedział. Nie wyjaśniał swojej tu obecności,

nie mówił tak: „Właśnie przejeżdżałem tędy konno, więc myślę sobie...”. Nie, on nic takiego nie powiedział. Ani on, ani Renata. I nic tu nawet nie było do mówienia. Bo to, że przyjechał konno, widoczne było ze stroju, styk, obciążony brązową skórą, leżał obok, wpoprzek stolika. Zachowali się tak, jakby to było naturalne, Renata zwyczajnie rozpytywała mnie o dom, o zwierzęta. I może jeszcze wówczas było naturalne.

Jedno przecież na pewno nie było naturalne: to usposobienie Blizbora. Jego pochmurne, obrażone milczenie, o którym już zapomnieliśmy wszyscy — przez tę wiosnę i przez to lato. Był taki ponury, jak przedtem, jak dawniej — zanim się „to wszystko” zaczęło. Był taki, jak wówczas, kiedy jeszcze kochał Agnieszkę.

Wkrótce po mem przybyciu pożegnał się i odjechał, a ja zwyczajnie i miło rozmawiałam z Renatą. I jeszcze na parę miesięcy mogłam o tem spotkaniu u niej z Blizborem zapomnieć.

W listopadzie dowiedzieliśmy się, że Blizbor zawiózł swoją żonę do stolicy. Tam została więcej, niż miesiąc — aż do chwili, póki nie mogła odbyć powrotnej podróży.

Przez ten czas los Agnieszki się zdecydował. Los Agnieszki się *odmienił* — i już nie był do niej podobny. Dopiero po pewnym czasie ona sama stała się podobna do swego losu.

Właśnie tej jesieni — gdy zaczęło się oranie pól — Blizbor zaczął uczyć Renatę najnowszych metod

jazdy konnej. Kiedyś tam jeździła, ale teraz nie pamiętała już nic. Blizbor zapewniał, że będzie jeździła świetnie. Pomimo, że pan Zaniemski przecież mówił o Renacie, że to nie jest „kobieta do ruchu”, że to jest „kobieta do spokoju”. Ale i w tem pomylił się także. Renata była chętna, zdolna, uważna, wszystko starała się robić dobrze.

Wyjeżdżali z miasta w stronę północną — Renata na wierzchowcu i na siodle Agnieszki — wysoką szosą między pola, spływające głęboko ku dolinom. Grunt, nawożony śmieciami z miejskich śmietników, był na ogromnych przestrzeniach zasypany potłuczonymi kawałkami szkła i po zaoraniu gładko zawleczony, świecił nieumyślnie w niskiem słońcu, jak liworyzowany. Zgóry było widać wciąż nowe kraty zoranej świeżo ziemi. Brunatne, gołe zagony, zasiane oziminą, powlekały się z dnia na dzień zupełnie różowym nalotem wschodzących kielków, gdy obok płaty roli, dawniej zasiane, były już seledynowe.

W pewnem miejscu szosy zjeżdżali miękką drogą w głębiny tych rozłogów. Tu konie szły klusem i chętnie przechodziły w galop, którego Renata trochę się bała. Gdy konie zwalniały, Renata była zdyszana. Blizbor pytał: „Czy pani się zmęczyła?” — „Nie, nie wiem — mówiła, — to jest przyjemne, ale ja nie wiem, co się ze mną dzieje. W tym galopie jest coś strasznego”.

Blizbor się śmiał. Jego koń, wielki, skarogniady, blisko podjeżdżał, drepcąc. Znała dobrze tego jego konia, który był prawie czarny i nazywał się

Bej. Swego zaś wierzchowca prawie nie znała. Miała przed sobą zawsze tylko wąski wierzch jego czaszki z wygoloną grzywą i śmiesznymi uszami, które wyrażały strach albo uwagę. Nagi kark z ruchomym grzebieniem ściętej grzywy i mocnymi łopatkami wdole. Zaraz bliżej były własne kolana. Więc, jadąc wolno, patrzyła zawsze na konia Blizbora, na jego śliczne, rozzłoszczone miny, na jego jeźdźca.

Zdarzało się, że Bej podjeżdżał bardzo blisko. Blizbor ocierał się z całej siły kolanem o kolano Renaty, wcale tego nie chcąc. Jednak nie przeproszał. Renata myślała, że on tego nie chce. I myślała, że nie chce tego także ona. Bo i to było straszne.

Wracali prędko, gdy już zapadał zmierzch. Renata śpieszyła się, by przygotować w domu kolację — już nie mówiła: mężowi. Przez delikatność. Już to jej było przykro.

Zeskakiwali z koni przed bramą, i chłopiec Blizbora, który tu czekał na konie, szedł do służącej po chleb. Oba konie doskonale to pamiętały i nie chciały za długo czekać. Ze strasliwym łoskotem żelaza w cichej ulicy wchodziły podkowami na płyty chodnika i dwie niewiarogodnie długie, ogromnie poważne, brązowe twarze wciskały za Renatą w za ciasny otwór furtki. To ona sama, sama zawsze dawała im chleb na wyprężonej dłoni, one wiedziały. Zbierały te kawałki dygocącymi, gąbkowatymi wargami

— tak śmiesznie. Były takie duże i zachowywały się jak dzieci — niemądrze.

Gdy konie zjadły chleb, Blizbor wchodził na krótko do ciepłego, jasnego pokoju. Czasami nie było nikogo. Pił herbatę i chmurniał. Jego humor, jego swoboda i łatwość teraz go opuszczały.

Wezwany przez Walewicza depeszą, Blizbor przyjechał właśnie tego dnia, gdy urodziło się dziecko, syn, Kamil. Został wtedy przez trzy dni.

Agnieszka była teraz zmęczona, bardzo biała, cokolwiek zdenerwowana. Gdy mówiła, wyglądało to, jakby miała chęć płakać. Chociaż nie mówiła nic smutnego. Ale umiała tę chęć jednak powściągnąć.

Na białym, malowanym stoliku, pod zwisającymi z wazonu różnemi kwiatami — naprzód to były żółte róże, a później długo chryzantemy — tam stała fotografia Pawła, fotografia robiona w Szwajcarji. Obok była też fotografia ojca, ale mniejsza.

Dziecko wydało się Agnieszce malutkie, nie własne, trochę obojętne. Aż za małe na człowieka. Była nieśmiałość w patrzeniu na nie, ostrożne zaspokojanie niezmiernej ciekawości. Odrazu zobaczyła, że ma bardzo długie palce i gotowe długie paznokcie. Wszystko, co będzie później potrzebne, powieki, trochę czarnych włosów na biednej, długiej czaszce, usta za szerokie, smutne. Kobiety mówiły, że dziecko jest śliczne. Myślała, że może tak. Nie czuła te-

go. Ale kiedy zauważyła też pewną obojętność Pawła, to ją bardzo zdziwiło.

Zresztą sprawy bieżące, sprawy wszelkiej higieny, przerastały wszystko. Ciągłe coś nowego bolało, coś nowego sprawiało kłopot. Jedno jeszcze się nie ściągnęło, a drugie już nabrzmiewało. Z biernej obojętności w podleganiu tym różnym wyrokom wynikał spokój, ponieważ byle kto wszystko lepiej wiedział, niż ona.

Po odjeździe Pawła przypomniała sobie, że przez te trzy dni był nietylko obojętny. Był inny. Był poważny i pochmurny, był taki, jak wówczas, gdy ją najbardziej kochał. Tak — i pomimo to był obojętny.

Nie podnosząc głowy, kątem powiek spojrzała ku fotografii Pawła i uczuła przykrość, chociaż nic przytem nie pomyślała. Więc przestała tam patrzeć.

Patrzyła na dziecko, też niewiele myśląc — spokojna, spokojna. Nie było w tem radości, była ulga. Wzdychała głęboko, by lepiej doznać tej niezmiernej ulgi. Pewności, że się już stało.

Przychodziły obie siostry ojca — groźne, wspańnię ciotki, które były wtedy takie niezadowolone z jej małżeństwa. Przychodziły też niektóre znajome damy ministerjalne, które Blizbora wcale nie znały i właśnie oglądały tę fotografię. To wszystko było niepokojące, przypominało czas dawny z przed małżeństwa, z przed wyjazdu. Było niemiłe.

Nasuwało śmieszłą myśl, że może mogło być być inaczej. Myśl zupełnie niezrozumiałą, skoro przecież teraz było dziecko.

Mówiły różne rzeczy — jakby zbyt skomplikowane, ale odchodziły dość prędko. I zostawiały kwiaty, na które nie było wazonów.

Rozpłakała się raz tylko, gdy została sama z ojcem. Był taki dobry, i to ją właśnie zasmuciło. Teraz bała się, że ją zapyta, dlaczego płacze. Ale pocałował tylko jej rękę, leżącą na kołdrze, o nic nie zapytując. Jednak nie przez dyskrecję. Był pewny, że nie ma przyczyny do płaczu, że jest zmęczona wizytami, jeszcze osłabiona. Tak było do pewnego stopnia.

Wreszcie znowu przyjechał Paweł, już przed samymi świętami, żeby zabrać Agnieszkę i dziecko.

Prócz dziecka przywieźli Blizborowie ze sobą jego piastunkę, grubą, czterdziestoletnią panią Wadowitą.

Zajęła z dzieckiem pokój na górze, naprzeciwnie Blizborów sypialni — ten, w którym mieszkał za swej bytności Walewicz. Pokój był duży, pełen zimowego słońca i jeszcze silnie naświetlony oddolnym refleksem śniegów — pokój, oddawna obmyślony i przeznaczony dla tego syna, który przecież od początku miał przyjść. Pokoje przedzielone były tem, co nazywano holem, a było korytarzem, zwykłym przejściem ku schodom — mimo jakichś skrzynek z kwiatami i obrazków. Pokoje więc były bardzo bliskie, i wciąż było słychać panią Wadowitą, jak wchodziła i wychodziła, by o każdej chwili zapukać z ważną sprawą.

Zdawało się, że w tym domu więcej jest dziecka,

niż ich. Właściwie więcej tej Wadowitej, bo samo dziecko było ciągle jeszcze małe, i myślało się o niem z ukrywaną, powściąganą czułością.

A Wadowita była do najwyższego stopnia wykwalifikowana, mądra, surowa i wymagająca, wszystkiego świadoma. Ona regulowała stosunek matki do dziecka, nie pozwalając na żadną słabość.

Paweł zresztą uczuwał się ojcem tylko socjalnie. Mówił o tem do zupełnie obcych ludzi, trochę się tem chlubił. Gdy był u dziecka, patrzył na nie bacznie, a odzywał się do niego protekcyjnie i drwiąco. Mówił: „No cóż, głuptasku? Oj, niemądry, niemądry! Taki bąk”.

Agnieszkę to raziło, że się wynosił nad dziecko, niby mądrzejszy. Jako matka czuła się między Wadowitą i Pawłem zupełnie samotna.

Pawłowi syn, z chwilą, gdy był już gotowy, stał się niepotrzebny. Tylko póki go nie było, był upragniony, był konieczny.

Wadowita, wymagająca, stanowcza, groźna, Paweł — zagniewany i obojętny, przechwalający się głupio — malutkie, bezbronne dziecko — to była rzeczywistość tego ogromnego, cudownego pragnienia!

Bo i Agnieszka zrobiła się inna wobec tej sprawy.

Wszystko, co w tem było z miłości, nieoddzielna łączność z Pawłem, upojenie marzeniem — teraz odpadło.

Rzecz działa się tylko między Agnieszką i dzie-

kiem i polegała na wielkiej, niewzajemnej miłości do tego człowieczego stworzenia.

Było brzydkie, a przecież już w jakiś sobie właściwy sposób ładniało. Narastające, bielejące fałdki i wałki strasznie młodego ciała przybliżały je zwolna do cudu majolikowych dzieciaków della Robbii. Była w tym kształcie zamknięta cała niewiadoma człowieka rzeczywistość. Ale Agnieszka niechętnie myślała o tym małym Kamilu, jak o człowieku kiedyś. Ten dzisiejszy, ten nieciekawy i tępy, ten nie wiedzący wcale świata, obojętny na nią i jej miłość — taki darzył spokojem, zapewniał swoje własne, nieśmiałe, wąskie szczęście.

Czasami krótko żałowała, że to jest syn. Czasami chciałaby mieć tak w swych rękach, w cieple i bezpieczeństwie swej miłości małą, najbliższą i nieodjętą kobietę. Dlatego nie myślała o Kamilu, że to człowiek, nie myślała o jego męskiej przyszłości.

Chciała, by tak na zawsze trwało jego dzieciństwo, nad którym — zimnem i biernem — mogłaby się pochylać z największą tkliwością i zapewniać mu sobą bezpieczeństwo.

Czas także się zmienił, odbywał się daleko prędeej. Zima tego roku dla Agnieszki prawie znikła — podczas gdy poprzednia, ta pierwsza tutaj, wydawała się pełna zdarzeń, ciężka od tych zdarzeń i długa. I każde zdarzenie było długie. Przyjazd tutaj, nowy dom, nieznajomi, zabawni ludzie, przyjaźń z Renatą, ślizgawka — każda rzecz pęczniała, wydawała się ogromna i cudowna we wspomnieniu. Pobyt ojca i to, że mu jakoś dobrze było z Pawłem, że Paweł był gościnny, dość miły. Wizyty w Porach, nawet przyjazd Kornela i Fleur, nawet różne miejskie znajomości — wszystko było ważne. Czas wtedy napelniony był po same brzegi, toczył się wolno, ładownie, szczęśliwie.

A te miesiące od urodzenia Kamila i te przed jego urodzeniem zeszły tak prędko, nie miały się na czem zatrzymać, nie miały się doprawdy o co ucześcić. Czas bywał zupełnie pusty, nie dział się wcale, nie miał się czem mierzyć. Cały jakby ściągął się w to jedno zdarzenie, że *Kamil zaczął być*. Poza tem nie było zdarzeń, nie było faktów — tylko przelewa-

ły się i przesuwwały pewne stany, zachodziły procesy. Nie było co pamiętać.

Przychodzenie Pawła do domu i wychodzenie z domu, jego nieznaczne czynności i skąpe słowa, kilkakrotna zmiana ubrania dziennie przy nacieraniu się i oblewaniu pachnidłami — to wszystko było Agnieszce niemiłe. Przez chwilę patrzyła za nim uważnie i nieżyczliwie. A później prędko spuszczała oczy, gdy niechęć robiła się podobna do nienawiści, gdy miało się ochotę powiedzieć coś złego, krzyknąć, aby już co prędzej zeszedł z oczu.

Mocna czaszka, nakryta gładko czarnemi, świecącemi włosami, szerokie ramiona, wspaniałe długie nogi — och, jakież to było trudne do zniesienia!

Ale Agnieszka myślała: to dobrze, że jest mi taki niemiły i taki obojętny.

Bo cóżby to było, gdyby uczuwała coś innego oprócz tej niecierpliwej niechęci, oprócz właściwie obojętności — ach, cóżby to było, gdyby. naprzykład była zazdrosna! Gdyby się z tem kiedykolwiek zdradziła!

I Agnieszka myślała, że jest obojętna. Bo przecież wołała, gdy go już w domu nie było, gdy przynajmniej mogła na niego nie patrzeć.

Sama prawie nie wyjeżdżała z domu, niechętnie zostawiając Kamila z Wadowitą. Do miasta wydało jej się za daleko. Wystarczały małe spacery po zaśnieżonych wzgórzach za osadą, gdy było ładnie.

Rzadko spotykała panie z osady, te młode kobiety i dziewczęta, których śmiech daleki w ciemne wie-

czory tamtej wiosny, których jasne suknie, szamotane w słońcu przez wiatr — pozostawiły w niej już na zawsze uraz psychiczny. Nieznośną pamięć przebie-
rającego się szybko Pawła i w rzeźwej tenisowej bia-
łości lecącego tam z rakieta — do nich, do nich!

Teraz nie było tenisa. I one także były ponie-
kąd izolowane mrozem, bardziej oddalone, pozamyka-
ne w domach z opatrzonymi oknami, albo owinięte
w futra po oczy.

Nie było tenisa i nie było także ślizgawki, którą
Agnieszka nazywała „naszą”. Bo na łąkach rozlało
się w tym roku jesienią mniej wody, a i ta, która by-
ła, zamarzła jakoś nierówno w drobne, twarde fale
i była prawie odrazu dość grubo przysypana śniegiem.

Jednak po pewnym czasie Paweł znalazł na to
radę. W miejscu najrówniejszem najęci ludzie zesu-
nęli szuflami śnieg na boki, a później już wspólny stróż,
strzegący osady, zmiatał z tej niewielkiej przestrzeni
śnieg, gdy było trzeba, i stale uprzętał tor. I znowu
Paweł odziewał się pięknie, pośpiesznie zbiegał na-
dół, pomagał kobietom przypinać łyżwy i niepewne
ich kroki opiekuńczo kierował po lodzie.

Pan Niewolewski przywoził teraz swym samocho-
dem Renatę i Manię, czasami Julka lub któregoś ze
znajomych oficerów, czasami także pana Zaniemskie-
go. Agnieszka nie chciała zejść na lód, chociaż ją
z początku namawiali. Nie, nie czuła się jeszcze dość
mocna, nie miała już w sobie dawnej lekkości. Więc
zostawała w domu — i zgóry, z pokoju Kamila, pa-
trzyła sobie na tor. Kawalek wolnej od śniegu prze-

strzeni było stąd widać. Przez pewien czas kręcili się tutaj, później znikali za czarnymi koronami wielkich sosen na prawo. I Agnieszka wracała do Kamila.

Tak, nie chciała mówić do niego inaczej, niż *Kamil*. To zabawne, bo imię było duże, a dziecko zupełnie małe. Ale Agnieszka bała się pieszczotliwych brzmień i powiedzeń, które same przychodziły, same za wszelką cenę chciały być mówione. Naprzykład: „*ciciutka*”, „*ciciureńka*” — tak miałyby ochotę go nazywać, ale sobie nie dawała. Nie żeby uczuwała w tem śmieszność, ale że lękała się rozżalenia.

Jeszcze broniła sobie jednej rzeczy: broniła sobie nadmiernej dla dziecka miłości. Bała się tego zartargania w samej głębi, spazmu, który prawie fizycznie bolał i krwawił. Bo taka była i ta miłość — jak każda, jak każda, obyc się nie mogąca bez cierpienia.

Stała nad nim długo w milczeniu, gdy spał, albo robiła różne drobne rzeczy, gdy się ruszał, gdy niby patrzył, gdy uważnie uczył się uśmiechać. Tak było aż do chwili, póki nie usłyszała hałasu na dole, złych i wesołych głosów. To panie i panowie, wiedzeni przez Pawła, wracali ze ślizgawki i chcieli jeść. Agnieszce trudno było pomyśleć, że rok temu to było naprawdę wesołe.

Schodziła jednak, by ich na nowo witac i przyjmować — radosnych, naładowanych tamtym mrozem, wichrem i przestrzenią, pełnych obcego świata.

Witała i Manię Siesławską, której nie lubiła, tę jakąś dziwną protegowaną Renaty. Czuła zawsze idącą od niej nieufną niechęć. O co jej szło? Przy-

tem ta Mania zrobiła się jeszcze teraz doprawdy zbyt pewna siebie, nawet wyniosła, czegoś pyszna. Ubierała się modnie i z pretensją do elegancji. Pracowała podobno w banku u pana Niewolewskiego, miała się dobrze. Był naturalnie i pan Niewolewski.

Agnieszka myślała z niesmakiem, że nie zna przecież tej dziewczyny, i obecność jej właściwie jest narzucona przez Renatę, czy może przez tego Niewolewskiego. Właśnie było jej szczególnie niemiło mieć ich tak u siebie oboje razem. Z jakiej racji? Ale nie mówiła tego Renacie — przez delikatność, czy może przez brak zaufania — czy może już nawet przez brak pewności siebie.

Była jej obca ta nowa Renata — jej oczy wilgotne, pełne niepokoju i upojenia. Stawała się odrazu niezręczna i nudna, gdy tylko zostały same, nie wiedziała już jakby, co trzeba mówić do przyjaciółki.

I nie pytała jej teraz o nic, nic widocznie nie pragnęła wiedzieć. Bo najważniejsze było jej już wiadome.

Tak — dziwnie prędko zeszła Agnieszce ta zima. Pociemniało od wichrów, śniegi wsiąkły w żółtą trawę. Na brzegu niebieskich rozlewisk zakwitły kaczęce.

Tego dnia wiosny Renata była u Blizborów jeszcze raz. Była ta i zarazem inna. Jej oczy były znowu wilgotne, pełne niepokoju i upojenia.

— Kiedy Justyn przyjeżdża? — zapytała Agnieszka.

Renata posłyszała jej głos, spojrzała w tę stronę. I zamiast odpowiedzieć, uśmiechnęła się powoli.

Nie rozumiała słów. Była jak nieprzytomna. Zanurzona z głową w swoje szczęście.

On tu był. Paweł. Stał przy oknie — czy znowu chodził, mówił i milczał. Mężczyzna upragniony, mogący zawsze — każdym ruchem, każdym swym słowem, barwą głosu, ciężkością kroków, szerokością bark, kształtem głowy — zawsze mogący dać szczęście.

Patrzyła na niego, jakby byli sami. Patrzyła, jakby siedziała mu u nóg, jak niewolnica. To było straszliwe i nieznane. Od tego świat zmieniał się w światło i szaleństwo.

Okna pootwierane, szedł niemi pachnący zmierzch. W młodym, małym ogrodzie kwitły pierwsze bzy na

zeszłorocznych drzewkach, wetkniętych w skopaną ziemię, jak różgi. Bzy pełne białe i pełne koralowe — zaledwie parę ciężkich gron w polu widzenia, w ciemności świeżych liści. Jedną kiść białą, różowiejącą od zachodu, widać na niebie także różowem. W luce tiulowej zasłony stał podłużny kawał światła, wąskie, poblądłe niebo i niebieski słup wody, odcięty wdole zieloną trawą łąk. Ostatnie głosy dzieci z pobliskich domków mdlały, jak głosy ptaków.

Inny sens buchał, jak dym, z głębi zdarzeń. Tem oknem co dnia on, Paweł, patrzy na świat. Widzi te bzy, to niebo i tę wodę. Jest tutaj, gdy ona odejdzie.

Jakiś wiosenny zapach z za szyb, nie zapach bzu — raczej kwaskowaty zapach nowych liści — podstawił pod tę chwilę inną rzeczywistość. Nie można było znieść rozkoszy tak dojmującej.

Tak, trudno było mówić Pawłowi i Renacie. To już było zbyt wiele, że *byli ze sobą*, to już było prawie nad siły. Odzywała się tylko Agnieszka. To ona mówiła, gdy milczeli, ona ponosiła za nich ten trud.

Ach, jakim wysiłkiem dobyła z Renaty, że Justyn wróci za dwa tygodnie, że cały ten rok przebył w Azji. Że zostanie tu może miesiąc, bo zaproszony jest do Porów. I nawet, że dali mu wysokie stanowisko w ministerstwie, że teraz jest radcą.

Ale gdy to ceną takiego poświęcenia osiągnęła, znowu nastało milczenie.

— Już pójdę — powiedziała Renata. Wstała. I Agnieszka wstała też.

Pokój pełen był po brzegi piękności i szczęścia.

Agnieszka czuła to tak dokładnie, jakby w tem szczęściu uczestniczyła i ona.

— Ja panią odwiozę — rzekł naturalnie Paweł.

Nie. Renata nie chciała jechać. Wolała iść, było tak pięknie.

— Więc pójdziemy. — powiedział. I wyszedł po kapelusz i po laskę.

Obie zarówno słyszały jego głos, obie widziały jego ruchy, gdy tak odchodził, czuły przez ubranie jego ciało, powleczone ciemną skórą, mocne i sprawne, ciężkie w pieśszczocie. W nim właśnie, w nim zbiegło się tutaj całe szczęście, cała rozkosz tego wieczoru wiosny.

Stali pośrodku pokoju, naprzeciw siebie, Renata i Agnieszka, to wiedzące. Renata była tak roztargniona, że nie żegnała się jeszcze, niewiedomo na co czekając. Agnieszka czekała też. Myślała, że może ona zaproponuje, żeby pójść do miasta we troje.

Tylko Renata mogła to powiedzieć. Bo Paweł z kapeluszem w rękę stał w milczeniu we drzwiach, bo Paweł tego nie chciał.

Chciała tylko Agnieszka. Tego chciała: iść blisko za nimi w smudze ich szczęścia. Och, zmieściłaby się tam jeszcze na ich wiosennej drodze.

Ale Renata wyciągnęła wreszcie rękę, mówiąc: — Do widzenia. — I pochyliła głowę. Pocałowały się, jak zwykle.

Agnieszka teraz rozumiała jej wahanie, chęć oddalenia tej chwili. Było to zbyt fizyczne, pełne okru-

cieństwa — gdy tak uczuły nawzajem dotknięcie swych ust nienawistnych na ustach.

Odprowadzając ich, zrobiła parę kroków w stronę holu, zerwała po drodze mały kwiatek pelargonji ze skrzynki, ścisnęła w palcach i powąchała bezmyślnie, coś sobie przypominając. Tak mogła zrobić dwa kroki mniej albo pięć więcej — już tego nie zobaczyli, już to było zupełnie obojętne.

Chciała popatrzeć za nimi, ale nie podeszła do okna, było jej wstyd. Przecież — pośrodku pokoju stojąc, ujrzała ich wreszcie już na zgięciu szosy, gdy głowy ich wynurzyły się oddołu, tuż nad ramą okna.

Wyglądali zwyczajnie tak zdaleka. Nie było widać stąd ich oczów w płomieniach, ich ust. A jednak zobaczyła, że Paweł wziął Renatę pod rękę przy zejściu przez rów na ścieżkę obok szosy. Tak, rzeczywiście, tam ścieżką lepiej było iść. Agnieszka uczuła nie cierpienie, tylko jakby przerażenie.

Nie puścił już jej ręki i tak szli dalej razem — aż do nowego zakrętu szosy, do nowych drzew, tam, gdzie nie było ich już wcale widać. I wtedy przerażenie Agnieszki stało się zwyczajnie cierpieniem.

Został tylko pachnący różowy zmierzch, zacichający, ostatnimi głosami ptaków i dzieci. I wyraźnie przypominał sobie z młodości, siebie z dzieciństwa — nawet tem swoim cierpieniem, jakby doznaniem dawno i tylko przechowanym w pamięci.

Już wtedy — dawno — w takie zmierzchy wiosenne chciało się płakać. Ale tamto cierpienie uczuwało się jako właśnie zapowiedź, jako nie dającą się

nigdy dotrzymać obietnicę. I we łzach można je było zgłębiać, przenikać, przezierać aż do najdalszej rozkoszy.

Później majowe wieczory nie miały już w sobie tych obietnic, ponieważ wszystko zostało dotrzymane. Później szczęście obywatela się już bez męki — szczęście swoje i cudze. Ale zrobiło się mniejsze.

A teraz było znów wielkie i straszliwe, powiększone cierpieniem, ogromne, jak wiosna świata. „To jest ich szczęście, to jest ich szczęście” powtórzyła Agnieszka szeptem.

Usiadła na samym brzegu krzesła i przez chwilę tak trwała, nic nie wiedząc, pewno nie myśląc.

A potem pomyślała, jak ktoś nowy, że Paweł przyjdzie, że przecież wróci z tego spaceru. Kiedykolwiek przyjdzie — jednak przyjdzie. I zrozumiała, że tylko tu jest ratunek.

W całej tej straszliwości to jedno było do zniesienia, że Paweł wróci. I wtedy skończy się to, co jest w tej chwili.

Tak. Jednak wróci. Będzie zmęczony, zgrzany, będzie chciał pić. Myślała, że tej chwili koniecznie trzeba doczekać.

Będzie czekała — i jakoś uleży się, ugłascze to cierpienie, powoli się uspokoi. I wtedy, gdy on już przyjdzie, ona poprostu się uśmiechnie, zwyczajnie cokolwiek powie — jakby tamtego nie było, jakby to pójście z Renatą jeszcze także nic nie znaczyło. Nie zdradzi się wcale z tem, nie da po sobie poznać — że jest zazdrosna.

Takie jest słowo na to wszystko — na młodość, na wieczór, na wiosnę, na ich szczęście — jego i tamtej! Takie jest jedno słowo na to wszystko: *zazdrość*.

Roześmiała się i zasłoniła usta ręką, tłumiąc krzyk. Więc płakała, więc tak płakała — o Boże!

Ten krótki, gwałtowny płacz, odrazu opanowany — przejął ją zgrozą. Był jedyną słabością i całkowitą tajemnicą. Jemu nigdy przecież nic nie okaże, nigdy ani słowa wyrzutu nie powie. Jej taka męka nigdy nie może się ujawnić.

I myślała już spokojnie, myślała poważnie, że ten straszliwy wysiłek, ten mozół niewypowiedziany jest — *po nic*. Bo Paweł tego nigdy nie oceni, nie przyjdzie mu wcale do głowy, by mogło być inaczej.

To właśnie, co jest takie przeciwne naturze, jej grzeczna obojętność — to tylko wyda mu się naturalne i zresztą niewarte uwagi.

Agnieszka zapytywała Renatę, kiedy przyjedzie Justyn — nietylko dlatego, aby było o czym mówić. Osamotnienie, w jakim znalazła się ostatnio, osamotnienie, spowodowane także tem, że Renata stała się inna — zwróciło myśl Agnieszki w stronę przyjaźni.

Bo doprawdy nie zauważa się jej, gdy nie jest potrzebna, nie ceni się jej dostatecznie. Zasłyszawszy teraz, że Justyn wraca do kraju, Agnieszka uczuła pociechę. Powiało znowu tem dawnem powietrzem, gdy wszystko było niewątpliwe, gdy miało się pewne określone miejsce pośród życia, zagwarantowane przez otaczających ludzi. Justyn był świadkiem, że tamto właśnie była prawda, nie to, co dziś.

Tę potrzebę przywracania dawnych wartości uczuwała Agnieszka niekiedy i przedtem, w czasie, gdy jeszcze była kochana przez Pawła. Tylko z innej przyczyny.

Bo już wtedy miewała to wrażenie, że miłość Pawła jest jakimś nieporozumieniem. Kochał ją jakby na swoje nieszczęście i wbrew sobie. Osiągał chwile — nie już szczęścia, ale — wytchnienia tylko wtedy, kiedy

Agnieszka przestawała być sobą, kiedy prawie przestawała wogóle być, kiedy była już tak unicestwiona, że od niego brała, że brała z jego miłości jedyną rację swego istnienia.

W swem ukochaniu wynosił ją najwyżej, jak mógł, wydzwigał wysoko ponad siebie — lecz tem jedynie, że to ją uczynił przedmiotem swojej miłości.

I w tej płaszczyźnie jej dawny świat tracił wszelką wagę, nie był już rzeczywisty. Agnieszka zaczynała się od miłości Pawła, jakgdyby on ją pierwszy odkrył, jakgdyby sam ją wymyślił.

Dlatego przyjazd ojca, dlatego odnalezienie tutaj Justyna, Kornela, Fleur — była dla Agnieszki znakiem, że nie wszystko stracone, było rzeczą daleko ważniejszą, niżby sobie tego życzył Paweł — jednak ukrytą skromnie pod osłoną zwykłych stosunków rodzinnych i towarzyskich.

Ale ojca nie widziała Agnieszka od jesieni. Po przyjeździe na świat Kamila wyjechał na stałe zagranicę, dopiero wtedy naprawdę jakoś spokojny o jej los.

Tęskniła za nim pierwiej — w chwilach unicestwienia przez miłość — by odzyskać siebie dawną, by się ujrzeć jego ojcowskimi, przyświadczałacemi oczami. I tęskniła także teraz, gdy wszystko było stracone.

Ale pojechał tak daleko, był za rzekami i górami, nawet za morzem. Więc pomyślała o Justynie.

Tak, ten przyjaciel, bliski oddawna, swój człowiek, taki oddany jej ojcu, gotów do wszelkich świadczeń przyjaźni, nigdy dotąd niewypróbowanej, zawsze darzącej aprobatą, zawsze utwierdzającej w tem, że właśnie

tak trzeba — jakże wielkiem i dawno niezaznanem wydawał jej się dobrem!

No i Justyn przyjechał. Widziała go przez nie-
długą chwilę u siebie — nie zdążyła wiele mówić. Był
nie sam, był z Renatą, Paweł przywiózł z miasta ich
oboje. Agnieszka wypytywała go o ojca, którego nie-
dawno widział, wpijała się w niego pytaniami, jak pa-
zurami, bojąc się utracenia takiej zdobyczy.

Był bardzo serdeczny, był naprawdę jak ktoś
z rodziny. Nie mógł się oderwać od Kamila — bo
Agnieszka zabrała go do dziecka na górę, gdy Paweł
i Renata zostali nadole, w gabinecie, zawsze coś ma-
jąc do oglądania — kawałki skóry i haftów, jakieś koń-
skie fotografie. Justyn zachwycił się dzieckiem, jak ko-
bieta, chciał wszystko o niem wiedzieć. Mówił, że
Agnieszka musi być bardzo dumna, mając go. Nie czu-
ła tego teraz, jak i wówczas, gdy pytał ją tak samo Pa-
weł — ale u Justyna jej to nie gniewało. Tylko myślała,
żeby prędzej zejść — i zmagala się ze wszystkich sił
z tą chęcią. „Więc właśnie niech tam będą sami” —
mówiła sobie z uporem i mdlejącymi ustami uśmiechała
się do Justyna.

Rozglądał się, chwilę patrzył przez okno, potem
na nią.

— Pani Agnieszko, pani brzydko wygląda —
powiedział poważnie.

Takie słowa rzeczywiście usłyszała od niego po
raz pierwszy i aż się roześmiała.

— Tak, pani jest blada, pani schudła. A po-

dobno powinno być przeciwnie. Czy pani pamięta o swem zdrowiu?

To nie było wszystko. Jeszcze obrzucił ją uważnem spojrzeniem od stóp do głowy. Stała przed nim — znużona, pożerana niepokojem, z cieniami na skroniach i policzkach — ubrana w suknię z przed trzech lat, jeszcze nicejską, którą właśnie pamiętał. I przypomniał jej, że to jest ta sama suknia — z jakiejś *garden-party*, która naturalnie wtedy mu się podobała. Ale teraz...

— Pani Agnieszko, pani się zaniedbuje! Jakże to można.

Agnieszka broniła się żartobliwie, że na tutaj jest jeszcze dosyć modna. Ale Justyn nie ustępował, był surowy — jest zbyt luźna — i może nawet trochę za długa. Strofował Agnieszkę dawnym tonem przyjaciela.

— To Kamil tak na panią fatalnie wpływa. Muszę zwrócić na to uwagę Blizborowi. Tego nie można dopuścić.

Zaczęli wreszcie schodzić nadół po schodach drewnianych, ubranych chodnikiem i kwiatami.

Justyn był poczciwy i, jak zwykle, w głębi obojętny. Jakże płytka była ta dziewczęca przyjaźń — od tańca, tennisa i wycieczek. Agnieszka dziwiła się — czy to ona uległa takiej zmianie, czy cały świat?

Wszystko razem nie trwało długo, bo Paweł spieszył się do miasta i bynajmniej tego przed gośćmi nie taił. Tak się już umówili, tak miało być. Samochód czekał u siatki, przy której okwitały teraz małe bzy.

Justyn i tutaj przystanął w oknie, by popatrzeć.

Chciał to porównać z widokiem z góry. Nie powiedział wcale tego, co obiecał, że powie Blizborowi. Może zorjentował się, że Blizbor jest zajęty — nie rozmową, ale samem przebywaniem z Renatą, o której Justyn wyrażał się teraz: — Moja piękna macocha, pani Renata.

Agnieszka miała niejasną chęć wiedzenia jeszcze czegoś o ojcu. Zwykle raczej tego unikała, teraz było to dla niej ważne, teraz musiała wiedzieć, jak stoją te sprawy. Usiadła w oknie, tuż przy stojącym Justynie — prawie odwrócona od wnętrza pokoju.

— Jak teraz jest z ojcem? — spytała. — Czy jest sam?

Mogła o to zapytać. Rodzinne stosunki Walewiczów były młodemu Słuczańskiemu znane oddawna.

— Nie, raczej nie sam — odpowiedział poprostu. — Ale to jest bez znaczenia. Pani Olga mieszka od stycznia nad morzem, tam się jeździ. Minister zabierał mię dwa razy na taki *week - end*. Zresztą nikt go to nie interesuje, wszystko od tak dawna się ułożyło.

Tak, sprawa była stara, naturalnie. Urywała się czasami na długie miesiące, ale zawsze odrastała w jakiś sposób. I nikomu wogóle nie przeszkadzała. Cemuż miałyby teraz przeszkadzać Agnieszce?

Nie powiedziała nic, myśląc swoje. Justyn więc mówił:

— Doprawdy, nie mogę się tu wszystkiemu dosyć napatrzeć, tak mi jest dobrze, że wróciłem. Tym razem poprostu zateęskniłem już do kraju. Zwłaszcza wiosna

tam nie daje tej radości, wiosna, której doprawdy wcale
niema, skoro wciąż mniej lub więcej jest zielono.

Agnieszka powstała, czując za sobą niepokój Pawła. Jeszcze jednak usiedli na chwilę, już razem, we
czworo.

— Uczuwam to w sobie, jako miłą słabość, wie
pani?

Justyn mówił znowu tylko do Agnieszki.

— Miałbym chęć, aby to już było na serjo: po-
wrót do kraju, powrót wogóle do różnych niedosta-
tecznie ocenionych rzeczy.

Agnieszka mówiła, że to rozumie. Nic jednak nie
rozumiała. Co właśnie Justyn mógł mieć na myśli? Na-
słuchiwała oderwanych słów Renaty. Też nic nie zna-
czyły, ale miały ten niski dźwięk, który dawniej u niej
lubiła, dźwięk gardłowy, przypominający głos gołębia.

Pod spojrzeniem Blizbora Renata wstała, mówiąc,
że już czas. Wydaje się, jakby miał na wieczór padać
deszcz. Szkoda, może już skończy się pogoda.

Zawsze tak jakiś czas byli razem z nią, a potem
odjeżdżali. A wtedy ona była sama.

Agnieszka patrzyła, jak sadowili się w aucie, tym
razem wyszła nawet na mały taras, by to wytrzymać
do końca. Kiwała głową, gdy odjeżdżali. Justyn ostatni
się odwracał, ruszając kapeluszem.

Był dobry, ale taki słaby. Cóż mógł jej pomóc —
skoro właśnie on wiedział najlepiej, jak się zmieniała.
On wiedział o Agnieszce, że nie jest już tą dawną, którą
chciała poprzez niego w sobie odnaleźć

Pomyślała też o ojcu. Na co liczyła, pytając, czego mogła pragnąć? Ta pani Olga istniała przecież po-
niekąd zawsze, naprzód miała swojego jakiegoś męża,
później przestała mieć. Istniała zawsze w pewnej odle-
głości zresztą, niczemu nie zagrażając. Nie zmieniło się
więc nic.

Co do Mani Siesławskiej, to ona Justyna Słuczańskiego nie widziała więcej, niż przez rok. Nie widziała go ani razu od tamtego szczęśliwego i kłamnego wieczoru u Niewolewskich, kiedy się przekonała, jakie mogłoby być życie i jakie nie jest.

Nie chciała go widzieć — chociaż pozostawał przecież w kraju aż do wiosny, chociaż przyjeżdżał do ojca, chociaż, gdy tylko chciała, mogła zawsze wszyskciego dowiedzieć się o nim od pani Renaty albo od Julka. Miała swój plan. Wiedziała, że nie przyszedł jeszcze jej czas, że musi czekać. Jej postanowienie szczęścia, powzięte w młodości, musiało być dotrzymane.

Długo myślała o naturze wstydu, który jest w nędzy, dobrze zgłębiła tę sprawę. Wstyd, któremu nie można dać żadnej znikąd satysfakcji, żadnej moralnej podpórki.

Są cierpienia, na które jest jakiś sposób dialektyczny, jakieś wyjście z resztką honoru. Są cierpienia, które nadają się choćby do tego, by je ofiarować Bogu. Ale jakież jest sposób na wstyd ubóstwa?

Odnosić się do tego pogardliwie, być „ponad

tem” cóż za komizm! Tak samo, jak rezygnacja, pogarda jest czemś, czego nie zauważy nikt. Żadna mina, najbardziej królewska, nic tu nie pomoże. Na upokorzenie, na śmieszność niema sposobu.

Ten płaszczyk, który jednak musiała nałożyć na siebie po tamtym jedynym wieczorze, ten płaszczyk, któremu przypisywała swoją ówczesną porażkę — jakąż niezagojoną raną był w jej pamięci!

Cóż zrobić z takim płaszczykiem, jak udać, że ta sprawa ma się inaczej, niż jest. Nie można go się w żaden sposób wyprzeć, nijak od niego się oddzielić. Ubranie — to poniekąd my sami, musimy z tem mieć jakąś solidarność. Żaden sposób wybredny i wzgardliwy nie naruszy tej solidarności, nie zmieni faktu, że strój jest także naszą fizjognomją, naszym socjalnem obliczem. Ramiona podniesione, harmonika na bawełnianych rękawach — co można przeciw temu?

Tymczasem, gdy nastąpiła tamta wiosna, w kuchni Siesławskich kobiety wśród łez i przykrych słów jednak zgodnie uznały, że coś można, że przynajmniej coś trzeba. Trzeba mianowicie te rękawy i wogóle cały płaszczyk Mani na mokro odprasować, a także wyjąć ze środka watolinę, która robi go zimowym. Józia obiecała odpruć podszewkę, uprać i podszyć napowrót. Józia bowiem była z tych sióstr najzdolniejsza do szycia, a matka umiała właśnie po krawiecku prasować i przytem miała najwięcej pogody umysłu. To z jej ust cienkich i napozór zgorzkniałych padły te słowa, że płaszczyk będzie „jak nowy”.

I na słoneczną, wiosenną ulicę miasta Mania jeszcze raz wyszła w tem samym ubraniu.

Jakże się bała go zobaczyć, jakże nie chciała go spotkać na ulicy przypadkiem, gdy wiedziała, że znów jest w mieście. Zdarzyło jej się dwa razy — przez cały ten czas dwa razy — że jednak zobaczyła go tak zdaleka i z tchem zapartym, z popłochem wszystkich myśli zawróciła z miejsca, by uciekać. Biegła zpowrotem świadoma, że o ile i on ją dostrzegł, to właśnie widziana tak ztyłu jest najgorsza, zupełnie beznadziejna. Bo nietylko palto, węższe w ramionach, niż w biodrach i okropne z całym swoim uprasowaniem, ale całe nogi, matowe i mszyste od złych pończoch, niezgrabne od lichych, wykręconych pantofli — każdy ruch był upokorząjący i bolesny.

Szła, jak naznaczona piętnem, którego ukryć się nie da, hańbą bezpożyteczną, hańbą bez jutra, bez żadnego zadośćuczynienia.

Z Julkiem zato, gdy tylko był w domu, widywała się często. I on nie był zadowolony, i on miał rozmaite życiowe plany. To wydawało jej się komiczne. Czekać na jakąś chwilę dziejową, na „nowy ład”. Nie, to było doprawdy śmiechu warte!

Gdy wychodziła, znalazł się przed domem — poważny, trochę uroczysty, ale właściwie smutny.

— Był czas, że mię pani inaczej traktowała — mówił, patrząc pod nogi. — Mogłem sobie myśleć, że nie jestem dla pani tak zupełnie obcy, że pani czuje, że nas coś łączy.

Mógł sobie myśleć, co chciał. Ona zaś myślała

o Justynie, jak zawsze przy nim, przy jego takim innym bracie. Myślała: jeszcze jest, a później odjeżdża. Jest krótko — a później go niema długo, długo. Gdy jest, także go nie widzę...

Tak, nie widziała go, uciekała przed nim. Ale jego obecność, samo wiedzenie, że on jest — robiło innym miasto, ulice, niebo, świat. Tak, cały świat obleczony był w tę obecność, jak w światło — biały, cudny, kwitnący. W rękach, w nogach i w szyi, właśnie w szyi i w gardle — upojenie, radosna tęsknota, łzy z niemożliwego szczęścia.

Później — gdy już naprawdę wyjechał — jakież ciężki kolor miało wiosenne niebo, poco były kwiaty i liście? Ach, wszystko było niepotrzebne.

— Jednak ten Niewolewski jest wstrętny — powiedział raz Julek. — On jest przecież taki gruby.

Julek wiedział, że starania pani Renaty wydały już rezultat, że za miesiąc Mania dostaje inną posadę, że będzie mieszkała w nowym, pięknym domu urzędników bankowych.

— Och, jaki on jest, to mi jest całkiem obojętne! — powiedziała Mania. — Robota jest tam daleko dla mnie lepsza i lepiej płatna. I mogę wreszcie mieszkać osobno, co za ulga! Mogę wyprowadzić się z domu!

W dziwnej rodzinie Siesławskich nie obyło się przytem bez sceny. Ojciec uważał to za niesłuszne, że Mania wynosi się z jego kuchni, że nie chce już korzystać z opieki rodziców, że się „uchyla od swoich obo-

wiązków”. Mówił słowa, które zawsze wtedy dadzą się powiedzieć, które doskonale znoszą swoją nieprawdę.

— Nie brakło ci tutaj nic — wołał w uniesieniu — dzieliliśmy się z tobą wszystkim, niewiadomo, czego ci się zachciewa!

A przecież Mani właśnie brakowało wszystkiego, sama z całą rodziną dzielić musiała swój zarobek, a czego chciała, to było dla każdego jasne.

Jednak Siesławski mówił te rzeczy w najlepszej wierze, był pewny swej słuszności i do głębi oburzony niewdzięcznością „dziecka”.

Wreszcie powiedział, że złemu wychowaniu córek winna jest matka, nie on. I, gdy zatrzęsął drzwiami od kuchni, izolując się w swoim pokoju, Mania mogła już zrobić, co chciała. Ta prosta kobieta — jej matka — okazała się, jak zwykle dawniej, nie tylko lepsza od ojca, ale nawet rozumniejsza. I ani przez chwilę nie miała do Mani żalu o tę decyzję.

Zresztą druga córka, właśnie Józia, miała już dziewiętnaście lat i także zaczynała rodzinie pomagać.

porównanie
pokoju

Zmiana w życiu Mani nie była tak efektowna, jak na filmie. Jej nowy, czysty, słoneczny pokój był prawie pusty, jej nowy letni kostjum bardzo tani. Ale te skromne zdobycze były już drogą do wolności, do innego świata, były już rajem.

Tu wreszcie mógł zwyczajnie odwiedzić ją Julek, usiąść na drugim plecionym z łyka fotelu i mówić swoje myśli, naciskając silnie językiem na zęby. Tu w glinianym „ludowym” wazonie stały kwiaty, przyniesione ze spaceru, a na materacu leżał trochę za mały kilim i jedna wyhaftowana poduszka. Tu przyszła parę razy pani Renata i ostatecznie mógł przyjść każdy.

Więc przyszedł także i pan Niewolewski, by zobaczyć, jak się urządziła.

Był rzeczywiście gruby, ale poza tem miły i wesoły, trochę zawsze zabawny. Niewątpliwie było mu dobrze na świecie, niewątpliwie niewiele mu do szczęścia brakowało. Ale słowa jego były w niezgodzie z jego naturą.

Mianowicie zawsze musiał narzekać. Zadziwiające było, jak bez żadnego trudu wynajdywał sobie za-

łosne tematy rozmowy. Każdy był dobry, byle tylko nadawał się do utyskiwania.

Więc teraz, latem, było mu za gorąco. Zachowywał się tak, jakgdyby upał na niego tylko się zawziął, jemu tylko dokuczał. Z największą ironją, z triumfem zjadliwym mówił, że jest znowu tyle a tyle w cieniu, że już taki jest jego los, by się tylko męczyć, by nie mieć chwili wytchnienia.

Zupełnie to samo było w zimie. Wtedy mróz trwał poto, aby jego właśnie prześladować. — Proszę! dziś rano było znowu 15° — zupełnie jakby ten fakt nikogo innego nie dotyczył. Naturalnie na szosę nawiało tyle śniegu, żeby samochód nie mógł przejechać, żeby trzeba było wracać. To już musiało koniecznie jemu się zdarzyć, to już na żaden sposób ominąć go nie mogło.

Cały układ świata był dla niego specjalnym pechem. I każdy musiał to wiedzieć.

Więc oto podoba mu się bardzo któraś ze znajomych pań — była to wciąż inna — i naturalnie jak na złość jest żonaty. Ma chęć w południe wyjechać na spacer, ale ani na godzinę nie może wyrwać się z banku — taki już jego los! Chce mu się spać — ale akurat musiała przyjechać ważna jakaś osobistość z ministerstwa — i na niego oczywiście spada obowiązek robić reprezentację. To jest los dyrektora, ładne są przywileje takiego stanowiska!

Pan Niewolewski mówił to wszystko zupełnie pogodnie i wesołemi, ujętemi w małe torebki oczami patrzył serdecznie w głąb kobiecych oczu. Lubił kobiety. I to, że był żonaty, w niczem mu naturalnie nie przeszkadzało.

Zarówno zresztą, jak w niczem nie przeszkadzał mu bank. Ani upał, ani mróz. Dobrze miał życie i już, co tu mówić. A ciągle jego tetryczenie było trochę nudne, trochę śmieszne i wytwarzało potrzebny mu ton zaufania i dobroduszości.

Gdy przyszedł do Mani, nie był jednakże tak swobodny i pewny siebie, jak zwykle wobec kobiet. Po pewnym czasie, powiedziawszy już wszystko o upale, przecież dotyla się ośmielił, że ucałował jej rękę do łokci i zdążył ją objąć. Nie wyrwała się odrazu — sztywna i uważna, zaciekawiona, co to może znaczyć, jak on poprowadzi tę sytuację. Czuła na sobie, w pasie i na łopatce, każdą jego rękę osobno, czuła blisko jego duże ciało, jakby nie ciało ludzkie, tylko ogromną lalkę z gumy. Uczuła też wreszcie jego pocałunek — na policzku, blisko ust.

Zobaczyła, jak to jest — bo to było dla niej dosyć nowe. Potem odsunęła go od siebie bez żadnego wysiłku i zapytała poważnie, czy rzeczywiście tylko dla tego dał jej tę posadę i mieszkanie, że tak to sobie wyobraził.

Wysłuchiwała, nie przerywając wcale, wszystkiego, co musiał w tem miejscu powiedzieć — z wielką ciekawością i uwagą.

— Jednakże nie wejdzie pan już nigdy więcej do tego pokoju — powiedziała z namysłem.

Przyrzekł, że naturalnie bez jej zgody nie wejdzie nigdy. Że wogóle nie wejdzie, skoro ona tego sobie nie życzy.

— I jeżeli pan zechciałby naprzykład kochać się

we mnie niewzajemnie, to to jest zupełnie możliwe. Widzimy się często, nawet tu w biurze ciągle się przecież spotykamy. I to już jest bardzo wiele, gdy się kto w kimś kocha... Naturalnie w wypadku, jeżeli pan mi to wszystko powiedział szczerze. Ale jeżeli pan miał jakieś projekty czy złudzenia, to naturalnie — — to pan chyba sam dobrze rozumie — —

Zamyśliła się i dobrotliwie dodała:

— Pan mnie nie obraził, pan się tylko pomylił. Nawet nie mam do pana żadnej, żadnej pretensji. Tu niema żadnej pańskiej w tem winy...

Uśmiechnęła się, nie patrząc na niego, i powiedziała powoli, z niezmierną przyjemnością, po raz pierwszy te słowa:

— Ja kocham kogo innego. Więc pan rozumie, prawda?

Mania była przygotowana na to, że w Niewolewskim zrobiła sobie wroga. Jednakże to się nie stało. Niewolewski miał usposobienie pogodne i ufne. Uznawał trudności i zwolna usiłował je przezwyciężać. Liczył na działanie czasu. Manię widywał prawie codziennie i trochę obserwował.

Niebardzo wierzył w ową miłość dla innego, którego nigdzie nie widział. Nie mógł bowiem dopatrzeć się go w Julku Słuczańskim.

Do pokoju Mani więcej nie przyszedł, skoro tego nie chciała — ale wciąż niejako przy niej strażował, miał ją na oku, radował się nią nieustannie. Gdy zapragnął, każdej chwili mógł iść do sali, gdzie siedziała, całą myślą zatopiona w cyfrach, uważna i ścisła, prawie nie umiejąca się pomylić. Mógł też zawsze wezwać ją do siebie w sprawach biurowych. Nie nadużywał tego jednakże. Wolał wspólne, łatwe, usypiające czujność wycieczki z Julkiem i panią Renatą, wizyty u Słuczańskich, u Blizborów, wreszcie przyjęcia u siebie w domu, gdzie teraz dopiero w całej mierze dawała się uczuwać korzyść, płynąca z istnienia pani Niewolewskiej. Pod

koniec lata pretekstem do ciągłych wyjazdów stał się kort tenisowy, urządzony przez Blizbora w osadzie. Zimą była to znowu ślizgawka, której Mania nie miała teraz przyczyny unikać, skoro i tak nie było Justyna.

Niewolewski zajmował się zresztą wciąż innemi kobietami, nie odmawiał sobie niczego. Mania była dla niego przedmiotem starań i zabiegów, serdecznej sympatji i uwagi, przedmiotem miłości statecznej. Badał ją i podziwiał. Podobała mu się bardzo. Gdyby chciała trochę kapryścić, gdyby przyszło jej do głowy go męczyć — niewątpliwie ważyłby się na jakieś szaleństwo. Ale z jej młodości skupionej, prawie surowej, szedł ku niemu przedziwny spokój. Tak właśnie było dobrze, tak było trzeba. Móc gdzieś w przejściu pochwycić ją za rękę, ucałować palce, popatrzeć głęboko w oczy, powiedzieć coś serdecznego — to już było tak wiele.

I Niewolewski myślał, że tak może być zawsze, że ona jakoś do niego przywyknie. Był pewien, że jednak go lubiła, był tego coraz pewniejszy.

Ta rzecz popsuka się dopiero na owej pamiętnej wycieczce zbiorowej do jezior, na tej ślicznej wycieczce czterema samochodami do jezior leśnych, którą Paweł Blizbor z takim zapałem zorganizował niedługo po przyjeździe Justyna i, jak mówiła pani Renata, właściwie nawet na jego intencję.

I dla Agnieszki ta wycieczka stała się również pamiętna, chociaż była poprostu tylko jednym krokiem dalej na jej drodze do kłeski.

Z początku nawet wcale nie chciała jechać, nie

miała chęci. Jakże mogła zostawić Kamila samego przez tyle godzin. Może wróćą aż w nocy.

— Jakto samego? — oburzył się Justyn. — Przecież jest Wadowita.

Był już dokładnie obeznany ze stanem rzeczy i po dawnemu uważał się za przyjaciela.

Wszyscy siedzieli jakoś i stali naokoło stołu w jadalni i pili wczesną białą kawę. Niektórzy nie chcieli, będąc już po śniadaniu. Pan Niewolewski stał przy Agnieszce i utrzymywał, że bez niej wycieczka się nie uda, że musi jechać. Słuchała wdzięcznie, wiedząc, jak do dna obojętna była mu ta sprawa.

Dopiero, gdy Justyn wziął ją za obie ręce i przyprowadził ku szafie, by wzięła płaszcz na drogę — wtedy uległa. Czuła zarazem, że całość jej postępowania jest niewłaściwa, bo albo się jedzie, albo się nie jedzie, nikomu jednak nie należy tem głowy zaprzętać.

Tak, często teraz robiła coś niewłaściwego, co raziło na przykład generałową, która znała się na formach towarzyskich, która milcząc patrzyła i słuchała, a później poprostu nie mogła wyjść z podziwienia, że tak można.

Właśnie z generałową Ninotową wsiadła Agnieszka do auta Osienieckich, które prowadziła Fleur. Kornel siedział za żoną, drugie składane miejsce było narażone niezajęte, nikt jakoś więcej nie pragnął tu wejść. Agnieszka obejrzała się za Justynem, który przecież przed kwadransiem tem samem autem przyjechał z Osienieckimi z Porów. Ale zobaczyła przy nim wysoką, ciemną, znowu teraz dziwnie urodną Manię Siesławską.

I usłyszała jej głos: — Pan Słuczański jedzie z nami! — A na wolne miejsce w samochodzie Osienieckich nawiął się w samą porę pan Świebodzki. Trzasnął drzwiczkami, i ruszyli. Agnieszka jechała, nie wiedząc, jak rozmieści się reszta towarzystwa w tamtych samochodach. Nie obejrzała się wcale. Mówiąc z generałową, nie przestawała jednak o tem myśleć i niepokoju swego nie mogła opanować. — Szkoda, że pojechałam — myślała, trzeba było zostać, zostać. Teraz za późno. — Wiedziała na pewno, że Renata jedzie jak zwykle obok Pawła, że są tam razem, że będą razem przez cały dzień.

A już od samego rana było widać, że dzień będzie pogodny, że będzie gorący. Na niebie nie było wcale obłoków, tylko samo słońce. Deszczu nie będzie, i uda się zabawa.

Zjechali lekko wiadomą szosą wdół nad łąkami, wemknęli się tą szosą przez mały las w głębokie, niebiesko-zielone pola żyta kwitnącego, ścielące się miękko pod powiewem i zdaleka pachnące.

Szalony wichur jazdy porywał mijające się lasy, wsie i pola, zniekształcał linje krajobrazów, miotał niemi w locie, jak strzępami pary z parowozu.

Było w tym pędzie i łoskocie drogi coś, co bardzo męczyło Agnieszkę, prawie nie dając jej oddychać. Czuła ból między oczami, zesuwała okulary na czoło i znów ścierała na oczy. Wichur i słońce jednakowo paliły twarz.

Mimo szumu i łoskotu, jednak rozmawiano. Pani Ninotowa mówiła panu Świebodzkiemu o swych ja-

zdach zagranicą. Zwłaszcza droga samochodem między Paryżem i Nizzą natrętnie jej się teraz przypominała. A Kornel jednocześnie mówił, odwrócony ku Agnieszce, że pani Osieniecka jest znowu bardziej chora, ale nigdzie do wód wyjechać nie chce. Więc może od jesieni zamieszka w mieście, aby mieć więcej wygody i spokoju, a także w każdej chwili bliską pomoc lekarską. Dom — dawny miejski pałac Osienieckich, dotąd prowizorycznie zajmowany przez starostwo i bardzo zniszczony — Fleur podjęła się odrestaurować w ciągu dwóch miesięcy.

Projekt cały wydał się Agnieszce dziwny, ale tego nie powiedziała. Więc było aż tak źle z panią Osieniecką, źle z jej zdrowiem i z jej sprawami. Fleur wszystko wzięła w ręce, Fleur teraz była panią. A Kornel uważał, że tak trzeba.

Fleur tymczasem, na wszystko inne obojętna, mknęła, wymijając lub zagarniając z prawej i lewej strony między koła każdą nierówność, każdy poprzeczny cień, widziany w słońcu i kurzu drogi. Tak modelując i wciąż w niedostrzegalny sposób doskonaląc linię tego przelotu, brała pod siebie kilometry, nawijała je na koła, jak białą taśmę.

Niekiedy już zdaleka trąbiła głośno na chłopskie, zakurzone wózki, by zjeżdżały na bok szosy. Chłopi oglądali się, powstrzymując spłoszone swoje koniki, często w pośpiechu zeskakiwali na ziemię, by chwycić je za uzdy tuż przy pyskach. A małe, zmęczone, siwe od kurzu zwierzęta wspinały się do skoków w patetycznych, bohaterskich gestach zgrozy.

W pewnym momencie — wśród głośu trąb, okrzyków i kurzu — Fleur dała się wyminąć maszynie Blizbora. W przelocie zamachała jakimś trzymanym w ręku kolorowym szalikiem pani starościna, osoba mała i wesolutka, siedząca tam w głębi obok Renaty. Kornel objaśnił swoje panie, że Blizbor śpieszy wcześniej do miasteczka w sprawie śniadania i motorówek, bo z rana nie mógł się dotelefonować. Agnieszka więc źle przewidywała, bo przy kierownicy siedział obok Pawła szofer, a paniom w aucie towarzyszył senator Lepowy i pan Zaniemski. Doznała ulgi. Mogła więc wytchnąć, mogła sobie odpocząć od cierpienia na całą resztę drogi.

Wkrótce z tym samym ostrzegawczym hałasem przemknął za tamtymi samochód Niewolewskiego — zapewne też śpieszący w jakichś celach organizacyjnych. I tutaj dobrze się bawiono. Obaj młodzi Słuczańscy kłaniali się, przejeżdżając; w głębi, obok Mani Siesławskiej, wołała coś wesoło majorowa Świernina, najlepsza tennisistka z osady. Nikt nic nie usłyszał, ale Kornel domyślał się, że panu Niewolewskiemu idzie o dobre napitki.

Mania jechała bez kapelusza. Włosy jej podnosiły się i opadały od wiatru, trzepotały, jak małe skrzydełka przy nagim czole.

W miejscu, gdzie odchodziła od szosy droga w stronę puszczy, na skřęcie do miasteczka czekał samochód Niewolewskiego. Pan Roman wołał, że trzeba jechać wprost do lasu, że tam przyjdzie łódź, że śniadanie będzie nie tak zaraz, bo dopiero łapią kurczęta. Pan Blizbor tam wszystkiego dopilnuje i sam przyjedzie motorówką na brzeg.

Wiedział dobrze, które to miejsce, więc ruszył przodem. W tym też czasie nadjechał ostatni samochód generała Ninoty ze starym panem Słuczańskim, panem starostą oraz majorem Świernią — jednym z tych, których generał uważał „poprostu za swoich młodszych kolegów”.

Te ostatnie parę kilometrów drogi wśród drzew przebyli dość wolno, uważając na korzenie. Aż z prawej strony daleko poprzez pnie i dość wysoko zaczęła błyskać woda, jak kawałki nieba.

Miejsce, gdzie się zatrzymali, było brzydkie, zastawione stosami tartego drzewa i jakimiś pustymi budynkami z desek, obitych papą. Na stoku wzgórza, wydeptanym do szczerego piasku, chodziły brudne czy-

jeś dzieciaki i zdala się trzymająca osoba w czerwonym szlafroku.

Wystarczyło jednak wyjść na wzgórze, by cała piękność tej leśnej wody olśniła oczy.

Wiatr drogi ucichł zupełnie, nic się nie ruszało w powietrzu ani w sosnowych gałęziach. Drzewa nachylały się z piaskowych osypisk nad tą wielką, płaską, białoniebieską wodą, rozlaną w brzegach niezmiernie dalekich, niskich i zielonych. Grała cicho pod spokojnem powietrzem, chełbiła się drobno, jak pogodne morze i szeptem chlupotała u brzegów ze stromego podmytego piasku.

Rozglądali się przez chwilę, jak zejść do wody. Nie było innej drogi, więc w śmiechach i skokach, nabierając w obuwie pełno piachu, zbiegli po wydeptanem osypisku aż na sam dół, do małej przystani.

Trzeba się było cokolwiek z pomostu nad wodę wychylić, by w głębi na prawo, za najbliższemi, prawie przewracającemi się na jezioro staremi sosnami, zobaczyć dalekie miasteczko z dwoma tartakami i mnóstwem szarego drzewa, zaścielającego wybrzeże.

W tamtą stronę wychylała się Agnieszka, upatrząc łódki.

Między obecnymi nie było oprócz Pawła i Renaty jeszcze trzech osób, to prawda. Pan Zaniemski tam został, jej oddany przyjaciel, Justyn, jej pasierb, przyzwyczajony do światowej swobody, panna Siesławska, jej ulubienica. Ale starościna była tutaj i tutaj też był senator Lepowy, oni jednak zawrócili od miasteczka razem z panem Niewolewskim.

Poczucie tego, jak trzeba, nie normowało już postąpienia Renaty. Dość jej było, że siedziała daleko od Pawła w samochodzie, że przymuszała się do rozmowy ze starościna, że tak długo była poprawna. Teraz została tam z nim, tam, gdzie mogła się nie liczyć z wyrozumiałymi, życzliwymi, sobą zresztą zajętymi ludźmi.

Tam więc znowu byli oni oboje, a tutaj Agnieszka sama. Korzystali doprawdy z każdej chwili, bo każda chwila była teraz dla nich bez ceny.

Agnieszka wypatrywała napróżno. Wielka topiel wodna leżała w swych brzegach gładka i pusta — dziś, o tem świątecznem południu. Dzień był gorący, nalał światłem, które obejmowało ciasno każde źdźbło trawy, każdy liść drzewa. Nagrzane powietrze robiło się widzialne, jego błękitne, szklane drzenie zatapiało zielone kontury dalekich zatok. W tem natężeniu światła sama głębokość oddalenia była ruchoma i płynna, wszystko stawało się mniej odrębne, łączyło się nawzajem i przenikało, gorzało, objęte cichem płomieniem.

Agnieszka czekała, przechodziła tam i zpowrotem po trzeszczących deskach nad głębiną. Inni czekali też, wachając z lubością mokry zapach wody. Ale powoli zaczęli wracać po pomoście na piaszczysty brzeg leśny. Poszli wzdłuż wody — i zaraz znaleźli śliczne, zupełnie dzikie miejsce, zarosłe paprociami, odgrodzone od przystani wielkim wachlarzem wyważonych z sypkiego gruntu sosnowych korzeni. Na starym pniu, zwalonym gałęziami w wodę, dało się, zachowując

pewne ostrożności, usiąść. Jednak nie wszyscy się zmieścili. Generał Ninota zachęcał bardzo do swojego pledu, który rozesłał na piasku. Agnieszka wahała się, poglądając za starym panem Słuczańskim. Tak, chciała przyjrzeć mu się dokładnie, czy wcale nie myśli o tamtych, czy nic nie odgaduje, czy nic wreszcie nie rozumie. Chciała jakoś z nim porozmawiać — ale nawet nie wiedziała, co mu powiedzieć. Nie rozmawiała z nim nigdy widocznie, może go nawet wcale dotąd nie widziała. Stał przy tym pniu ze starostą, żywo coś objaśniał staroście, śmiał się cienko i nieswobodnie. Usiłował jakoś robić im honory tego lasu i tego jeziora. Bo starosta nastał niedawno, nie widział jeszcze wszystkiego.

I on, i jego żona byli to ludzie dobrzy, dość prości. Odrazu polubili Renatę. Nie orjentowali się jeszcze w sytuacji, jak inni. To, co zastali, to, co było przed nimi, wydawało im się takie, jak trzeba, aby było.

Zato podszedł do Agnieszki pan Niewolewski, podszedł blisko i stanowczo, uczepił się jej poprostu. I swoim zwykłym, niby dowcipnym, niesmacznym sposobem utyskiwał.

Przyczyn do tego miał dosyć, jak zwykle. Mógł mówić, że na szosie był kurz, że jest gorąco, że nieprzyjemnie jest czekać na śniadanie po tylu kilometrach jazdy, że jakże mogą od niego żądać, aby zachwycał się piękną naturą, kiedy on jest właśnie głodny.

Mógł to mówić, ale tego jednak nie mówił. Zaczął zupełnie inaczej, mianowicie, że jest już stary,

że serce daje mu się uczuwać, że wycieczka taka daleka w upał jest męcząca.

Mówił także:

— Och, kobiety, kobiety, cóż za niepocziwe stworzenia. Tak, w ich naturze tkwi okrucieństwo.

Trzeba taką rzecz zobaczyć zbliska, aby zrozumieć. Oto młoda czarodziejka, panna Marja, prosto uwzięła się, by go dręczyć. Od rana nie widzi nic poza pięknym cudzoziemcem.

Cudzoziemiec to był Justyn. Dowcip polegał na tem, że Justyn przybył z zagranicy.

Pan Roman mówił dużo, mówił rzeczy niepotrzebne. I tak, że nie tylko Agnieszka mogła to słyszeć. Mówił, że Mania jest ogromnie zdolna, że w banku jest siłą, która niewątpliwie się wybiję. Pragnąłby sam gorąco, aby jej przyszłość odpowiedziała tym zadatkom. Tak się wyraził. Mówił, że dla niej zrobiłby wszystko.

Pan Niewolewski zatracił miarę tego, co można powiedzieć. Agnieszka uczuła nagle znajomy sobie wstręt, którego doznawała nieraz wobec narzuconych sobie wizyt tej panny Siesławskiej i jego. Uczuła wstręt i zarazem wstyd, jakgdyby sama wzięła w tem jakiś udział. To było straszne upokorzenie, że i on, ten pan Niewolewski, też był zazdrosny. Że to właśnie tak wygląda. Że to jest takie.

Nie współczuła mu przecież ani na chwilę. Tylko prosto nie mogła tego słuchać, nie chciała tego czuć.

I gdy pan major Świernia pierwszy ze swego

miejsca zawołał, że już jadą, Agnieszka przemogła to na sobie, nawet w tę stronę nie popatrzyła. I tak — odwrócona od wody i od Niewolewskiego, słysząc ciche mruczenie motorów — doczekała tego ich przybycia.

A później, gdy sadowili się do obu łodzi, nie wiedziała wcale, nie chciała wiedzieć, gdzie kto ma miejsce. Nie podnosiła powiek, patrzyła ciągle po wodzie, płynęła jakby w zupełnej ciemności, płynąc pośród blasku i światła.

Gdy się patrzyło tak nisko, słoneczny migot powietrza przenikał w głąb jeziora, powietrze łączyło się z wodą. Drżała i migotała, jak samo powietrze płynne, jak płynne światło. I była chłodna tylko przy brzegach, tam, gdzie była zielona.

Przyjemnie było zjeść śniadanie w śmiesznej, okropnej restauracji i znowu temi łodziami płynąć daleko, daleko po wodzie, ocierać się z równem turkaniem motoru o przewlekłe, zatopione trzciny, przemknąć pod wielkimi drzewami, niby tunelem, przez cieśninę, łączącą oba jeziora. To drugie jezioro było jakby mniejsze, wąsko wchodzące w niską, nadwodną, jaskrawą zieloność wybrzeży. A naprawdę okazało się ogromne, jakby nie mające nigdzie żadnych ostatecznych granic. Zwarta w głębi ściana puszczy zwolna rozstępowała się okrągło na niezmierną, jasną toń wodną, uchodziła daleko na boki, malejąc w słońcu i niknąc. Zdawało się, że jezioro właściwe jest dopiero tutaj, a tamte wody były tylko drogą, do niego wiodącą. Zewsząd wyjawiały się wciąż nowe, głębokie, ciche i zielone zatoki o wejściach, zupełnie zamaskowanych gęstwiną lasu, zamykających się szczelnie za łodziami. I można było się bać odcięcia drogi powrotu, można było myśleć, że nie da się stamtąd wypłynąć, że te miejsca nigdy nawiedzone nie były przez człowieka. Tymczasem właśnie gdzieś tu, przy

brzegu, stała w trzcinie chłopska mała łódka z rybakiem. A w najdzikszych zakątach tej głuszy leżały na wodzie w nenufarach pnie ściętych sosen, mocno powiązane w tratwy.

W pewnem, Blizborowi tylko wiadomem miejscu łodzie stanęły u wysokiego brzegu, i wszyscy wychodzili ostrożnie, trzymając się gałęzi, skacząc po nadwodnych korzeniach. Jakże tu było pięknie — w tym gaju, całym z liści, gdzie oto zaczynały już śpiewać głośno słowiki i kwitło tyle konwalij, że ich zapach wisiał w cienistem powietrzu, jak biała mgła.

Długa, nieruchoma kontemplacja wodnej dziedziny, cała skupiona cisza równej drogi łodziami urwała się odrazu tutaj, na tym brzegu zielonym. Wszyscy uczyli potrzebę ruchu i gwaru, radość z tego, że wreszcie się idzie. Zapuścili się też gromadnie w dzikie, ciasne aleje leśne, w miękkie gałęzie nisko nad wodą. Nikt z miasta nie oczekiwał, że w tej okolicy jest miejsce tak urocze, że wogóle taka rzecz jest możliwa, ta zielona kępa pośród wody. Tak blisko — i właściwie się o tem nie wie, nikt o tem nie wie — czy to nie dziwne?

Generałowa, jak wiadomo, dużo za czasów pierwszego swego małżeństwa podróżowała. W tych podróżach widziała też wiele jezior i teraz właśnie wyliczała, jakie to były jeziora. A jednak to jezioro podobało jej się także. I była zdania, że gdyby tu mieszkali Szwajcarzy albo Niemcy, to wszędzie na brzegach wybudowałiby najpiękniejsze hotele, i ludzie zjeżdżali-by się na to miejsce z całego świata.

To było zupełnie możliwe. Ale Błizbor utrzymywał, że tego nie życzyłby sobie wcale. Bo dlatego tylko tu jest ładnie, że właśnie nikogo niema, że jest tak dziko.

Natomiast zainteresowała się tem Fleur. Powiedziała Błizborowi, że mówi nonsensy, że i w najdzikszych miejscach potrzebne są hotele, bo inaczej nic nikomu z tej dzikości nie przyjdzie. Że piękno, którego nikt nie widzi, wcale nie istnieje. I że tylko w krajach barbarzyńskich człowiek obecnością swoją szpeci krajobraz, zamiast go ozdabiać.

Tak mówiła Fleur. Uważała, że właśnie miejsce jest dobre — tam, nieco bliżej miasta, na wzniesieniach suchych i zadrzewionych. Szosa musiałaby być przedłużona w głąb puszczy, nic więcej. Książę Ruski, który ma takie wielkie kapitały, umieszczone zagranicą, nawet hrabia Szepiół, który niepotrzebnie narzeka — wszyscy mogliby wejść do spółki. Naprzód jeden wielki hotel, później inne.

— Czy to są grunta prywatne, czy rządowe? — zapytywała napróżno, bo nikt dokładnie nie wiedział.

Dopiero starosta, usłyszawszy, o czem mowa, wyjaśnił, że las jest w rękach prywatnych i tartak również jest prywatną własnością. Właściciel tutaj nie mieszka, podobno przyjeżdża czasami, co parę lat. A zarządza tem wszystkiem jakiś cudzoziemiec. I Fleur była tem zagniewana, że to jest cudzoziemiec. Z jakiej racji? Poco tu wpuszczać obcych?

— Jak możecie pozwolić, żeby obcy człowiek wycinał wasz polski las?

Tak mówiła. Ale wszyscy już byli przyzwyczajeni do tego, że Fleur nie zwykła przed nikim taić swego zdania. Agnieszka oddawna przestała pod tym względem nad nią czuwać.

Z ogólnego gwaru wybiły się zachwycone okrzyki. To Mania w gąszczach i paprociach znalazła mnóstwo konwalij. I zwoływała innych na to miejsce.

— Ile ich tu rośnie, o jej! — krzyczała. — Chodźcie zobaczyć!

Były tam w trawie, jak białe krople mleka, ciążące na swoich odnóżkach. I dawały się rwać, jakby nie były dzikie, pachniały czarownie, nie cierpiąc.

Renata podeszła do Mani, by to zobaczyć, pochyliła się, wachając kwiaty w milczeniu. Była cicha, nie rozgłaszała swego szczęścia, które przyszło samo, którego wcale nie potrzebowała zdobywać.

Agnieszka nie patrzyła w tę stronę. Wolała nie widzieć konwalij i tych dwóch kobiet. Wiosna sprzyjała młodym i szczęśliwym, ułatwiała im ich wiadomą sprawę.

Mania szła przodem. Węszyła widać nowe konwalje, rozgarniała sobą miękkie nadwodne gałęzie, śmiała się głośno i wciąż czegoś nawoływała.

Nie była tam sama, w tym listnym cieniu. Justyn był blisko — także wszystko chcący zobaczyć, ciekawy każdej rzeczy, która jej wydawała się zachwycająca. Zbaczał za nią w jakieś małe parowy, pełne paproci, wdzierał się na zbocza, zarośnięte gęsto kwitnącemi poziomkami i mchem. Słoneczne gorąco przesypywało się przez liście, jak złoty piasek.

Jeszcze raz Justyn patrzył na tę dziewczynę, niby na kogoś nowego. Była na pewno znowu inna — ciemniejsza, bardziej upalna, zapierająca oddech jakimś niezrozumiałym niepokojem.

Była zbyt rada, zbyt pewna siebie, coś swojego wiedząca i nie chcąca jeszcze do końca powiedzieć, była jakby nieobliczalna. A przecież nie mógł się oprzeć nie tyle jej powabowi, ile może jej wyraźnej woli, aby był przy niej.

Bo nie miał, jak kiedyś dawniej, chęci chwytać jej za małe, chude ręce, nie ważył się na mówienie poufałych, bagatelnych słów. Nie był swobodny, gdy szło o nią, już nie było mu tak zupełnie wszystko jedno.

Nie chciał tego mówić, ale powiedział:

— Co się z panią zrobiło przez ten rok, o Boże! Co z pani wyrosło!

Patrzył na nią, gdy przez chwilę szła obok. Jakże była niesamowicie piękna, śmiejąca się gryząco, wysoka, cienka, giętka, cała od stóp do głowy widzialna w lepkiej sukni z kwiatowego jedwabiu. Miał wciąż przed oczami śliczne jej nogi, kolana wąskie, prawie nagie pod suknią.

— Nie, nie chcę już tego słuchać, wiem sama. Dziś jest co innego.

Zrobiła się pochmurna, dziwna, harda, prawie zła.

— Cóż pan znał? Nieszczęsne, umęczone, zakochane w panu bez pamięci stworzenie. No tak —

potwierdziła, widząc, jak się zdumiał, — byłam w panu zakochana, czyż to jest dziwne?

Śmiała się znowu, zbliża swym dziwnym śmiechem, ściskając mokre, ostre, zbyt daleko odslaniające się zęby. Ale oczy miała miękkie, czarne, leniwe, przepełnione pewnością szczęścia.

— Czego się pan czerwieni? — zapytała. — To z mojej roli raczej wynikałoby teraz czuć się zażenowaną. To ja to przecież powiedziałam, prawda? To ja, nie pan —

Weszli na zakręt drogi, w jakieś miejsce cudowne, z wodą, migotającą wdole poprzez gałęzie, jak w najwymyślniejszym parku. Byli w tej chwili zupełnie odgradzeni od świata zielonemi ścianami z liści. Tak, to nie on. I nie on chciał zginać tamtym z oczu, nie on chciał, by ich stamtąd nie widziano za zielonemi kopieciami jasnej leszczyny. Nigdy nie przyszłoby mu nic podobnego do głowy.

To ona tego chciała, ta urocza, półdzika, ta tujejsza dziewczyna. To ona teraz brała go pod rękę, trzymała ciasno — tak, że musiał uczuć przez rękaw, jak przytula się do jego ramienia małą swą piersią. Drżała, nasycala go całego swoim płomieniem. Uczuwał coś więcej, coś innego zupełnie, niż zwykle, gdy bawił się kobietami albo dawał kobietom bawić się sobą.

— Panno Maryjko, gdybym to był wiedział —

Zatrzymała go. Jakże się stało, że miał ją w objęciach — płomienną i jakgdyby już nieodwróconą.

— Nie — powiedział półgłosem i nawet zaprzeczył wyraźnym ruchem głowy.

Odstąpił krok wtył, zaciskając wyprężone dłonie, nie wierząc sobie i jej, doznając lęku.

— Ja tego — chcę — powiedziała cicho i powoli, bardzo wyraźnie, pełna powagi. I wyciągnęła do niego usta.

Trzymając ją szamocącą mu się w rękach, pojmował zwolna rzecz dziwną, że to on ulega sile jej uczucia, która jest ponad nim. Że z niewymowną rozkoszą zawiera się tej sile, która może być straszna, która jest niezrozumiała, która nie w nim bierze początek.

— Czemu nie mówisz do mnie tak, jak masz prawo? — spytała, patrząc mu w oczy, w samą ich głębinę.

Stała przy nim młoda, śliczna; na cienkiej, giętkiej szyi mała jej głowa przechylała się ku niemu z upojeniem.

Więc powiedział: — Marjo.

A ona powiedziała cicho, słodko, inaczej:

— Przecież ja ciebie kocham...

Aż przymykała oczy ze słodyczy, gdy mu szepotała o swem oczekiwaniu, o swojej tęsknocie, o swym głodzie.

On nie mógł tego mówić. On nie pomyślał o niej ani razu, doprawdy ani razu przez ten czas, gdy jej nie widział, przez długi rok rozstania. To ona myślała i tęskniła, ona wzięła na siebie cały trud mającej nastać miłości.

Uczuł w sobie targnięcie żalu, uczuł głęboką, niewymowną wdzięczność.

Więc zawierał się jej cały — jej uczuciu, jej woli, jej młodości — zawierał się na śmierć i życie.

— To najdroższe stworzenie...

Przed godziną nie uwierzyłby nigdy, że to się stanie. Że będzie ją prosił, aby była jego na zawsze, aby nie odebrała mu nigdy swej miłości.

Wstąpił za nią w krąg tego ognia, w obręb niewymownego szczęścia, którego niema gdzie indziej. Szczęścia, którem jest miłość zastana, zdecydowana poza nami i przerastająca nas, miłość, której ulegamy z pokorą i rozkoszą — *cudza miłość*.

Był to czas, gdy Agnieszka próbowała jeszcze jakoś się ratować, gdy sobie obmyślała różne sposoby, różne metody postępowania z Pawłem, z Renatą, ze sobą. Poświęcała temu wiele siły i rozważa, wiele ciężkiej pracy.

Nietylko nie zdradzała się ze swemi podejrzeniami przed tamtymi i, jak sądziła, przed nikim, ale czasami samą siebie przekonywała jakoś, że się myli. Wmawiała w siebie, że to jednak jest niemożliwe.

Cofała się tyłem w swoją przeszłość, nie patrząc, w obręb rzeczy takich, jakie wydawały się pamiętane. Całą godzinę mogła myśleć o Renacie dawnej, tamtej, miłej i przyjaznej, budzącej zaufanie, o Renacie cnotliwej. I wtedy była przekonana, że to nie mogło się zmienić.

Również długo — ale kiedy indziej — mogła także myśleć o dawnym Pawle, o jego niezapomnianej miłości. Na to, co uczuwała, jako siebie, na jej ciało i na jej duszę składała się cała przeszłość, cała prawda tamtych dni i nocy. Konieczność służenia jego rozkoszy, konieczność doznawania rozkoszy, jako nieodwrócone

prawo — to w jakiś sposób już na zawsze w niej trwało, choć zaprzeczone. W pieśszczocie i szaleństwie, w miłości bez tchu i granic te jego słowa powiedziane: „tylko śmierć nas rozłączy” — trwały także, wrosnięte, jak drzazga, nie dające się wyrwać.

Rzeczy dawne, które zaszły, rzeczy proste i zwykłe w powadze dokonania stały się ogromne i patetyczne. I już nie mogły być zniszczone, musiały trwać tem, że były kiedyś.

Rozglądała się: fotel, słońce, dzień. Te róże. Las daleki, łąki i woda. Głosy z innych willi, miłe głosy życia. Przymykała oczy, myśląc: Kamil je. Kamil śpi. Ma bućki, ma niebieską sukienkę. Kamil już coś mówi, same rzeczy głupie i ważne. Zmienia się, ciągle jest trochę inny. O Boże!

Mogła więc myśleć o dziecku. Kamil jest tem, co siedzi w słońcu na piasku, tem, czemu jest dobrze, co nie ma krzywdy, co jest kochane, chociaż nie wie. Chociaż nie chce wcale i nic nie rozumie.

Z mętnej, niewiedzianej przyszłości, z myśli o tem, co ma być potem — wynika nagle mały projekt, głupiutki fakt, oglądany w kategorii szczęścia i marzenia. Agnieszka idzie z Kamilem już dużym do szkoły — może zagranicą — idzie do szkoły, jak może iść każda matka. Taki oto projekt — i lekki przytem, zmysłowy dreszcz szczęścia.

Albo może coś bliższego, co będzie niedługo. Przypuszczamy, że jest zima. Na dywanie przed kominkiem siedzi Kamil. Jest mały, zupełnie przyziemny, zajęty przedmiotem swojej zabawy. Jest bez-

pieczny. Gdyby iść na niego, nie usunie się, nie uwie-
rzy. Jest ufny. I znowu krótkie szczęście z trochę ulgi

() tamtem się marzy dlatego, że wtedy będzie zi-
ma. A teraz jest lato, jest znowu gorąco, kwitną akacje.
W zimie będzie trochę większy. Już to ściska rozkoszą
serce, że on będzie większy.

Tak rojąc, poczuła nagle i pomyślała: cierpię
straszenie, nie wytrzymam tego dłużej. Cierpienie nie-
znośne to jednak znaczy: *cierpienie nie do zniesienia*.

Czas mija tak: tu jest ich widzenie, tu Paweł
przychodzi, tutaj dalej odchodzi. Odejście i powrót,
tak mierzy się dzień. Czasami są oboje tutaj. Wtedy
jest próba siły. Wtedy zatrzymuje się czas, stoi bez
tchu, zatrzymuje się także krew, jak w podwiązanej
arterji.

Jednak tonęła we łzach. A gdy je powstrzyma-
ła, gardło miała ściśnięte i oczy wciąż do płaczu go-
towe. Rozumiała, że to jest zguba — ale z każdym
dniem przemijającym słabła jej wola.

Łudziła się jeszcze myślą, że jest inna, niż wszyst-
kie żony niekochane, że wie, jaką być trzeba, że nie
zdradzi się do końca ze swą słabością.

Okazało się jednak, że właśnie była taka sama,
jak wszystkie, wciąż się o tem z rozpaczą przekony-
wała. Wciąż traciła nową jakąś pozycję, rezygnowała
z innego punktu swego honoru.

Jeszcze nie pozwalała sobie na robienie wyrzu-
tów, jeszcze umiała wiele przemilczeć, jeszcze umiała
nie wybuchać. Ale zaczęły już padać słowa niechętne,
nie dające się nigdy cofnąć, nigdy odwołać, nazywa-

jące pewne rzeczy w sposób bezpowrotny. Już wynikały małe pretensje — niby o co innego, same się wymawiały zniecierpliwione prośby, których nikt spełniać nie myślał.

To było niepojęte, że upadała tak wciąż niżej, *wiedząc*, że jednak powstrzymać się w tem spadaniu było niepodobieństwem. Wynikało to stąd, że tylko te rzeczy złe, te rzeczy wciąż gorsze, one tylko wchodziły w rachubę, one stanowiły etapy na tej drodze, były historycznymi faktami tego stosunku. Wyrzuty, sceny, płacz — to tu jedynie znaczyło, tem się określał stan rzeczy.

A przecież były godziny, dni, były niezliczone, ogromne minuty, gdy tego wcale nie robiła! I ten niesłychany wysiłek poprostu odpadał, szedł na marne.

Oto było tak: siedziała z Pawłem przy obiedzie po obu stronach stołu, zupełnie naprzeciwko. Nie płakała i nie krzyczała wcale, nic takiego nie robiła. Tylko właśnie myślała: w tej chwili on jest tutaj, nie z nią — co za ulga! Ale nie uczuwała tej ulgi, tylko o niej myślała.

Myślała też, że trzeba teraz nabrać tchu na to, co znowu będzie. Ale nie nabierała tchu. Nie mogła w żaden sposób zaznać odpoczynku.

Zachowywała się tak, jakby tamto nie istniało, robiła tyle ku temu — jak mniemała — że Paweł na tę chwilę powinien był nawet czuć się przy niej dobrze, powinien był chyba na tę chwilę także o tamtem zapomnieć. Nie wyczuwać w niej tajonego oskarżenia, nie mieć wciąż na sobie ciężaru podejrzeń. Postano-

wiła sobie, że właśnie będzie zwyczajnie — bez zapuchniętych oczów, bez uroczystego zachrypnięcia głosu w ściśniętem gardle.

Tak sobie oto postanowiła, tak sobie kazała, gryząc mięso, które nie łykało się samo, o którym trzeba było za każdym razem osobno pomyśleć: — teraz połknę.

Połknęła i powiedziała jasnym, wysokim głosem:

— Jest jeszcze taki krem.

I dodała ciszej:

— A może weźmiesz trochę kalarepki?

Tak się poprostu zapytała. A to pytanie było zupełnie komiczne, bo głos jej się załamał pośrodku samej kalarepki w sposób patetyczny, rozdzierający, pełen wyrzutu. I odrazu zaczął pęcznieć w gardle, powiększać się aż do krzyku.

Zaspokojenie straszliwego pragnienia: w tem jest rozkosz płaczu. Ale Agnieszka odmówiła sobie tej rozkoszy.

Paweł nie powiedział nic. Wcale nie zwrócił uwagi na dziwny ton zapytania. Albo może go tylko wybaczył.

Przytem nie wiedział wcale, że Agnieszka wstrzymała się od płaczu — chociaż to było przecież widoczne, że nie płakała. Myślał poprostu, że nic się nie stało. A stała się rzecz ogromna.

Nie na tem jednak skończył się ten obiad. Agnieszka mianowicie postanowiła ważyć się na coś bardzo trudnego: postanowiła spotkać wzrok Pawła. Miała spojrzeć w jego oczy zupełnie bez gniewu, bez żadnej nienawiści. Tak sobie postanowiła. Wydawało jej się to wielkim czynem, aktem najlepszej woli, że tak spojrzy na niego spokojnie i życzliwie, o niczem nie pamiętając, widocznie mogąc zapomnieć.

Ale nie udało jej się spotkać jego wzroku. Nie mogła go przytrzymać, nie mogła go nawet zahaczyć żadnym podstępem. Ten wzrok omijał ją wciąż, przepływał ponad nią, nie widząc.

Paweł tego nie chciał — chociaż kosztowałoby go to tak mało, o tyle mniej, niż ją. Może nic.

Nie widział jej. Nie chciał jej widzieć, niecierpiał jej widocznie. Nawet jej widok był mu nie do zniesienia.

Cokolwiek ona zrobi, to jest nanic, wszystko mu jest obojętne. Niczego bowiem nie zauważy, na nic nie spojrzy. Chyba gdyby weszła na stół nogami, możeby spojrzał, możeby się jakoś zdziwił,

A od niej, od tamtej, od Renaty nie odrywa wcale oczów, ją całą pije temi oczami. Agnieszki nie widzi, a tamtej każdy głupi ruch jest mu radością, jest mu szczęściem, nalewajacem po brzegi serce. Przecież wiedziała, co to jest za szaleństwo jego miłość.

Więc wymówiła jednak te słowa — bez wstydu, bez rozumu. Poco mówić, kiedy niczego się tem nie dowiedzie, o niczem nie przekona. On to wie sam i wcale się nie zapiera, nie usiłuje ukryć.

Powiedziała tak:

— Już nawet patrzeć na mnie nie możesz.

Paweł podniósł oczy, spojrzał poprzez nią, lekko skrzywiony. Popatrzył, doprawdy nie widząc.

— Nie wiem, o co ci idzie.

Już wstał. Wstał i zaraz podszedł, by pocałować ją w rękę. Miał zwyczaj w taki sposób dziękować jej po każdym jedzeniu.

Był poważny, roztargniony, głowę miał zaprzątą nięcią czem innym.

— Dziękuję. Spieszę się bardzo. Muszę jechać.

Nie powiedział naturalnie dokąd. To już było wszystko jedno. Już i ona wołała go nie widzieć, już znowu nie mogła tego znieść dłużej. Myśl, że nie wytrzymała, że powiedziała to głupstwo, tę trywjalność, była straszna, była dnem upokorzenia.

Któż to mówi, ach któż to mówi takie rzeczy, które dopiero wtedy stają się naprawdę okropne, gdy są powiedziane. Które dopiero wtedy stają się naprawdę bezpowrotne!

I to, że powiedziała te słowa, jest wiadome i nie

da się zaprzeczyć. To jest niewątpliwym faktem. Natomiast i tutaj nie jest wiadome, że nie rozplakała się przytem głośno. Tylko tamto jest ważne, tego niema, to się nie liczy.

Doczekała tej chwili, że poszedł. I jeszcze powiedziała coś do służącej, i jeszcze zeszła do ogródka zobaczyć Kamila, i jeszcze wytrzymała na sobie długie, potępiające spojrzenie Wadowitej.

Dopiero wtedy weszła na górę „odpocząć”. Tak się nazywał ten obrzęd.

Zamknęła drzwi i ledwie dopadła łóżka, by zapchać twarz poduszką, by się wcisnąć pod kołdrę i kapę — i pocichu krzyczeć, doznawać w zduszonej rozkoszy najwyższej ulgi płaczu.

I oto odbywa się tak jedna godzina płaczu, druga godzina płaczu — leją się łzy, oczy puchną, twarz puchnie, serce już wcale nie bije ze zmęczenia, wszystko boli, jak w ciężkiej chorobie.

A przez cały ten czas, który przemija, Paweł jest tam, jest z nią. Ma to, czego jedynie chce. Ma ją, jest z nią razem. Nie chce nic więcej.

Nie można tam za nimi iść, nie można się ratować. Nic innego nie można robić, tylko tu być i o tem myśleć. Myśl za nic nie odejdzie od tej rzeczy, od tego czegoś, że Paweł jest z Renatą. Ani na chwilę nie rzuci swego żeru. W całej naturze jest ten głód, który tylko myśleniem o tamtem da się zaspokoić.

Jednakże pamiętała, że Paweł ma przyjść na kolację, z niepokojem patrzyła na mały zegarek, chlipiąc. Miała przed sobą to zadanie: doczekać jego powrotu.

Tego musiała dokonać, całkowicie to wypełnić, z tem koniecznie musiała się zmierzyć.

Na godzinę przed owym terminem Agnieszka dźwignęła się jednak — chwiejna, wątła, taka słaba, że jakgdyby przejrzysta. Przyłożyła mokry ręcznik do gorącej twarzy, do oczów. Teraz to musi przejść, nim przyjdzie Paweł.

Przyjdzie Paweł. Będzie tutaj, więc przestanie być tam. Będzie pewne, że jest tutaj, nie tam. I Agnieszka będzie myślała, że to jest ulga, chociaż ulgi nie będzie czuła. Będzie myślała, że to jest ulga.

Zdawało jej się, że nic już więcej przenieść na sobie nie można ponad ten mozół wyczekiwania na porę kolacji. Zdawało jej się, że ta ostatnia godzina właśnie jest najcięższa — kiedy czekanie pęcznieje w głowie, wysadza powieki, huczy i dudni w uszach, zapiera oddech. Że ta ostatnia godzina to jest, w granicach możliwości, już wszystko.

Tak myślała. Ale tak wcale nie było. Okazało się, że właśnie może być więcej. Paweł nie przyszedł. Przeminały minuty, przeminęło pół godziny. Służąca przez delikatność nie przychodziła pytać. Późnym wieczorem podała kolację, którą Agnieszka połykała sama.

Często się tak teraz zdarzało. Paweł szedł tam, ale nie prosto stamtąd wracał. Jeszcze potem zachodził do klubu, gdzie dawniej nie chciał bywać, zachodził zwyczajnie z kimś spotkanym do restauracji. Tak wołał. Tak mu się wydawało jakoś lepiej, bardziej prosto i naturalnie. Jeszcze karty, jeszcze to i tamto, i zwłaszcza nazwisko człowieka, z którym się spędziło wieczór.

— No więc cóż takiego? — dziwił się później pochmurnie, zatrzymał go przecież starosta albo ktoś z województwa, albo ktoś ze wsi. A czasami poprostu major Świernia chciał wracać razem i prosił, żeby na niego zaczekać.

W godziny nocy Agnieszka już nie płakała. Leżała, szczypiącymi oczami patrząc w przezroczystą ciemność. Niebo za szerokiem oknem było jasne i miało po sobie gwiazdy.

Zmęczenie mierzyło się zimnem w głowie, słyszalnym uderzeniem serca. Nie wiedziała, gdzie on jest. Mógł zatelefonować, ale tego nie zrobił. Myślała więc, gdzie on jest. Myślała, że może jednak być z Renatą, że może teraz Renata znalazła sposób, by uwalniać się wieczorem, że może jakoś wymyka się z domu, gdy śpią, że może nic sobie już nie robi z niebezpieczeństwa.

Myślała tak albo inaczej, martwiała, głuchła, na krótkie chwile traciła przytomność, drzemiać. Budziła się ze snu, w którym on wracał. Ale to nic nie wyjaśniało, nawet go nie widziała, tylko w tym śnie było wiadomo, że wrócił. Mijało dużo godzin. Powrót Pawła rozbijał ciszę domu na różne małe łoskoty. Zamek, schody, łazienka. Udawanie snu. Nie otwierała oczu, nie wysuwała twarzy z poduszek. Udawała sen i on w to wierzył, nie zważając, pragnąc właśnie w milczeniu pomyśleć o swoim.

To była prawda, że hrabina Osieniecka opuszczała Pory, że od jesieni miała zamieszkać w naszym mieście.

Pałac Osienieckich, stojący od dwóch wieków przy głównej ulicy miasta, otoczony małym ogródkiem z bardzo starymi drzewami, pośpiesznie teraz odnawiano. Wewnątrz wybudowano drugą klatkę schodową, duże sale przerobiono na oddzielne mieszkania z kuchniami, przekształcając zbytkowną rezydencję w zwykły dom dochodowy. Większy apartament na pierwszym piętrze przeznaczony był dla pani Osienieckiej.

Obmyśliła tak całą tę sprawę Fleur. I ona przyjeżdżała teraz wciąż do miasta, by kontrolować architekta i sama czuwać nad budową.

Pod kolumnadą fasady wybijano teraz szerokie otwory, odpowiednie dla witryn, gdyż cały parter przeznaczyła Fleur na sklepy. Ogrodzenie od ulicy zniesiono, wycięto drzewa i na tym miejscu miał być założony wąski skwer, nie tamujący dostępu do wystaw i magazynów.

Bywając w mieście, Fleur znowu teraz częściej

zajeżdżała do Agnieszki. I właśnie ta, napozór najbardziej obca kobieta, Agnieszce wydawała się najłatwiejsza do zniesienia.

Fleur musiała przedewszystkiem zobaczyć Kamila. Oglądała go uważnie, pytała o wagę, porównywała wciąż ze swoją małą córką, która była młodsza o pięć miesięcy i miała na imię Wanda.

— On ma czarne oczy, a ona ma niebieskie oczy. Dziecko powinno mieć niebieskie oczy. I ona ma lepsze rumieńce. Musi być zdrowsza.

Fleur była we wszystkim pewna swojej przewagi. I zawsze myślała, że to, co jej dotyczy, jest ważniejsze, jest doskonalsze i bardziej zajmujące, niż wszystko inne.

Ale dlatego Fleur nie interesowała sprawa Pawła, Fleur nie zauważała Renaty, nic o tem wszystkiem nie wiedziała. I tem zaświadczała jakgdyby, że wszystko na świecie jest jak dawniej.

W ogrodzie oglądała Fleur z uwagą kwitnące róże, kwitnące nakrapiane piwonje, pytała, skąd były sprowadzone. I mówiła o tych, które sprowadziła do Porów, że są piękniejsze. Powiedziała też z powodu caprifolium, oblewającego wałem zieleni poręcz tarasu u Blizborów i najeżonego herbacianemi, pachnącemi pazurkami, że woli glicynje.

Codzienny byt, bieżąca rzeczywistość, wszystkie jej namacalne, oczywiste kształty — to jedynie mogło być dla Fleur przedmiotem rozmowy.

Wadowita zyskała jej zupełną aprobatę — biały fartuch od stóp do głowy, biały czepiec, pewność

siebie, zwłaszcza, gdy szło o przepisy dziecinnej higieny. Ale naogół nie miała zaufania do tutejszych piastunek i dla Wandy sprowadziła *nurse* z Anglii. I jednakże jej *nurse* była lepsza.

Kornel przyjechał też i oboje zabrali Agnieszkę do Porów. Dała się zabrać, choć sama nigdyby teraz o tem nie pomyślała, by tam pojechać.

Pory zmieniły się bardzo przez ten rok. Pałac przypominał teraz jakiś *hotel - palace* nadmorski. Klubowe fotele, palmy w holu, sala do czytania gazet. Okna wszędzie powiększone, jedno-szybowe dawały masę światła i przejrzystości. Było tu świeżo, czysto i wesoło.

W upale siedziała przed pałacem pani Osieniecka — chudziutka, znikoma, mówiąca cienkim, ironicznym głosem, lekko urywanym, jak u pantarki.

Tym ostrożnym głosem hrabina rozpytywała Agnieszkę o dziecko, a zaraz później o pana ministra.

Agnieszka powiedziała, gdzie teraz jest ojciec. I, że dawno go nie widziała.

— Pisałam nawet do ojca, żeby przyjechał. Może przyjedzie.

Pani Osieniecka pomyślała chwilę i powiedziała:

— Tak, może byłoby lepiej, żeby przyjechał.

Zapytała też Agnieszkę o pana Blizbora i słuchała jej odpowiedzi z delikatnym, finezyjnym uśmiechem. Ale tutaj wogóle niewiele dało się powiedzieć.

Agnieszka czuła, że pani Osieniecka jedna tutaj wie coś o jej sprawach, że ją to jednak w jakiś spo-

sób obchodzi. Tylko nie umie znaleźć łatwej i prostej formy, by to wyrazić.

Nie była ani taka spokojna, ani taka opanowana, jak kiedyś. Jej wątła, krucha cielesność nie ukrywała już żadnej moralnej siły.

Zatrzymała jeszcze Agnieszkę, chociaż wzywała ją za sobą Fleur, chcąc pokazać jej Wandę. Skarżyła się na swe zdrowie, na brak sił, który zmusza ją do bezczynności, do siedzenia z założonymi rękami. Ale każdy wiedział, i wiedziała to także Agnieszka, że nie zły stan zdrowia kazał pani Osienieckiej usunąć się od zarządu nad wszystkim.

Działa się tu rzecz poważna i może nawet tragiczna, zachodził proces, którego Fleur była przypadkowem tylko narzędziem, a pani Osieniecka także przypadkową ofiarą. Szło o nadanie pewnym rzeczom innej nazwy, o zupełnie nowe zakwalifikowanie danego typu życia. Zdarto tu resztę złudzeń, nie zachowywano już żadnych pozorów.

To właśnie zrobiła Fleur.

Bieg życia bowiem wogóle dlatego tylko jest możliwy, że każdy w sądzie o sobie i o związanej ze sobą rzeczywistości innych używa kryterjów, niżeli gdy sądzi innych. Jest to jakąś moralną samoobroną wobec pewnych życiowych układów, które są zupełnie nieuniknione, na które nie mamy żadnej rady. Zastaliśmy je bowiem gotowe, i wyzwolenie się z nich byłoby wysiłkiem, na który zdobyć się mógłby tylko mocarz moralny, tylko bohater.

Gdyby zaś wszyscy ludzie uświadomili sobie wi-

ny swoje w tych rzeczach, na które nie mogą poradzić — to byłoby strasznem poniżeniem zbiorowej ludzkiej godności, jakimś wielkim upadkiem moralnej samowiedzy człowieka.

Tego niebezpieczeństwa zresztą wcale niema, chociaż marzą o niem tak lekkomyślnie reformatorzy i moralisci. Bo nawet jeżeli ktoś dowie się o tem, że jego czyn lub jego stosunek do danej sprawy jest zły — to taka świadomość nie zmieni jego sądu o sobie. Każda bowiem postawa życiowa ma swoje usprawiedliwienie. I jeżeli pomyśleć uczciwie nad rolą, jaką w życiu ludzkości spełnia rozum, to jest to zawsze tylko tłumaczenie, uzasadnianie, usprawiedliwianie tego, co już orzekło, zdecydowało i wprowadziło w czyn uczucie. Jest to zawsze spóźniona motywacja czynu i sądu. I do tego celu wyłącznie służą także wszelkie dewizy i hasła.

Tem, co normuje i określa życie, są przedewszystkiem jego bieżące konieczności i tak zwane *jedyne wyjścia*. Mówi się: „niema innego wyjścia” — i to może jest prawda. Postulaty i hasła zjawiają się wtedy, gdy trzeba dać nazwę temu, co się tylko dzieje, gdy trzeba usprawiedliwić to, co się tylko stało.

Ale czy może być bez tego? Bez tego — na Boga, cóżby to było, cóżby to było!

Więc też gdy pani Osieniecka mówiła nieraz ironicznie o dzisiejszych czasach, a z tego naturalnie wynikało, że oto jak się traktuje dziś ziemian kresowych, oto jak rząd dba o ich zniszczone przez wojnę siedziby, ziemie i majątki. Gdy to wszystko mówiła —

jak zwykle — wcale się nie skarżąc, tylko raczej się gorsząc lub dziwiąc, raczej nawet z tego żartując. Wtedy jej malutka, wąska, śliczna twarz o sztucznie przedłużonych na skronie oczach nagle poważniała, cienkie usta robiły się aż surowe, aż twarde. I kończyła tak:

— My, którzy tu wytrwaliśmy na stanowisku, my, którzy utrzymaliśmy polskość tu na kresach — —

Dławiła się temi słowami, traciła oddech z uniesienia. Mówiła tak z najlepszej siebie, w poczuciu najistotniejszej swej wartości, usiłując najgłębiej ująć swoją i swojej klasy rolę dziejową i dziejowe znaczenie.

I niewątpliwie te jej słowa, ta ozdoba rzeczywistości, leżały tutaj w Porach na wszystkim — na sadach, ogrodach, ślicznie uprawionych polach, na rąsowych oborach i stajniach. Każdy melon, każda puszka szparagów, każdy litr wódki, każda konserwa z gruszek białych i miękkich jak masło — to jednak wszystko miało na sobie legitymację tych słów.

A teraz przyszła Fleur — obca kobieta, ukochana bezrozumnie przez jedyne go jej syna — i ze wszystkiego tutaj pokolei zdzierała tę ozdobę i usprawiedliwienie, zdzierała i odrzucała precz, jak śmieszną i niepotrzebną etykietę

Agnieszka powstała w parku przy małej Wandzie Osienieckiej, która, jak wiadomo, miała oczy niebieskie, różowe policzki i jasne włosy. Może istotnie była ładniejsza od Kamila i może była zdrowsza.

Fleur baczenie, srogo przyglądała się córce i raz po raz zadawała Agnieszce jakieś pytania, na które koniecznie trzeba było odpowiadać twierdząco.

Potem powtórzyła, co powiedziała o Wandzie pani Szepiółowa i co powiedziała pani Świebodzka. Były to naturalnie same pochwały, osiągnięte właśnie drogą takich zapytań. I to, co mówiła teraz Agnieszka, też miało później służyć jako cytaty.

Według takiej metody Fleur uzyskiwała obiektywną rękojmię i potwierdzenie własnej dobrej opinii o sobie i swoim.

Szli dalej parkiem i Agnieszka oglądała pokolei wszystko, co jej pokazywała Fleur. Tutaj też naturalnie trzeba było wciąż mówić jakieś pochwały.

Istotnie zmieniło się wiele na tym miejscu. Park był poprzecinany, pełen nowych perspektyw i słońca. Równiutkie, rozległe gazony leżały pod drzewami, jak

łaki i przypominały dalekie parki miast europejskich. Zniszczone, kamienne, czarno zapłakane sfinksy na mostkach miały wkliniwane świeże nosy, bramy w murze zrobione były ze sztachet żelaznych. Zdaleka — w szerokich lukach drzew — ukazywały się wszędzie widoczne, wesołe, białe, całe odnowione ściany pałacu.

Kornel narzekał, że zaprosili sobie do tennisa Justyna Śluczańskiego, że miał w Porach spędzić cały swój urlop, że tak przyrzekł — a tymczasem nigdy prawie go niema. Wyjeżdża i nie wraca po parę dni. Więcej w mieście siedzi, niż tu.

— Czy tak? — spytała niespokojnie Agnieszka.

Istotnie uczuła niepokój — jak zawsze w pobliżu tego kompleksu: Renata. Nie widywała teraz Justyna — i jakoś jej się zdawało, że jest na wsi. Tak samo wiedziała niejasno, że niema w mieście i Julka, że resztę wakacyj spędza gdzie indziej, nie u ojca.

To jednak nie znaczy, by Agnieszka oczekiwała, że Justyna zastanie w Porach. Bo dotąd myślała o tem tylko od tej strony, że Renata ma więcej swobody, że w domu mniej oczu na nią patrzy.

Teraz uderzyło ją to na nowo. Bo jeżeli Justyn jest tam, to co myśli o „swojej pięknej macosze, pani Renacie” i co myśli o swoim ojcu. Czy mu to nadal jest obojętne, czy może aż dotąd nie wiedzieć?

— A tak, tak — odpowiedział Kornel, miły, wyrozumiały, wszystkim życzliwy. — Nic w tem zresztą niema dziwnego, że mu teraz trudno stamtąd odjechać.

Hrabina Osieniecka zabrała głos.

— Kornel mówi, że pan Śluczański się zarę-

czył — powiedziała ironicznie i ostrożnie. — Czy pani o tem słyszała?

Agnieszka o tem nie słyszała. Ale, posłyszawszy teraz, doznała okropnego uczucia. Serce w niej załomotało i krew uderzyła do głowy.

— Nie, Justyn nic mi nie mówił — odrzekła. — Ale domyślam się naturalnie, o kogo tu idzie. I sprawia mi to wielką przykrość.

Dlaczego miała to ukrywać? Wybór Justyna był niezrozumiały, był doprawdy niepojęty. Ale obešlo ją to tak bardzo nietylko z powodu jej przyjaźni dla Justyna. Nie. To był otrząs wewnętrzny wobec wszystkiego, co dotyczyło *tamtych kobiet* i ich niedobrych spraw. To była jeszcze raz myśl o Renacie, która przecież temu dopomogła.

Pani Osieniecka zdawała się rozumieć, że to jest przykre. Miała o Justynie opinię bardzo dobrą, ceniła w nim przyjaciela swego syna, człowieka zdolnego i przyzwoitego. Takie małżeństwo mogłoby mu tylko przeszkadzać w dalszej karierze.

— Czy to aby jest na serjo? — spytała Kornela.

— Tak, ja myślę, że to jest na serjo — odpowiedział.

— Justyn był zawsze taki wobec kobiet jakiś odporny, że jeżeli się teraz zakochał, to już na dobre.

Kornel sam był szczęśliwy, dlatego szczęście innych wcale mu nie przeszkadzało. Pannę Siesławską znał bardzo mało, nic nie mógł jej zarzucić.

— To jest biedna dziewczyna, ale przecież Justyn także nie ma majątku.

Dla Fleur cała ta sprawa była zupełnie obojętna. Panna Siesławska raczej jej się podobała.

— Ona jest energiczna, mówili mi, że bardzo dobrze pracuje. Justynowi to jest potrzebne. On nie jest silnym człowiekiem.

Pani Osieniecka westchnęła i chciała już wracać w stronę domu, chociaż Kornel i Fleur dla jakichś przyczyn szli jeszcze dalej w stronę ogrodów. Gdy tylko znalazła się sama z Agnieszką, natychmiast zaczęła z nią mówić o *tem*. Widać było, że umyślnie poszukiwała tej możliwości mówienia, że potrzebowała tego za wszelką cenę.

— To jest dobrze, że Fleur ma poważne usposobienie, że się do wszystkiego odnosi serjo. Ona lubi wieś. Ona umie rządzić i wymagać, umie nakazać dla siebie posłuch. Z nią się liczą, ona we wszystko wejrzy. Jest wielką pomocą dla Kornela.

Tak mówiła właśnie dlatego, że jednak myślała inaczej. Mówiła, aby samą siebie jakoś przekonać czy zagłuszyć. Mówiła, aby niby być obiektywną i zaraz dalej mieć prawo mówić coś innego. Że mianowicie Fleur pewnych rzeczy jednak nigdy nie zrozumie, że pewne rzeczy na zawsze będą dla niej niedostępne.

Na jej małej, wąskiej twarzyczce występowały jaskrawe, nierówne rumieńce męki — gdy tak się skarżyła, niby niczego ostatecznie nie ujawniając, nie obnażając swojej sprawy tak do końca. Można było jeszcze myśleć, że to nie są rzeczy stracone ani prze-

padłe, skoro dadzą się tak jakoś zwyczajnie i niewinnie powiedzieć, że to nie jest jeszcze nic takiego.

Ale Agnieszka wiedziała dobrze, co to naprawdę jest. Klęska pani Osienieckiej, jej całkowite zdruzgotanie, jej beznadziejna sytuacja żadnej nie podlegała wątpliwości. To właśnie czyniło ją Agnieszce bliską i rozumiałą: jej dramat.

Miała przecież odejść stąd — wyrzec się tego ukochanego, ślicznego miejsca, wyrzec się swej pracy, swej władzy, swej roli na świecie. Traciła to wszystko, traciła także syna i może traciła także tę rzecz ostatnią: *wiarę w swoją słuszość*.

— Fleur pewnych rzeczy nigdy nie zrozumie, to darmo — powtórzyła pani Osieniecka, rzeczywiście bezradna.

Był czas, gdy jednak usiłowała jej te rzeczy wyjaśnić. Mówiła jej o dawnej przeszłości rodu, tutaj osiadłego, powiedziała, który Osieniecki, od jakiego obcego monarchy i kiedy otrzymał tytuł rodowy, wymieniła, w jakich to było okolicznościach, za jakie zasługi. Pouczała Fleur, jacy dostojnicy w historii tego kraju nosili i uświetniali to nazwisko. Jacy odznaczyli się w bojach i jacy w bojach zginęli. Powiedziała, że ten, który zginął w powstaniu, nazywał się Jan. I powiedziała jej także o ostatnim, który zginął, o swym synu, Walerym, zamordowanym przez zbuntowane chłopstwo.

— A wszyscy mieszkali tutaj, na tem miejscu, orali tę ziemię, pilnowali swego gniazda. Tutaj rodzili się i umierali.

Fleur była ścisła. Coś w tem wszystkiem wydawało jej się niejasne — i to ją gniewało.

— Wytrwać na stanowisku, cóż to właściwie jest? — pytała poważnie i surowo. — Czy to znaczy, że poto rodzili się i umierali na tem miejscu, aby właśnie „wytrwać?” Wcale nie. Właśnie najprostszą, najbardziej naturalną jest rzeczą, żeby człowiek żył i pracował tam, gdzie się urodził. I to jest nawet najłatwiejsze. I to właśnie robi też każdy tutejszy chłop, bo mieszka w tej samej chacie, co jego ojciec, i orze odziedziczoną po nim ziemię. Przecież mama się nie zachwyca, że on wytrwał na stanowisku, że zachował swój język białoruski. Co w tem jest zachwycającego?

Takich rzeczy słuchała już tutaj u siebie pani Osieniecka. Czyż miała i nadal to znosić?

— Ale Osienieccy przelewali krew w obronie swojej ziemi, walczyli w powstaniach o niepodległość. To także według ciebie nic nie znaczy?

Istotnie, Fleur nie lubiła powstań, chociaż tak bardzo interesowały ją mniejszości. Samo to pojęcie przypominało jej kłopoty z Irlandją, jakieś niepokoje w Indjach.

— Ja myślę, że wogóle nie należy powstawać przeciwko swej władzy — powiedziała. — O tamtem się tutaj mówi: bohaterstwo, prawda? Ale przecież ci chłopci, którzy zamordowali Walerego, także chcieli jakiejś niepodległości, także walczyli o ziemię. Tylko że u nich to się już uważa za zezwierżenie. Czy wy nie widzicie, że te rzeczy są jednak w czemś *podobne*?

Tak wolno było mówić Fleur w tym domu, na tem miejscu. Wolno jej było, co więcej, organizować nadal życie tutejsze w taki sposób, jakby sens tego życia wcale nie istniał.

Ponieważ pani Osieniecka tego właśnie zupełnie nie mogła znieść, więc musiała opuścić Pory.

Agnieszka była teraz nietylko nieszczęśliwa. Robiła się także gorsza, robiła się zupełnie zła. I daremna walka z tem czemś nowem w sobie była równie ciężka, jak walka z nieszczęściem.

Za bytności swej w Porach, gdy była mowa o zaręczynach Justyna, Agnieszka musiała panować nad sobą, by nie powiedzieć czegoś złego o pannie Siesławskiej (mówiła w myśli: „o tej pannie Siesławskiej”). Musiała zacisnąć zęby, aby nie powiedzieć, że ona jest kochanką Niewolewskiego:

Jakie to było niedobre, ta chęć, jakie to było niskie. Bo naprzód Agnieszka nie miała żadnej pewności, że tak jest naprawdę, chociaż mówiły o tem pozory, chociaż zwierzenia pana Niewolewskiego tam nad jeziorem pozwalały się zbyt wiele domyślać. Pewności nie miała mimo wszystko — i panna Siesławska mogła wcale nie być kochanką swego szefa, mogła być tylko jego ulubienicą.

Ale nawet gdyby to było niewątpliwe, nawet w takim razie wystarczyłoby zupełnie, że Justyn tak

zdecydował, że ją pokochał i chciał z nią się ożenić. I Agnieszka nic tu nie miała od siebie do powiedzenia.

Tylko jakaś reszta poczucia przyzwoitości uchroniła ją od zrobienia tej rzeczy niskiej. Bo jeżeli tego ostatecznie nie powiedziała, to jedynie dzięki temu, że przymusiła się do milczenia. Jednak całe jej wnętrze pełne było jadu, całe uczucie zatrute było nienawiścią.

Ciągle też chwytiała się na złych, naiwnie wrogich pomyśleniach o Renacie. Nienawidziła Renaty, jak każda zdradzona kobieta nienawidzi swojej rywalki. Mówiła w myśli: „dlaczego ona, co on w niej takiego widzi?” Właśnie tak, okazuje się, że i ona musiała powtórzyć te okropne, nieszczęśliwe, niemądre i wiadome słowa: „co on w niej widzi?”

I zaraz potem perswadowała samej sobie: „poco to mówić? Już na pewno coś widzi, skoro ją kocha”.

To jednak nie było przekonywające, i Agnieszka niebawem wracała do swych bezużytecznych konstatacyj, że Renata właściwie jest głupia, że to jest pospolita paniusia z prowincji. Że może jest istotnie ładna, ale jaka przytem niezajmująca. Że jest nietylko nudna, ale ponadto także wcale niemłoda, ma może blisko trzydzieści lat.

— Ach, nie powinnam, nie powinnam tego myśleć — opamiętywała się napróżno. — Jakakolwiek jest, on właśnie ją kocha, i żadne takie mówienie nic nie pomoże, nic przecież nie zmieni — —

Powracała także często myślą do tej plotki, którą tu posłyszała wkrótce po przyjeździe i wówczas

pozostawiła bez uwagi, ani przez chwilę temu nie wierząc. Że mianowicie Renata mieszkała w domu Słucańskiego jeszcze za życia jego pierwszej żony i do pewnego stopnia była przyczyną jej śmierci. A także, że przedtem miała innych kochanków.

Wtedy Agnieszka wcale temu nie wierzyła, teraz jednak gotowa była uwierzyć.

Myślała także źle o Pawle od pewnego czasu. Niekiedy myślała o nim rzeczy najgorsze, jak wróg. I powoli — tak myśląc — przerabiała jego obraz w sobie, tworzyła z niego w ten sposób jakby innego, nowego człowieka. Tak, iż stawał się coraz mniej podobny do dawnego Pawła.

Wszystko, co robił, tłumaczyła sobie na gorsze.

Paweł powtarzał czasami byle jakie powiedzenia, gdzieś zasłyszane, a dotyczące jego osoby. Były to naogół powiedzenia dla niego pochlebne, ale tak ubogie jako naprzykład żer dla próżności, że w Agnieszce budziły pewne zdziwienie, pewne niedowierzanie. Długi czas nie przyznawała się sama przed sobą, że dostrzega, co to właściwie jest. Ale teraz już niewątpliwie to wiedziała.

Agnieszka od dzieciństwa otoczona była tem, co rodzi próżność i zarazem jej przejawy rafinuje. Inny kolor miało słowo: *chargé d'affaires* albo sekretarz poselstwa, zupełnie w innej płaszczyźnie połyskiwało słowo: ambasador lub minister. Cały świat był jakby połamany przez szczeble tej hierarchji i w jej katedrach się układał. Od tego wszystko zależało — towarzystwo, przyjaźni, nawet uczucia.

Właśnie poznanie Pawła i jego miłość zniweczyły w oczach Agnieszki ten układ świata. Młody, nikomu nieznany Blizbor — bez majątku, bez poparcia, bez przyszłości — nie przystawał do żadnego wogóle szczebla owej hierarchji, był poza wszelkiem zestawieniem, wyrażał inną rzeczywistość. I dla Agnieszki stał się ważniejszy od wszelkich dostojników tem właśnie, że wcale ich dostojęństwa nie dostrzegał, że był na te sprawy cudownie obojętny. Jakże wtedy mogła pomyśleć, że jest próżny? Nietylko była pewna, że w nim tego niema, ale właśnie dzięki niemu rozumiała, że bez tego można żyć.

Paweł — wyszedłszy wówczas z wojska — nie miał żadnych ambitnych nadziei, o niczem nie roił. Zdobywając Agnieszkę, nic jej w tym względzie ani sobie nie obiecywał.

Ten brak wysokich ambicij życiowych kompensował się oczywiście jakoś inaczej. I Agnieszka teraz dopiero zaczynała to rozumieć. Bo nie można wiedzieć, co komu zrobić może przyjemność, z czego kto może być dumny. Paweł powtarzał naprzykład jakieś pozbawione znaczenia słowa starosty, z których jednak ubocznie wynikało, że jest jego przyjacielem. Albo mówił, że majorowa Świernina uważa sposób jego gry w tenisa za podobny do gry kogoś, kogo nazwisko było Agnieszcze nieznane. — A kto to jest? — pytała, chcąc to zrozumieć. — Jakto! To jest przecież mistrz! — I Agnieszka pojmowała, że to było wysoką pochwałą osoby kompetentnej dla jego gry. Paweł podkreślał też niby ze śmiechem, że jego w mieście już każdy zna,

że ktoś zupełnie nieznajomy na ulicy powiedział głośno: „o, to samochód Blizbora”. Agnieszkę takie wiadomości wprawiały w osłupienie, a czasami budziły w niej jakby współczucie i żal.

Niewątpliwie, skoro Paweł tę rzecz opowiadał, to dla niego musiały one coś znaczyć. I Agnieszka doszła do tego, że już rozumiała, co znaczą. Można powiedzieć, że „otworzyły jej się oczy”.

Wstyd jej było, że temu wierzy, że to jednak konstatuje. A niedługo potem już się z tem odkryciem oswoiła.

Myślała tylko: jeżeli teraz jest próżny, to chyba przecież się nie zmienił. Dlaczego miałby się teraz zmienić? Tak widocznie było od początku, tylko ona była w nim zaślepią. Kto wie, może wtedy, w czasie jego wybuchającej miłości jej osoba, może sama Agnieszka narazie tę próżność zaspakajała. I dlatego — w zachwycie swoim i wdzięczności — nie mogła tego podejrzewać, była najdalsza od tej myśli. Właśnie czemś cudownem wydawała jej się jego duma, jego pochmurna niezależność wobec jej świata, niedostrzeganie różnic w stanowiskach i znaczeniu, lekceważenie tej hierarchji, której dogmat nie podlegał tam wątpliwości. Jakież to było zawodne!

Musiało tedy stać się wszystko, co się stało, aby Agnieszka mogła teraz powiedzieć o Pawle: „to jest pyszałek”.

Był już teraz nierównie mniej w jej oczach godny miłości, był kimś, co do kogo straciło się złudzenia. A przecież uczucia, które budził w Agnieszce teraz,

siłą przewyższały wszystko, czego doświadczała kiedykolwiek. I to nie tylko dlatego, że cierpienie jest sprawą bardziej dojmującą, niż radość. Ale dlatego, że zupełnie nową wartością Pawła stała się miłość dla niego Renaty.

W pierwszym okresie zdrady Pawła, gdy pociągały go wszystkie młode kobiety, Agnieszka mniemała, że stał jej się daleki i obojętny. Cieszyła się nawet, że to ją nic nie obchodzi.

Ale to była złudna pociecha. Gdy nieokreślony obraz kolektywny zastąpiła jedna kobieta wiadoma, gdy poszukiwanie wielu przygód ściągnęło się w jedno uczucie, Agnieszka została wpleciona w koło namiętności i męczarni, które wytwarza zawsze ciśnienie wielkiej miłości.

Blizbor oddał się od Renaty, od cudownego zapachu szczęścia, od spokoju i zachwytu, który w niej był. Nie musiał jeszcze odejść. Mógł zostać.

Renata nie zapytała go, czemu idzie. Ufała jego miłości.

Poszedł piechotą do domu. Ta droga była naprawdę ładna — teraz, letnią nocą, gdy już pachniały lipy. Noc nie czarna wcale, tylko raczej granatowa, a w górze cała niebieska. I gwiazdy na niej raczej białe, niż świecące — omdlałe od księżyca.

Nie widział tego, pełen gniewu i niepokoju. Spieszył się, biegł prawie, zachowując gest chodu, ale nie jego tempo.

Wszedł do domu i wszedł też odrazu na górę, do sypialni, gdzie była Agnieszka. Była sama.

Nie zastał jej w sposób, mogący coś oznaczać. W sypialni było niedość jasno, zapalona była tylko mała lampka na stole — więc chyba nie mogła czytać. Nie haftowała też, ani nie grała, fortepian był nadole, i Blizbor byłby to słyszał z drogi. Nie leżała

i nie siedziała nigdzie. Zastał ją stojącą pośrodku pokoju, czy nawet idącą.

Nie, nie można było wiedzieć, co z nią było przed chwilą, zanim powzięła wiadomość o jego przyśściu. Co tu knuła w półmroku i samotności. Żałował teraz, że nie skradał się cicho, że jej nie zaskoczył niespodzianie. Słyszała dobrze stuknięcie drzwi wejściowych i kroki po schodach.

Zastał ją więc, że szła ku niemu i nagle się zatrzymała w ruchu, oznaczającym jednak chód — z jedną nogą naprzód wysuniętą, jak w migawkowym zdjęciu. Znieruchomiała, nie zmieniając pozy, jedynie leciutko się chwiejąc.

— Jesteś sama? — spytał, rozglądając się po ciemnych kątach. Drżał z gniewu i ze zmęczenia.

— Tak — odpowiedziała. I zaraz dodała: — Nie wychodziłam już po obiedzie. Siedzieliśmy z Kamilem w ogrodzie prawie do zachodu. Tak było ładnie.

Rozglądał się jeszcze. Odkręcił górne światło.

Poczuła się pewniejsza cokolwiek, widząc go w tym stanie niepokoju, którego naturę znała. Spytała więc:

— Może co zjesz? Jest wszystko gorące.

Nie, nie chciał jeść. Nie to mu było w głowie.

— Czy był kto? — spytał.

— Nikt nie przychodził — odrzekła. I uczuła wewnątrz siebie wiadome drżenie.

Była łagodna, była miękka, jeszcze na wszystko gotowa, skłonna do zgody na każdych warunkach.

Poniosłaby najstraszliwszą ofiarę, byle ten jego zwykły, gniewny powrót do domu był prawdą.

Nie, nie był prawdą. Nic to wszystko nie znaczyło. Nie zmieniło się nic. Wracał przecież od niej, szedł od niej, tej, którą teraz kochał. Więc czemu pytał, jak dawniej, poco wznawiał torturę dawnej, umarłej miłości.

I znowu nie umiała tego wytrzymać, nieprzytomna z uniesienia, z buntu, z rozpacz. Gryzła zębami te słowa, by ich nie powiedzieć, by się nie zdradzić. I jednak ze spokojem, jednak z hańbą uśmiechu na ustach powiedziała:

— Poco się pytasz, poco tu kogoś szukasz, nie rozumiem. Cóż cię to teraz obchodzi?

Leciała wdół, tak mówiąc. Zdradzała się z tem, że wie wszystko, sankcjonowała tę sprawę, konstatuując. Upadek jej zwiększał się, przyśpieszał z każdą chwilą.

A jemu tego tylko było trzeba, by wybuchnąć. Gniew dziki, straszna złość, że zatruwają mu tamto szczęście, że wydzierają go tamtej rozkoszy, wreszcie mogła znaleźć ujście, mogła się wyzwolić.

— Bo tak chcę! — krzyczał. — Bo nosisz moje nazwisko, i mam prawo pilnować, żebyś się nie kompromitowała!

To było takie głupie, co mówił, takie głupie i zarazem oburzające, że mogła tylko się roześmiać. No, tak, pieniał się z zazdrości, kochając inną! Zostawiał Agnieszkę samą tu w domu, samą przez dni i noce — i jeszcze raczył się niepokoić o jej wierność, wpadał,

gnany nienawiścią, by robić jej sceny zazdrości. On jej, nie ona jemu!

Więc chciała się roześmiać, była pewna, że się roześmieje. Ale uderzyła ją nagle myśl, że ta jego głupia złość, jego podejrzenia, śmieszne poczucie honoru jego nazwiska — że to jest przecież jeszcze jakaś miłość, jakaś żalosna reszta tego, co było. Że cała ta heca to jest wszystko, co jeszcze zostało z tamtej ogromnej miłości. I, myśląc, że się śmieje, słyszała jednocześnie swój głośny płacz. Tak, miała ręce we włosach, siedziała pośrodku pokoju na ziemi, kołysała głową w obie strony i lamentowała nagłos, krzyczała z rozpacz. Tak wyglądała ta scena, do tego już doszło.

Blizbor zamilkł. Teraz dopiero się uspokoił, teraz się upewnił. Nie było pogo tu biec — w to piekło, w te sceny, w tę histerję — mogąc być tam, u źródła spokoju, u Renaty.

— Wstań! — krzyknął, ciągnąc ją za rękę. — Dosić tego!

Ucichła odrazu, podniosła się, chlipiąc. Chciała coś do niego powiedzieć, ale jeszcze nie mogła złapać tchu.

— Uspokój się zaraz! — krzyczał, chociaż już była spokojna. Udawał jeszcze gniew, ale go nie czuł.

— Już nie płaczę — powiedziała skwapliwie Agnieszka, rozmrūżając oczy, wodząc za nim spojrzeniem. Chodził prędko w jednym kącie pokoju, daleko od niej, szamotał się prawie. Wypadł zajrzeć do Kamila i zaraz wrócił. Było mu spieszno, gnał go już inny niepokój.

Wtedy powiedziała:

— Zostań.

— Nie mogę, nie, nie mogę, to jest niemożliwe.
Umówiłem się w mieście.

Teraz padły wiadome nazwiska: senator Lepowy, starosta, pan Świebodzki. Wszyscy tacy czekają.

— Zostań — powtórzyła i nawet cokolwiek wyciągnęła do niego rękę.

Robiła już rzeczy niskie, błagała.

Jego wyrzuty i podejrzenia rozjątrzyły jej pamięć, uderzyły w te same miejsca, które jeszcze bolały od miłości. Jej odporność słabła, budziło się to, co było nikczemnością jej natury.

— Ten jeden raz tu zostań...

Wyrwał się z jej rąk, z jej objęć, poprostu ją odepchnął. Teraz biegł do Renaty, upewniwszy się, że jest jak dawniej kochany.

A teraz Renata przyszła do Blizborów, weszła do ich domu. Rzadko tam przecież bywała. Ale pamiętała jeszcze trochę, co wypada. Więc czasami zrobiła to, co pomimo wszystko jednak robić wypadało.

I Agnieszka to wołała. Gdy Renata przyszła, gdy zwyczajnie tak była i rozmawiała nieśmiało, dziecinnie, rozsądnie, jak dawniej, Agnieszka myślała jeszcze niekiedy, że nic się nie zmieniło. Ale nie mogła tego myśleć długo.

Nagle przypomniła sobie, że teraz oni dwoje są sobie bliscy, a ona jest naboku sama, ona jest osobno. Uczuwała na tę myśl ból bardzo niejednakowy — czasami nie do wytrzymania, czasami zaś już słabszy, zbliżony nawet do smutku. Kiedy indziej znowu nie pomyślała nic, a to coś, tę rzecz nową wyczuwała tylko jako nagłe zatarganie wewnątrz ciała — i naturalnie już wiedziała, co to znaczy.

Ale i wtedy także wołała, że tu są oboje razem z nią. Patrząc na nich, widziała, co robią, była na tę chwilę bezpieczna. Nawet, jeżeli wyszła z pokoju, mogli tylko powiedzieć coś do siebie. Mogli także popatrzeć na siebie długo oczami sposobem wia-

domym, wbić się oczami do głębin swoich serc, doznać tej rozkoszy, która jest bliska łez. To mogli, ale nic więcej. I w tem jednak naprawdę była ulga, było jakieś wytchnienie.

Agnieszka wracała i zastawała ich, w milczeniu siedzących naprzeciw siebie. Tego nie mogli jakoś osiągnąć, by ich zastała, jak zwykłych znajomych, w toku prawdziwej rozmowy. To było niemożliwe. To jedno było nad ich siły i tego nie można było od nich wymagać.

Agnieszka była tą, która, wracając ze spuszczo-nemi oczami, z uśmiechem na ustach, mówiła:

— Kamil na szczęście zasnął. Nic wcale się nie gniewał, jakiś był ogromnie pobłażliwy.

Wiedziała, że Renata chciałaby zobaczyć dziecko, że tego bardzo pragnie, tylko nie mówi. Tak, niewątpliwie chciałaby go widzieć, móc ucałować, jak dawniej, jego rączkę, całą w poprzecznych fałdkach. Dla niej było to dziecko Pawła.

Agnieszka miała przelotną chęć, by to powiedzieć, by jej to ułatwić. Ale szczególny wstyd stawał jej na przeszkodzie. Nie przykrość nawet, ale naprawdę wstyd.

Tak więc przyszła Renata, gdy byli oboje w domu sami, Agnieszka i Paweł. Rzecz godna uwagi, że teraz już nie przychodziła w porze, gdy mogła go nie zastać — chociaż to może byłoby łatwiej. Ale widocznie się bała. Wołała, żeby on był przy tem, on, gotowy stanąć w jej obronie przeciwko Agnieszce.

Agnieszka zapytała Renatę o pana Śluczańskiego,

o nieobecnego Julka, o Justyna. Ale nie wspomniała, że wie, iż się zaręczył; to jednak było dla niej za trudne. I Renata też nic o tem nie powiedziała.

Później Agnieszka mówiła znowu o Kamilu i o przyjeździe ojca. Tak, czekała, że przyjedzie. I później znowu wyszła.

Wyszła nie na górę, tylko do jadalni. Stąd było słyhać same jakby odpowiedzi Renaty. A Paweł nie mówił nic.

Gdy wróciła, siedzieli naprzeciwko siebie, jak ich zostawiła, milcząc. Tacy byli naiwni. Im się wydawało, że to wystarczy. Całe udawanie, do jakiego byli zdolni, polegało na tem, że nie mówili prawdy, że nie wyznawali na głos swojej miłości. Wszystko inne przechodziło ich możność.

Agnieszka prędko szukała słów. I nagle poczuła mały, przelotny gniew, że to ona właściwie musi wszystko udawać. Ona musi stwarzać fikcję, że nic takiego niema, że nikt tu nie jest zazdrosny, nikt się czego nie domyśla. Ona całym wysiłkiem moralnym pracować musi dla ich spokoju.

Nagle postanowiła, że to powie, że powie to dziś. Nie postanowiła, tylko raczej zrozumiała, że tak się stanie.

Chwilę więc milczeli we troje. Jeszcze weszła służąca z tacą i pośród ciszy zaszczękały talerzyki i łyżeczki. To trwało przez pewien czas, zanim odeszła, to też jeszcze utrzymywało fikcję, że nic takiego niema, że nikt się nie męczy. Tak Agnieszka przygotowywała swój cios.

Czy to miała być zemsta? Och, nie. To było wykonanie czegoś, co jest konieczne, wzięcie na siebie jeszcze i tego trudu.

— Tak, jak jesteśmy, we troje, chcę coś powiedzieć, co nas właśnie — i tylko nas we troje obchodzi.

Głos Agnieszki był pewny, spokojny, równo rzucony na ciszę. Nie wahała się, mówiąc. Oddawna umiała napamięć te słowa. Nawet w łomotaniu ciężkiem serca nie było niepokoju, tylko jakaś doniosła uroczystość.

Nikt z nich dwojga się nie poruszył, żadne oczy nie patrzyły na nią, gdy mówiła.

— Niema w tem niczyjej winy i nikogo nie potrzeba oszczędzać. Tak się staje. Kończy się jedna miłość i zaczyna się druga.

Była najmłodsza tutaj i mówiła, jak mędrzec.

— Ja tu nic nie mam do powiedzenia. Tak się stało, tak teraz jest. Chcę was tylko zapewnić — panią, pani Renato, i ciebie, Pawle — że nic z mojej strony pomiędzy wami nie stoi. Że jeżeli chcecie rozwodu, to ja zaraz wszystko podpiszę, co trzeba. Bo myślę, że tak, jak jest teraz, to jest nie tylko dla mnie, ale i dla was nieprzyjemnie.

Powiedziała to i przez chwilę myślała, czy to już wszystko, czy nie zapomniała jeszcze o czym. Czy nie trzeba powiedzieć o Kamilu, że ona tak robi, by on tego nigdy nie odczuł, by na tem wcale nie ucierpiał. Ale znowu powstrzymał ją wstyd.

Przez tę chwilę było zupełnie cicho.

— Pani wie, że jabym tego nigdy nie zrobiła — zawołała nagle Renata.

Dopiero teraz podniosła głowę, pokazała swoje oczy, napełnione łzami. Ale nie spłynęła ani jedna. Jej policzki, jej cała twarz była czerwona od rumieńców.

— Dlaczego nie miałyby pani tego zrobić? — zdziwiła się półgłosem Agnieszka, jakby sama to rozważając.

Jej intencja nie była przecież zła. Wynikała z prostej chęci, by przerwać ten stan rzeczy, by oni sami pomogli jej z tem skończyć, by nie ona musiała wciąż to dźwigać.

Nie, tego nie mogła powiedzieć, by pragnęła ich szczęścia. Naturalnie, że nie. Ale doprawdy nie chciała im w tem być zaporą, nie mogąc.

Odpowiedź Renaty, jej rumieńce i miękki głos, jej niepotrzebne słowa — szarpnęły jednak znowu to coś w Agnieszce, z czego się brała nienawiść. Przypomniała sobie nagle, co mówiono o przeszłości Renaty, o jej romansie ze Śluczańskim przed śmiercią jego pierwszej żony. Więc to była dla niej nie nowina, to nie były rzeczy takie niemożliwe.

Mogła jakoś to powiedzieć i nie powiedziała. Pamiętała, że wszystko — tylko przeciwko niej samej się obróci w oczach Pawła.

— Dla mnie jest zupełnie niewątpliwe, zupełnie oczywiste, że tak trzeba. Znam tę sprawę i nie łudzę się, nie myślę się wcale...

Każde słowo było ustępstwem i ofiarą, było ła-
ską i bohaterstwem. Ale któż miał to ocenić, kto miał
zrozumieć.

Paweł — blady z przykrości i gniewu — prze-
rwał z wybuchem.

— Przestań! Nie mów nic więcej! — krzy-
czał. — To przecież jest coś niesłychanego! To jest
bezwstydne!

Agnieszka, która zawsze drżała przed jego gnie-
wem, teraz nie czuła strachu. Patrzyła w niego. Zno-
wu zobaczyła jego nieubłaganą piękność. Takim wi-
działa go tylko w obecności Renaty. Poprzez Renatę,
jej oczami. I nie bała się go też tylko dlatego, że ona
była.

— Właśnie powinnam mówić — powiedziała,
zniżając głos. — Poco ukrywać się i męczyć, poco
i mnie skazywać na robienie dobrej miny. Nikomu nic
z tego nie przyjdzie, nikt nie ma wcale zysku z tych
poświęceń. Przecież mi nie mówisz, że to jest nie-
prawda, przecież mi nie mówisz, że jej nie kochasz.
Że nie kochasz pani Renaty...

Blizbor przyskoczył do żony.

— To jest niepojęte, to jest ohydne! — krzyczał
zbliska. — Że ty śmiesz to mówić! Chyba ty tego
chcesz, chyba ty sama masz kochanka, kiedy tak
mówisz!

Agnieszka chciała przerwać. Próbowwała powie-
dzieć, że wyjedzie.

— Nigdzie nie wyjedziesz, nigdzie nie wyje-
dziesz! Słyszysz? Jesteś bezwstydna! Taka zawsze

byłaś! Zawsze lubiłaś mężczyzn, zawsze byłaś zepsuta! Chciałaś, żeby się w tobie kochali!

Był nieprzytomny z wściekłości, szedł na Agnieszkę. Renata podbiegła do niego, dziecinnie przerażona.

— Nie, nie! — wołała. — Poczekaj! — I wyciągnęła do niego obie ręce, by go zatrzymać. — Nie bądź dla niej zły!

Blizbor nagle umilkł, przestał krzyczeć. Wziął Renatę za rękę i bezmyślnie, prędko pocałował. Ona coś jeszcze cicho do niego powiedziała, czego nie mogła usłyszeć Agnieszka. O coś go widzieć prosiła.

— Nie mogę, nie — przerwał niecierpliwie. — Chodźmy stąd! Chodźmy. Ja panią odprowadzę.

To, co Agnieszka powiedziała Pawłowi i Renacie, przed niczem jej nie uchroniło, nie oszczędziło jej nic. Taka rzecz przeminęła bez śladu, taki trud, taki śmiertelny wysiłek poszedł na marne.

Trwało wszystko, wciąż było. Znowu przychodził i odchodził Paweł, nie widząc jej, nie mogąc za-trzymać na niej oczu. Znowu w cierpieniu przemijały godziny. Cała rzecz zmieniała się tak i inaczej, ale wciąż jednak rosła.

Może jeszcze za lekko byłoby tak się rozstać, może za łatwo byłoby tak tę sprawę zlikwidować. Może trzeba było jakoś trudniej.

Widać to, co ofiarowała im Agnieszka, jeszcze narazie nie było im potrzebne. Dopiero później. Od-kładali sobie tę sprawę. Czy tylko poto, aby ona mu-siała dłużej cierpieć? Czasami myślała: dłużej konać.

A może poto, aby musiała niżej upaść.

Bo oto zmagala się z nową w sobie chęcią, knuła nowy zamiar. Raz myślała, że to jest zguba, a raz, że ratunek. Co to znaczy: ratunek?

Ciężko jej było to przedsięwziąć. Wahała się, wi-

dząc, że już to jednak jest za niskie. A przecież obmyślała sobie szczegóły. Wszystkie słowa były rozważone, obejrzone z każdej strony.

Przypuśćmy więc, że idzie tam, upatrzywszy porę, gdy na pewno nie ma Renaty. Gdzieś w głębi domu znajduje zaszytego w swoją samotność tego człowieka — małego, mizernego, przygiętego do ziemi nieszczęściem. Tak ma być. I w jego chore serce, w jego zakrwawione uczucia ma dopiero zapuszczać żądla własnego szaleństwa.

Po dniu gorącym, białym, prawie jesiennym, zaczął padać cienki deszyk. Nie było wiatru ani chłodu, tylko ta cichutka wilgoć. Agnieszka zeszła pieszo drogą wdół ku miastu. Zrobiło się zupełnie ciemno. Małe ulice ziały dziwnymi woniami ze swoich mokrych ciemności.

Mimo pośpiechu szła jednak blisko godzinę, nim zobaczyła wreszcie znajome sztachety ich ogródka i za krzewami domek, pełen dawniej pokornej cnoty i smutnego szczęścia. Ulicą obeszła zewsząd dom, patrząc przez szpary parkanu. Nie świeciło się nigdzie, tylko w kuchni było światło.

Wiedziała, naturalnie wiedziała, że źle robi. To, co zamyśliła, było niegodne. Ach, cóż to mu powie, temu staremu, cichemu panu? Wiedziała, co. Słów przygotowanych miała wiele, słowa to właśnie miały okryć, utaić tę sprawę. Słowa miały wszystko uratować.

Więc chciała, aby się oboje zmówili przeciwko szczęściu tamtych. Czy tak? Dlatego, że odtrącili jej

ofiare. Ale oni tak chcieli, oboje tak chcieli. Ich to była sprawa, o nich jedynie szło, tylko oni mogli decydować. Ona zaś, Agnieszka, i ten stary człowiek musieli zwyczajnie zostać naboku, musieli dać się odtrącić.

A środek tej sprawy był taki, że Agnieszkę i Słuczańskiego łączył wspólny interes, że więc powinni byli związać się konszachtami, tajnie zorganizować i wspólnie uchronić od tej zguby.

Przeglądała się cichemu, ciemnemu domowi, stojąc z boku przy furtce. Napróżno się łudziła, marząc, że może Renata jest w domu ze swoim mężem, że może — cicha i słodka, *tamta* — siedzi u stołu w jadalni sama i coś haftuje, ubrana świeżo i czyściutko, jakby czekając na miłe odwiedziny.

Och, gdyby tak było, nie potrzebowałyby wchodzić. A nawet — po ostatniej rozmowie z Renatą — nie mogła.

Ale Renaty tam niema, to jest pewne. Paweł i ona są w jakimś miejscu ziemi im jedynie wiadomem, są razem. Szczęśliwi, sobie wystarczający, sami. Tylko ona się miota, coś wciąż zamyśla, coś roi i knuje. Im nic nie trzeba.

Za ciemnymi oknami jakby nie było wewnątrz. Ciepła, wilgotna noc, nalana po brzegi czyjemś nie do wytrzymania szczęściem, wydawała się Agnieszce domem wspólnym ludzi.

Cicho odciągnęła furtkę i podeszła pod ganek, zawieszony czarną płachtą wina. Tutaj nagle poczuła, że jest widziana, chociaż było zupełnie ciemno. Nikt

o nic nie zapytał, ale napięcie cudzego oczekiwania uderzyło o nią, jak coś materialnego.

— Nie, to ja. — Powiedziała te słowa prędko, by się nie łudził. Bo może czekał na Renatę.

— To pani? — spytał cicho Śluczański. Nie widziała go, tylko słyszała, skąd idzie głos. W tym głosie nawet nie było tonu zdziwienia.

Nie przywitani się zwyczajnie, wcale nie ułatwili sobie tej sprawy. Agnieszka mówiła szybko:

— To ja, to ja. Wiem, że tak nie powinnam, wiem, że to źle.

Nie rozumiał. Poprosił, żeby nie stała na deszczu, żeby weszła na schodki.

— Chciałam oddawna pana widzieć, żeby się pana zapytać — —

Nie, nie tak trzeba było mówić. Zupełnie co innego miała przygotowane.

— Może pani wejdzie do pokoju, zaraz zrobię światło.

— Nie, dziękuję panu, ja tam nie wejdę.

Teraz dopiero uczuli nawzajem swój wstyd, gdy on powiedział: — Tak, tak, ja wiem...

Agnieszka miała swoje przyjście inaczej wytłumaczyć, ale teraz wcale tego nie zrobiła. I wszystko było jasne. Nie było już co ratować. Nie o to szło. Agnieszce nagle niewiadomo dlaczego przyszło na myśl, że Renata jest, tylko śpi, że dlatego także mówią cicho. Że jest tutaj, nie tam, nie tam!

— Czy pani Renata jest w domu? — spytała głupio.

On odpowiedział zdziwiony:

— Nie, skądże, jakto?

No tak. Jeszcze raz doznała tego, co było bólem ściśle fizycznym, zupełnie już zwierzęcym. Jakby sprawa jeszcze raz na nowo się zaczęła, jakgdyby wszystko było od początku.

Więc siedziała obok Słuczańskiego pociemku, na wilgotnej ławeczce ganku, za gęstą ścianą wina. Siedziała pochylona, z twarzą w dłoniach, płacząc.

— Nie mogę w niczem pani pomóc — mówił cicho Słuczański. — Nie mam prawa nic powiedzieć Renacie. Tego, co było, nie można przekreślić ani zapomnieć. Nie mam żadnego tytułu, by do niej przemawiać. Ze względu na pamięć mojej żony Niny, pierwszej żony, bo Renata jest drugą. Renata jest kuzynką, daleką siostrzenicą Niny. To Nina ją wzięła do domu, gdy im wszystko spalili w pierwszym roku wojny. To Nina tego chciała, bo ja byłem nawet trochę niezadowolony. To była jej rodzina, więc naturalnie przystałem. Nina była dobra. Jakiś czas mieszkała też u nas babka Renaty, ale umarła. Nina nic nie wiedziała. Justyn był już z pani ojcem w Paryżu, Julek mały. Julek odrazu polubił Renię, cieszył się, jak wracała z biura. Nina nie wiedziała o niczem, tak się zdawało. Pierwszy atak był wieczorem, gdy raz wróciłem późno do domu. Płakała, mówiła, że nie wie czego, że płacze ze strachu. Naza jutrz już nie odpowiadała na zapytania i nic nie jadła. Reni wtedy nie było w domu od rana do nocy, bo miała też popołudniową robotę. Tylko ja. Nie chciała jechać do lecznicy, chciała być w domu, prosiła, żeby ją zosta-

wiść w domu, że będzie spokojna, że nie zabije nikogo— ani mnie, ani Julka, ani Reni. Jednak Renatę już i wtedy wymieniła. Ale ja miałem przekonanie, że ona nie wie nic. Więc przyrzekłem, że zostanie w domu. Tego jednak nie dało się dotrzymać, bo stan się pogarszał z każdą chwilą. Już nie płakała tyle, raczej szalała z przerażenia, nawet z gniewu. Mówiła: „Kocham was, ale was zabiję”. Wtedy wysłałem Julka z domu, żeby tego nie widział. Ale już na drugi dzień musiałem Ninę zawieźć do szpitala.

Słuczański mówił tak w ciemności — cicho, prędko, głosem bez barwy i bez tchu. Nie zatrzymywał się i nie namyślał. Recytował rzecz umianą, postokroć powtarzaną napamięć, wciąż obecną w myśli.

— Mówiła: „zabiję ciebie i ją, chociaż ona jest dobra”. Odwiozłem ją sam, za jej zgodą. Jechała spokojnie, prawie normalnie. Rozglądała się uważnie, jak dziecko. I tam była, jak dziewczynka przywieziona na pensję. Gdy zobaczyła inne obłąkane, powiedziała tylko: „one są dziwne”. A ostatni raz widziałem ją w niedzielę, przywiozłem jakieś ciasto, którego nie jadła, tylko rzucała je ptakom. Nie rozumiała, gdy jej mówiłem o Julku, nie pytała o dom i nie mówiła, że chce wrócić. A przedtem wciąż chciała wrócić. Myślałem, że jest jej gorzej, ale zakonnice powiedziały, że nie, że właśnie jest spokojniejsza. Tak się zdarzyło, że to był maj, siedzieliśmy w szpitalnym ogródku między takimi grządkami. Była prześliczna pogoda. Pod drzewem, które kwitło, stała ławeczka. Ja siedziałem, Nina nie. Nina stała i rzucała wróblom pokruszone ciasto,

stała cała jakby otoczona ich fruwaniami, uśmiechała się trochę wśród tych kwitnących, wiszących gałęzi. Więc byłem lepszej myśli, miałem trochę nadziei. Tymczasem tej nocy Nina znalazła sposób, by się zabić, powiesiła się tam, pomimo nadzoru, skorzystała z pierwszej chwili, gdy była sama...

Agnieszka lekko krzyknęła.

— Tak, to jest straszne — zgodził się prędko Słuczański. — Otóż, widzi pani, w całej tej sprawie może być tak, i może być inaczej. Można sobie różnie myśleć, i ja nie mam żadnej pewności. Wzięliśmy z Renią ślub dopiero w rok po śmierci Niny. Cóż ja jej mogę dziś powiedzieć, czego mogę od niej naprawdę żądać? — Że to był obłęd u Niny, o tem nikt nie wątpił, to było pewne. Ona sama bała się tego właśnie jako obłędu. I jeżeli przedtem irytowała się czasami na Renię, jeżeli bywała trochę niesprawiedliwa, to już wtedy mogło być nienormalne. Jakkolwiek było, przez cały rok po jej śmierci ja widziałem się z Renatą może trzy razy. I kiedy braliśmy ślub, to już wiedziałem, że ona to robi, bo myśli, że tak trzeba... Pani rozumie: ja jej nie mogę przy sobie zatrzymać:

— Więc ona chce odejść? — spytała Agnieszka.

— Tak, zdaje mi się, że właśnie teraz ona już chce odejść.

— Ale dziś jeszcze wróci?

— Nie wiem. Bo dziś jednak wzięła swój obrazek z nad łóżka, który ma po babce, i różaniec.

Słuczański jakby się pociemku uśmiechnął.

— To właśnie wzięła, poza tem nie weźmie nic.

Jest coś bardzo dobrego w jej naturze. I coś także, czego nie mogę zrozumieć. Renata po wywiezieniu Niny do zakładu chciała w domu zostać, chociaż już wtedy ludzie zaczynali o tem mówić, chociaż to było niewłaściwe. Chciała zostać, bo żal jej było Julka, którego znów wziąłem do siebie, bo żal jej było mnie. Ona była pewna, że Nina nic nie podejrzewa. Ale ja miałem wątpliwości, ja nie byłem taki pewny.

Na krótką chwilę umilkł, namyślał się w ciemnościach.

— To ja zażądałem, żeby Renata opuściła dom, ja tak urządziłem, że mogła się zaraz przenieść, tego samego dnia, że mogła zamieszkać gdzie indziej na ten czas, póki... Na cały ten czas... Ona zrobiła to tylko dlatego, że ja tak chciałem. Bo wtedy bardzo liczyła się ze mną... Otóż, kiedy ostatni raz widziałem Ninę, Renaty już naturalnie nie było u nas. I postanowiłem sobie, że jeżeli Nina o nią zapyta, to powiem, że jej nie ma. To mogło na nią dobrze podziałać, była „dziwna”, ale jednak miała dosyć przytomności, wiele rozumiała. Tymczasem tego dnia, mówiłem pani, Nina się już o nic nie pytała, nawet nie wspomniała o Julku. Mimo to chciałem jednak jej to powiedzieć, do ostatniej chwili miałem ten zamiar. I jakoś odszedłem i nie powiedziałem. A mogłem. Może nie byłoby się to stało. O tem można myśleć tak i inaczej, ale nie jest wykluczone, że gdyby się dowiedziała — prawda? To jednak mogłoby ją było jakoś powstrzymać.

Agnieszka nie powiedziała nic. I Słuczański nie odzywał się więcej. Dłuższą chwilę siedzieli w milcze-

niu. Deszcz cichutko, bezustanku padał w otwartych drzwiach ganku.

Nagle Agnieszka coś sobie przypomniała.

— Nie, ona tego nie robi — odezwała się niespodzianie. — Ona mi sama powiedziała, że nigdyby tego nie zrobiła.

— Tak — zgodził się Słuczański. — Ale jeżeli on zechce, to ona będzie myślała, że tak trzeba.

Gdy skandal stał się już na tyle jawny, że Paweł Blizbor zamieszkał z Renatą Słuczańską we wspólnem mieszkaniu, wynajętem zupełnie pośrodku miasta, na rynku, dopiero wtedy przyjechał Walewicz po swoją opuszczoną córkę.

Przyjechał równie pogodny, miły i wytworny, jak przed blisko dwu laty. Niktby się nie domyślił, nie wiedząc, że taka dość przykra sprawa rodzinna go tu sprowadza. Nie zdawał się być tą sytuacją ani zaskoczony, ani, tem mniej, zmartwiony.

Znalazł nawet czas, aby odwiedzić te same osoby, u których był i za pierwszym razem — prócz wojewody zresztą, nieobecnego i teraz. Odwiedził tedy generała Ninotę, prezydenta, starostę i nawet pana Słuczańskiego, nie bacząc na zupełnie nową relację, w jakiej się obaj znaleźli po ostatnich zajściach familijnych.

Trudniej byłoby Walewiczowi jechać teraz aż do Porów, zwłaszcza przy jesiennej niepogodzie. Ale i tu dobrze się złożyło, okazało się bowiem, że mógł już odwiedzić hrabinę Osieniecką w jej nowym apartamencie miejskim, gdzie od dni paru zamieszkał

U Franka Ninoty był dla oszczędzenia czasu w godzinach biurowych, w gmachu dowództwa. Chociaż przybycie swe zapowiedział telefonicznie, generała nie zastał. Natychmiast jednak zjawił się wysoki i piękny oficer, nieobecność dowódcy wyjaśnił nagłą sprawą i grzecznie jego imieniem poprosił, by minister zechciał zatrzymać się parę minut. Przepuścił gościa środkiem sali, w której czekało kilkunastu oficerów, i wprowadził go od razu do gabinetu generała.

Jakoż po chwili nagłe drżenie przeszło cały gmach i w oddzielnych łoskotach rosło ku górze przez akustykę klatki schodowej. Wreszcie mogło się wydać, że nastaje katastrofa, taki łomot skór sztywnych i żelaza wstrząsnął sąsiednią poczekalnią. To zaś przechodził tamtędy generał, któremu oddawali honory oczekujący nań jego „młodszy koledzy”. I tejże chwili — jakgdyby nic się nie stało — ukazał się we drzwiach gabinetu Franek Ninota — prosty, wesoły, zupełnie dobroduszenie tłumaczący się z opóźnienia.

Zasiedli na niedługą chwilę rozmowy, która dotyczyła spraw ogólnych, jak zwykle. Tyle rzeczy uległo zmianie przez ciąg dwóch lat, tyle było do powiedzenia o rozwoju i wzroście młodego państwa. Pracowali przecież obaj zarówno dla tej sprawy — jeden tutaj, drugi tam.

Generał mówił wesoło i niejako syntetycznie:

— Jeżeli odnosicie sukcesy na arenie międzynarodowej, jeżeli jesteście rzecznikami pokoju, wy tam, na szerokim świecie, to jednak wiedźcie, że możecie to robić tylko dzięki nam, którzy znów tutaj pilnujemy tej

sprawy. Bo my waszym ideom pokojowym dajemy najlepszą rękojmię, dajemy im militarną gwarancję. Pacyfizm, głoszony przez słabych, jest demagogją. Tylko silna armja stanowi właściwą bazę operacyj pokojowych.

Walewicz bynajmniej nie zaprzeczał tym słowom. Żart, który zawierały, wydawał mu się niewinny. Mając jednak na względzie ilość osób w poczekalni, powstał wkrótce z fotela, by się pożegnać.

Uścisnęli się mocno za ręce. Już przy drzwiach Ninota zniżył nieco głos i powiedział serdecznie: •

— Wiem, co was tu sprowadza. I prawdziwie mi jest przykro — mnie i żonie — że się to tak skończyło. Wszyscy tutaj kochaliśmy panią Agnieszkę i bardzo odczuwamy jej brak.

Walewicz odpowiedział bez przymusu:

— Lepiej, że nareszcie sytuacja jest jasna. Teraz będę ją miał znowu przy sobie, moją jedynaczkę. I zaręczam, że za drugim razem okażę się już ojcem mniej nowoczesnym.

Tegoż dnia po południu Walewicz był u drugiego swego dawnego przyjaciela, Słuczańskiego. Odnalazł go w małym jego domku na przedmieściu, jak zwykle trapionego jakimś niedomaganiem. Oprócz służącej w kuchni i nieprzyjemnego psa w sieni, nikogo poza tem nie było w domu. Dopiero, gdy przyjechał Walewicz, zapalono jakieś światło w jadalni, i tam też zasiedli obaj głęboko na otomanie.

Słuczański zawsze wyglądał chorowicie, ale tym razem — mimo słabego oświetlenia — Walewicz za-

uważył w nim wyraźną zmianę na gorsze. Był nawet bardziej stary, niż chory, tak, był już zupełnym starcem. I to wydało się dziwne Walewiczowi, ponieważ znał go od tak dawna. Właśnie dlatego.

Po pewnej chwili wszedł do pokoju pies, który sam otworzył sobie drzwi od sieni, i usiadł na podłodze, obróciwszy na obu panów swoją twarz dużą, poważną i włochatą. Nie było wiadomo, czego chciał — i to też wydało się Walewiczowi nieprzyjemne. Słuczański objaśnił, że psu dawniej nie wolno było wchodzić do pokoju, a teraz już może. Więc korzysta z tego i wciąż dotrzymuje mu towarzystwa.

Tutaj rozmowa zeszła odrazu na tematy rodzinne. Nie można powiedzieć, by dostarczyły do niej mało materiału.

Więc naprzód ślub Justyna, który się odbył przed tygodniem w stolicy. Walewicz pochwalał to małżeństwo, młoda pani Słuczańska bardzo mu się podobała. To, że postanowiła sobie tam zapisać się na matematykę, to nic wcale nie szkodzi, to nawet jest dobrze. Nie minie pół roku, jak przedzierzgnie się w doświadczoną elegantkę, będzie ozdobą legacji. Da sobie ze wszystkim radę, w tym młodym wieku to się robi piorunem.

— Justyna już stanowczo biorę ze sobą, to jest pewne, już tu te sprawy urządziłem. Z tego chłopca możesz być prawdziwie dumny, możesz być spokojny o jego przyszłość.

Słuczański był o nią spokojny. I nawet nie przyszło mu na myśl, by podziękować Walewiczowi. Natomiast pierwszy wspomniał o Julku. Jak ci bracia są

odmienni, coraz mniej ich łączy. Julek — chociaż obecny w stolicy — nie był nawet podobno na ślubie Justyna.

— Bo co do mnie — zakończył z westchnieniem Słuczański — dla mnie wyjazd stąd tak ni z tego ni z owego wogóle to była niemożliwość.

Walewicz objaśnił, że ślub odbył się tylko w obecności dwóch świadków, nikt o niczem nie wiedział, nikogo nie prosili.

— Ja też dowiedziałem się dopiero, gdy mi zatelefonowali, czy mogą do mnie przyjść. Justyn koniecznie chciał się nią pochwalić. To było akurat w dniu mego wyjazdu tutaj.

Słuczański pomyślał chwilę i powiedział jakby do siebie:

— Rzecz dziwna, że Renata nie poczekała chociaż do ich ślubu. Dziwna dlatego, że zawsze dużą przywiązywała wagę do takich rzeczy, do wszystkich uroczystości. I ostatecznie przecież to ona sama prawie skojarzyła ich małżeństwo.

Walewicz doprawdy nie oczekiwał, że się ta sprawa wyłoni w rozmowie tak poprostu.

— Dziwnie jakoś to wszystko wypadło — powiedział — istotnie wbrew wszelkiemu przewidywaniu. To pewna, że ta dobra kobieta skazana jest na przeżycie tych samych doświadczeń i rozczarowań, których ofiarą stała się Agnieszka. Miejmy nadzieję, że jeszcze szybciej otworzą jej się oczy.

Właściwie nie było wiadomo, co miałyby nastąpić po takim „otworzeniu się oczów”, kto miałby z te-

go odnieść korzyść. I Śluczański tego nie podjął. Wrócił do Julka.

— Ci chłopcy są zupełnie odmienni. Justyna sam z podziwieniem oglądam. W nim jest to wszystko, czego we mnie zawsze brakło.

Podniósł swoje martwe, szare oczy na Walewiczę i nieśmiało się uśmiechnął.

— Ale Julek mi jest bliższy — wyznał. — Julka ja mimo wszystko lepiej rozumiem. To jest podobniejsze do mojej młodości — do tamtych czasów.

Walewicz dostrzegął tu raczej różnice.

— Żaden czas dziejów nie jest zły. Ja nie sądzę, abyśmy żyli w okresie jakiegoś upadku, jakiegoś niskiego ciśnienia, nie przeceniam tych elementów powojennego rozczarowania. Życie jest głębokie i nieprzeliczone o każdym czasie. Więc każdy nasz czyn swem przedłużeniem sięga we wszystkie plany życia i na żadnej jego głębolinie nie jest obojętny. Każda instancja życia wydaje o nim swój inny sąd, każda inaczej go przełamuje, nadaje mu inną kwalifikację. Ten sąd nie może być jeden — i nie powinien.

— Tak, naturalnie. Gdyby jednak było prawdą, że żyjemy w przededniu nowych europejskich przewrótów, gdyby to miało być nieodzowne — zaczął swym cichym głosem Śluczański i zawahał się. — Nie, ja się nie boję, że oni zwyciężą, ja bardziej boję się tego, żeby oni nie mieli słuszności...

Teraz Walewicz podniósł oczy na Śluczańskiego i przez długą chwilę patrzył na niego w milczeniu. Nie doczekawszy się bliższych wyjaśnień, rzekł spokojnie:

— To nie ma znaczenia, ich słuszość. Bo czas dzisiejszy jest tym, za który nie oni ponoszą odpowiedzialność.

— Właśnie, tylko my — ze skwapliwością powiedział Słuczański. I to zabrzmiało jakoś niewiarogodnie.

— O takim czasie, jak dzisiejszy — ciągnął Walewicz — wszystko, co jest protestem, co jest pogroźką i zapowiedzią, przeżywa swój okres najlepszy, heroiczny, swoje jakieś dzieje bajeczne. Oni — ci młodzi — jeszcze raz stare, zakrwawione zbrodnie ziemi wloką przed swój sąd w tem przeświadczeniu, że to dopiero przez nich po raz pierwszy zmienia się świat, że to dopiero od nich zacznie się jutro.

Walewicz mówił bez ironji — raczej rozważając, raczej rozpamiętywając. Pies poruszył się i podszedł bliżej do otomany. Tu usiadł, kładąc dużą łapę na brzegu siedzenia. Patrzył pytająco ku Słuczańskiemu i tym razem było wiadomo, czego chce — że chce mianowicie wejść na kanapę. Ale Słuczański powiedział mu, że nie można. I pies odrazu na to przystał, odszedł w cień pod stół i tam z wielkim łoskotem kości ułożył się na gołej podłodze.

— Ma się zawsze słuszość, jeżeli odpowiedzialność ponosi ktoś inny — powtórzył Walewicz. — Ale z chwilą, gdy kończy się okres heroiczny — po zwycięskiej wojnie czy po zwycięskiej rewolucji — nastaje czas odpowiedzialności. Nie za to, co się stało — tem jeszcze można kogoś innego obarczyć, na kogoś innego to spędzić. Ale właśnie za całą bieżącą rzeczywistość, tak, za to co w niej — poprzez wszystkie przemiany —

jest tożsame. Szpitale i więzienia, niesprawiedliwość i głód, przywilej i krzywda — to przecież trwa. Przed wojną i po wojnie, przed rewolucją i po rewolucji. I nastaje nieznośny, pokorny, ciężki trud, aby tę rzeczywistość — już w nowych kategoriach — jakoś usprawiedliwić i wytłumaczyć, jakoś po swojemu interpretować, jakoś się z nią za wszelką cenę *solidaryzować*.... Może wszyscy to właśnie poniekąd robimy — i stąd zadanie nasze niezawsze wydaje nam się dość wdzięczne.

— To, co jest tożsame — cicho powtórzył Słuczański, — więc: krzywda, cierpienie, strach — no i ostatecznie śmierć.

Walewicz wstał, pamiętając, że czas już wracać do domu, do Agnieszki. Uczuł się przygnieciony mrokiem tego pokoju, towarzystwem chorego i starego człowieka, który był jego rówieśnikiem. Znużyła go niepotrzebna rozmowa. Nawet milcząca obecność psa była czemś nieznośnem.

— Gdybyś przyjechał kiedy tam do Justyna — wypocząć, wydobreć, odetchnąć powietrzem szerszego świata, będę rad bardzo cię zobaczyć — powiedział, odchodząc.

Ale było oczywiste, że Słuczański nie przyjedzie, i że nie spotkają się już nigdy więcej.

Ostatnią wizytę, już po wyjeździe Agnieszki, złożył Walewicz pani Osienieckiej, która, jak mówiłam, od niedawna mieszkała w mieście.

Miała tu ze sobą dwoje starych służących, a koło siebie nieco pięknych, dawnych swoich mebli z Porów. Ale stary mahoń, odnowiony prymitywnie przez miejscowego stolarza, świecił się grubą politurą, niby posmarowany masłem.

Życiowa edukacja pani Osienieckiej była teraz, można powiedzieć, kompletna. Hrabina nabrała rzadkiego doświadczenia życiowego. Była powściągliwa, nie rozszerzała niespokojnie wąskich oczów, nie zadawała nietaktownych pytań. Ani o zamiary ministrów, ani o reformę rolną i parcelację.

☞ Tak, nie zapytała nawet pierwsza o Kornela, chociaż z myśli o jego karierze europejskiej nie zrezygnowała wcale i chociaż w ciągu ostatnich dwu lat wysłała była w tej sprawie bez wiedzy syna trzy listy do Walewicza. A z tych listów tylko na pierwszy otrzymała odpowiedź. Na dwa następne już nie.

I Walewicz nawet się z tego nie tłumaczył — ty-

le się ich, mój Boże, odbiera tych listów, o coś proszących.

A pani Osieniecka nie miała o to urazy, nie była już taka wymagająca. Raczej zabiegająca i miła, raczej nawet szczęśliwa, że o niej nie zapomniał, że ją odwiedził.

Obejrzał wewnątrz apartamentu i powiedział, że teraz jest w tym małym kącie Polski prawdziwa Europa. Wyrżał też przez okno na stary plac miejski i jakgdyby nagle zmienił zdanie, uderzony czem innem. Zapadał błękitny zmierzch. Z okna pałacu widać było po drugiej stronie rynku rząd małych, starych, brudnych kamienic, od piwnic aż po dach wypełnionych żydami. Było jasno we wszystkich oknach, świeciło się tam wszędzie owem charakterystycznym, ciepłym światłem świec szabasowych w mlecznogranatowym, odświeżonym wieczorze. To było tak inne, niż wszystko, co zazwyczaj oglądał w Europie, że musiał dać temu wyraz.

— Jednak ten widok z okien pani jest zadziwiający — powiedział. — Pomyśleć, że ci żydzi robią tu te swoje dziwne sprawy od wieków, że — wprysnięci etnicznie w obcą, wrogą sobie rasę — są jednak wciąż ci sami, nie ustępują nic z wiary swej i tradycji. I w taki oto jakiś wieczór potrafią nadać swój charakter całej dzielnicy miasta w cudzym kraju, narzucić swój egzotyczny koloryt, z niczem tutaj niezwiązany. Czyż to nie jest uderzające, pani hrabino, niezastąpione poprostu jako argument?

Tak, to było zawsze dziwne, to ich obce życie, które oglądała teraz codzień ze swych okien pani Osie-

niecka, które doskonale mogła oglądać, zwłaszcza, że drzewa były wycięte, i nic już obmierzłego widoku jej oczom nie przesłaniało. Widziała ich oto zbliżka, tych żydów, których przez długie lata karmiła poreckimi owocami, którym do ich cuchnących sklepików dostarczała świetnych konserw poreckich, których brudnymi rękami zagarniała obce pieniądze nawet za zboże, nawet za drzewo poreckie. Tak było. I czy doprawdy — skoro Fleur mogła to powiedzieć o tutejszych chłopach — czy ci żydzi też w pewien sposób nie wytrwali tu jakoś na stanowisku, czy nie ich sytuacja była tu najdziwniejsza. Więc widać można nawet na obcej ziemi zachować język, wiarę i tradycję, można naprzekór wszystkiemu jednak być.

Chciała coś o tem powiedzieć Walewiczowi. Że te sprawy takie są pomieszane, że jakgdyby niema już nic świętego — skoro we własnej ojczyźnie, skoro nawet każdy... Ale Walewicz pogodnie powiedział, że zagranica zaczyna już zwolna pojmować sprawę naszych mniejszości.

— A myślę, że gdyby im tak pokazać rynek naszego miasteczka w wieczór szabasowy, wyzbyliby się swych niemądrych wątpliwości zupełnie.

Pani Osieniecka pomyślała ironicznie, że zagranica zaczyna rozumieć tę sprawę właśnie wówczas, gdy ona rozumieć ją przestaje. Tego jednak nie powiedziała. Powiedziała co innego. W pewnym bowiem miejscu tego samego miejskiego rynku, w jednej ze starych jego kamienic, mieszkał przecież zięć tego pana Walewicza, Blizbor, ze swoją kochanką.

— Jak pan znalazł swoją córkę, panie ministrze? — spytała. — Ona źle wyglądała ostatnio. Doprawdy, niczem nie zasłużyła sobie na tak ciężkie doświadczenia.

Walewicz odpowiedział gładko:

— Droga pani, ja ich rozstanie uważam za rzecz zupełnie naturalną. Jedyne, co mię w tej całej sprawie mogło dziwić, to był ich ślub.

Pani Osieniecka chwilę milczała. A potem odezwała się ciszej:

— W tych rzeczach poglądy uległy teraz na świecie wielkim zmianom. Niewątpliwie. Ja jednak mam pewność, że pani Agnieszka jest do tego Blizbora bardzo przywiązana. I dlatego to, czego pan sobie życzy, nie pójdzie tak łatwo.

Walewicz patrzył z pogodnem zdziwieniem.

— To przecież już się stało, to jest rzecz dokonana. Złośliwe opuszczenie z jego strony zupełnie wystarczy.

— No dobrze, panie ministrze, ale ona go kocha — powtórzyła pani Osieniecka z uporem.

— Więc ja go miałem namawiać, aby wrócił?

— W takich wypadkach zdarza się bardzo często, że gdy minie pierwsze zaślepienie namiętności...

Ale Walewicz uśmiechał się wyrozumiale. I zarazem — ponieważ czas upływał — uznał za wskazane przystąpić do sprawy młodego hrabiego.

— Była pani łaskawa pisać do mnie tam z powodu zamiarów pana Kornela — powiedział grzecznie. — No cóż, ja w zakresie moich wpływów starałem

się coś zrobić, ale, jak pani wiadomo, te rzeczy decydują się właśnie tutaj i zależą od mnóstwa wyższych względów. Teraz naogół to jest trudniej i wymagania są inne.

Walewicz przybrał ton miękki, bardziej intymny.

— Bądźmy szczerzy, pani hrabino. Między nami mówiąc, pan Kornel to jest człowiek wsi, urodzony na gospodarza, on musi być u siebie, na swoim — tu się widzi jego energję, jego inicjatywę.

Pani Osieniecka nigdy nie widziała w Kornelu ani energii, ani inicjatywy. Teraz przecież milczała, zgodnie uśmiechnięta.

— Do tamtych zaś stanowisk trzeba jednak orjentowania się w bardzo skomplikowanych stosunkach dzisiejszego życia politycznego, szczególnie socjalnego. Dawniej wystarczała umiejętność ujęcia sobie osobistym darem argumentacji, osobistym, że tak powiem, wdziękiem, dwóch, trzech ludzi o wielkich wpływach, o wielkiej władzy. Dziś jest inaczej. Dziś przenikać trzeba do całych rozległych środowisk, umieć znaleźć po temu ludzi, wyczuwać tę potrzebę nową, tę konieczność.

Im dłużej mówił Walewicz, tem wyraźniej widziała pani Osieniecka, jak wygląda jej własna sprawa — jej marzenie, żeby Kornel jeszcze raz okrył sławą piękne nazwisko ojców, żeby je wyniósł na widownię dziejową, żeby sam... Tak, w dzisiejszym świecie to były tylko złudzenia. Rzeczywistością była Fleur w Porach i Kornel, spełniający każde jej zachcenie. I to też było ostatecznie całym sensem jej życia.

Blizborowie opuścili nasze miasto tak samo, jak do niego przyjechali, zniknęli z naszego życia tak, jak w nie przedtem nieoczekiwanie wtargnęli. I po pewnym czasie fala rozkołysana zamknęła się na tem miejscu, ściągnięta i gładka, nie zachowując na sobie żadnej blizny. Kręgi zmian rozeszły się gdzieś daleko i wsiąkły w ciszę.

Wyjechali tak samo — tyle tylko, że ten ich wyjazd odbył się niejako w szyku odwrotnym. Naprzód bowiem wyjechała Agnieszka, która wtedy przyjechała po Blizborze i po wozie meblowym. Odjechała oczywiście z dzieckiem i z Wadowitą. Po Agnieszce odjechały rzeczy, równie starannie umieszczone w wyściełanym wozie. A Blizbor odjechał na końcu i znacznie później.

Ale jak się stało, że odjechał także, i jak do tego doszło, to już musiałabym opowiedzieć w innym romansie.

Z powodu Blizbora pan Zaniemski powiedział kiedyś taką rzecz:

— O ludziach, którzy piją, mówi się, że mają

„wino wesole”, albo „wino smutne”, albo jeszcze „wino sentymentalne” — w zależności od tego, jak działa na nich alkohol. Tak samo możnaby mówić o ludziach, którzy kochają, że mają różną miłość. Otóż Blizbor był człowiekiem, który od miłości robił się zły, który miał „niedobrą miłość”.

Kiedy wspominaliśmy Agnieszkę, nigdy nie mogliśmy zgodzić się na jedno.

— Z tej, która tu przyjechała, z tej dawnej Agnieszki, radosnej i cudownej, nie zostało przecież nic. Stała się jakąś inną kobietą, nowym, nieznanym człowiekiem.

Pan Zaniemski po dawnemu nie chciał na to przystać.

— Nie, właśnie ona została taka sama, jej charakter nie zmienił się, tylko po wszystkim, co zaszło, widziany jest inaczej. Gdyby Blizbor nie był okazał się kimś, kto ma „niedobrą miłość”, gdyby poprostu nie był brutalem, kierującym się tylko nakazem namiętności — to co? To przecież Agnieszka zawsze pozostałaby tą, którą obdarzyło przewagą samo życie, I on drżałby o jej miłość, on zabiegałby o każdy jej uśmiech. Gdyby on był inny.

— Ale tak się nie stało. I wcale niewiadomo, czy jego jakość określiła jej naturę — czy tylko wyzwoliła to, co już przedtem było gotowe. Bo znów Renata — —

Tak, o Renacie mówiliśmy też, właśnie o niej może najczęściej.

Zwykle myślimy, że do spełniania pewnych ujem-

nych ról życiowych istnieje też pewna specjalna odmiana kobiet, które mają w sobie tajemnicę instynktu, genjusz kobiecości. Myślmy o nich, że to one zawsze wnoszą ze sobą niebezpieczeństwo do cudzej miłości, że groźne są dla rodzin, przychodzą z zewnątrz, by wprowadzać dramaty.

Ale czy te kobiety są *inne*, niż wszystkie? Czy może to jest *każda* — w pewnym układzie stosunków, w jakimś może zwrotnym czy kulminacyjnym punkcie swojego życia. Czy każda nie może się stać tą groźną i okrutną, jeżeli tak trzeba, jeżeli tak wyniknie z nowej natury jej szczęścia?

Co do Renaty, to okazało się przecież, że już kiedyś raz w życiu odegrała podobną rolę. A później — gdyśmy ją wszyscy znali — co w niej zostało z niszczącego kobiecego demona, z tej okrutnej dziewczyny, która tak poprostu skazała pierwszą żonę Słuczańskiego na dom obłąkanych? Nic nie zostało. Nikt najmądrzejszy i najbardziej złośliwy nie mógłby tego wykazać w żadnym z jej czynów w ciągu szeregu lat. Ona sama była niewinna *do dna*. Jej poprawność, sięgająca aż naiwności, jej aż przesada w dbaniu o cnotę i opinię, jej surowość i wstydlivość — to wszystko był tylko sposób, w jaki kochała Słuczańskiego mimo jego choroby i mimo różnicy wieku. To był sposób, w jaki urzeczywistniała swoje ówczesne szczęście, okupione cudzem zniszczeniem.

Te rzeczy nie przenikały się nawzajem w jej świadomości, nie wchodziły sobie w drogę, były zupełnie równorzędnie możliwe. I co dziwne — nie przerywały

ciągłości jej poczucia siebie, nie dawały jej tematu do żadnych powątpiewań.

Rozważaliśmy z panem Zaniemskim, czy Renata czuła teraz, co się stało, czy nie widziała siebie wcale z zewnątrz w tej roli, czy nie miała wyrzutów sumienia.

Nawet on myślał, że nie. W tej roli swojej, jak w poprzedniej, Renata słuchała uważnie tylko jednego: swego instynktu miłości, szukała jedyne go możliwego kształtu dla swego szczęścia.

Czy była zaskoczona przez swój los, czy się dziwiła? — Och, zdziwienie trwa krótko, a wszystko rzeczywiste odrazu robi się naturalne, odrazu robi się jedyne możliwe. I Renata w swej nowej sytuacji była taka poważna i surowa, tak głęboko wszystkiem przejęta, jakgdyby w jej położeniu nic się nie zmieniło, jakgdyby była nadal czyjąś poprawną i pamiętną na swje obowiązki żoną.



I-3571

I
3571